

DENIS DIDEROT

# NIEDYSKRETNE KLEJNOTY

PRZEŁOŻYŁ  
ANDRZEJ SIEMEK

*FRANCUSKA POWIEŚĆ  
OSIEMNASTOWIECZNA*

## SŁOWO DLA ZEJMY

Zejmo droga, korzystaj ze sposobnej chwili. Aga Narkis gawędzi z twą matką, a twoja opiekunka pilnuje z balkonu powrotu papy. bierz, czytaj bez obawy. Czy sądzisz zresztą, że ktokolwiek zdziwiłby się, znajdując u ciebie Niedyskretne klejnoty, ukryte za toaletką? Nie, Zejmo, z pewnością nie: wiedzą przecie, że chowałaś pod poduszką Sofę, Dzieje Tan- -zaja i Wyznania hrabiego de\*\*\*} Wahasz się jeszcze? Dowiedz się więc, że Aglaja<sup>2</sup> nie wzgardziła okazją, by przyłożyć rękę do powstania książki, którą wstydzisz się przyjąć. „Aglaja! – dziwisz się. – Pełna cnót Aglaja!” Ona właśnie. Podczas gdy Zejma nudziła się, a może i traciła głowę z młodym bonzą Allelują, Aglaja pędziła mile i niewinnie czas, opowiadając mi przygody Zaidy, Alfany, Fanny i innych, dostarczając tych właśnie szczegółów, które lubię w historii Mangogula, a potem przeglądała moje dzieło i radziła, w jaki sposób je ulepszyć. Albowiem Aglaja jest nie tylko jedną z najcnodiwszych i zarazem najmniej wzorowych kobiet w Kongo, lecz również jedną z najmniej dbałych o sławę pięknoducha i zarazem najdowcipniejszych. Czy dalej uważasz, Zejmo, że twoje

## ROZDZIAŁ I

### NARODZINY MANCOGUIA

Hiauf Zeles Tanzaj panował już od dawna nad wielką krainą Szeszianu i ów namiętny władca wciąż był radością swego ludu. Mahoniowi, królowi Minucji, przypadł los, który przepowiedział mu ojciec. Zulmis dokonał był żywota. Hrabia de\*\*\* żył jeszcze. Król Wspanialec, Angola, Misapuf, a także kilku innych władców Indii i Azji, zmarli nagłą śmiercią. Ich poddani, którym znudziło się słuchać głupawych panów, strząsnęli z siebie jarzmo następców; toteż potomkowie tych nieszczęsnych monarchów błakali się zapomnieni i prawie nie znani po prowincjach swoich państw, Jedynie wnuk sławnej Sze- herezady umocnił się na tronie i rządził na ziemiach Mongołów jako sułtan Szach-baham.<sup>3</sup> W tych właśnie latach, w krainie Kongo urodził się Mangogul. Jak widać, narodziny te przypadły na nieszczęsne lata licznych królewskich zgonów.

Jego ojciec Ergebzed nie zgromadził żadnych wrózek wokół kolebki syna, ponieważ zauważył był, iż ci spośród książąt jego czasu, których edukacją kierowały te zmyślne damy, okazywali się w większości durniami. Poprzestał na zamówieniu

horoskopu u niejakiego Kodindo, postaci, którą lepiej poznać z opisu niż osobiście.

Kodindo był przełożonym kolegium augurów w Banzie, odwiecznej stolicy państwa. W uznaniu zasług jego wuja, który był doskonałym kucharzem, Ergebzed płacił kapłanowi tłustą pensję oraz podarował mu i jego potomkom wspaniały zamek na kongijskim pograniczu. Kodindo miał poruczone obserwować lot ptaków i wygląd nieba oraz zdawać z tego sprawę na dworze, z których to obowiązków wywiązywał się dość kiepsko. I tak jak prawdą jest, że w Banzie można było oglądać najlepsze sztuki i najbrzydsze w całej Afryce teatry, prawdą jest również, że znajdowało się tu najpiękniejsze w świecie kolegium wróżbiarskie, w którym rodziły się najbardziej chybione przepowiednie.

Dowiedziawszy się, czego odeń chcą w paFacu Ergebzed, Kodindo udał się tam mocno zakłopotany: biedaczyna znał się na czytaniu z gwiazd nie lepiej niż wy czyja. Oczekiwano go z niecierpliwością. Do komnaty wielkiej sułtanki przybyli już najwięksi panowie z dworu. Damy, wspaniale wystrojone, otaczały kołyskę. Dworzanie, jeden przez drugiego, wieszowali Ergebzedowi, przewidując wielkie rzeczy, jakie o przyszłości swego syna miał usłyszeć. Ergebzed zaś był ojcem, a przeto było dlań oczywiste, że z niekształtnych rysów dziecka można odgadnąć, czym będzie w przyszłości. Wreszcie zjawił się Kodindo.

Zbliź się – rzekł do niego Ergebzed. – Gdy I taski nieba miałem zostać ojcem księcia, którego masz przed sobą, kazałem, by starannie zapamię

tano, w jakiej chwili się narodzi, o czym zostałeś już z pewnością uwiadomiony. Mów więc szczerze i oznajmij śmiało swemu panu, jaki los niebiosa przeznaczają jego synowi.

– Najszlachetniejszy sułtanie – odparł Kodindo – księżęciu zrodzonemu z rodziców równie znakomitych, co szczęśliwych może być przeznaczona tylko wielka i pomyślna przyszłość. Okłamałbym jednak Waszą Wysokość, gdybym się tu chwalił wiedzą, której nie posiadam. Gwiazdy wschodzą i zachodzą dla mnie tak samo jak dla innych ludzi, i tyleż mnie pouczają o przyszłości, co najciemniejszego z twych poddanych.

– Jakże! – powiedział sułtan. – Czyż nie jesteś astrologiem?

– Szlachetny panie ja odrzekł Kodindo – nie przypadł mi w udziale ten zaszczyt.

– Ha! Kimże więc jesteś, do czarta? – spytał stary, lecz popędliwy Ergebzed.

– Augurem.

tr Nie sądziłem, dalibóg, że ci coś takiego powstało w głowie. Ale teraz, mości Kodindo, radzę, byś zostawił w spokoju twoje ptactwo i orzekł o losach mego syna, jak niedawno orzekłeś o katarze papugi mojej żony.

W jednej chwili Kodindo wyjął i kieszeni lupę, chwycił dziecko za lewe ucho, przetał oczy, nasadził binokle, przekręcił je na drugą stronę, dokładnie obejrzał ucho, przyjrzał się tak samo prawemu, po czym orzekł, iż panowanie młodego księcia będzie szczęśliwe, jeśli będzie długie.

–Rozumiem – powiedział Ergebzed – mój

syn dokona najwspanialszych rzeczy pod słońcem, jeśli będzie miał na to czas. Ale ja, do kata, chciałbym właśnie, by mi powiedziano, czy będzie miał czas. Po cóż mi wiedzieć po jego śmierci, że byłby największym monarchą świata, gdyby żył dłużej? Wezwałem cię, żeby poznać horoskop syna, a ty mi wygłaszasz mowę pogrzebową.

Kodindo odpowiedział sułtanowi, że przykro mu, iż wie tylko tyle; błagał jednak Jego Wysokość, by zechciał zważyć, że to i tak dosyć, jak na krótki czas, przez który był wróżem. Istotnie, kim był Kodindo jeszcze chwilę wcześniej?

## WYCHOWANIE MANGOGLLA

Wspomnę krótko o pierwszych latach życia

Mangogula. Dzieciństwo królów jest ta kie Samo jak dzieciństwo innych ludzi, z tą różnicą, że królowie mają dar wygłaszania niezliczonych złotych myśli, zanim nauczą się mówić. Toteż syn Ergebzeda nie miał jeszcze czterech lat, gdy ukazał się tom mangogulianów, do którego dostarczył treści. Ergebzed był człkiem rozsądnym i nie chciał, żeby wychowanie jego dziecka było tak niestaranne, jak to, które on sam otrzymał; rychło więc zawezwał do syna – i zatrzymał na dworze sowitym zarobkiem – największych w Kongo mistrzów każdej materii: malarzy, filozofów, poetów, muzyków, architektów, nauczycieli tańca, matematyki, historii, szermierki i wielu innych. Dzięki swym szczęśliwym talentom i nieustannym naukom preceptorów Mangogul przyswoił sobie wszystko, czego młody książę uczy się zazwyczaj przez pierwszych piętnaście lat, a przeto, gdy ukończył lat dwadzieścia, umiał jeść, pić i spać równie wyśmienicie, jak każdy monarcha w jego wieku.

Ergebzed, któremu brzemień lat dawało już odczuć .ciężar korony, znużony trzymaniem sterów

państwa, przestraszony groźbą wewnętrznych niepokojów, pełen ufności w najdoskonalsze przymioty Mangogula i naglony przyptywami pobożności – co jest u możnych tego świata pewnym zwiastunem rychłej śmierci lub niedołęstwa – zrzekł się tronu, aby umieścić na nim syna; za czym ów dobry władca uznał, że winien odpokutować w samotności grzechy swych rządów, najsprawiedliwszych wprawdzie, o jakich wspominają annały Konga.

I tak w roku 1 500 000 003 200 001 historii świata, a w roku 3900 000 700 03 istnienia kongijskiego imperium, rozpoczęło się panowanie Mangogula, który był 1 234 500-ym potomkiem swego rodu w linii prostej. Częste narady z ministrami, wojny, którym musiał sprostać, i prowadzenie spraw państwowych nauczyły go w bardzo krótkim czasie wszystkiego, czego jeszcze nie umiał, gdy wychodził spod skrzydeł pedagogów – a było tego sporo.

W niecałe dziesięć lat Mangogul zyskał sławę wielkiego władcy. Wygrał szereg bitew, zdobył miasta, poszerzył swoje ziemie, przywrócił pokój w prowincjach, naprawił kulejące finanse, doprowadził do rozkwitu nauki i sztuki, wznosił nowe budowle, stworzył pożyteczne instytucje, które uwieczniły jego imię, wzmocnił i ulepszył prawo, a nawet założył akademie; zaś jego stołeczny uniwersytet nigdy nie mógł pojąć, w jaki sposób dokonał tego wszystkiego, nie umiejąc ani słowa po łacinie.

Mangogul był równie dworny w swym seraju, jak

wielki na tronie. Na myśl mu nawet nie przyszło, by naśladować śmieszne obyczaje, jakie w jego kraju panowały. Otworzył szeroko drzwi pałacu, w którym mieszkały jego żony, i wypędził uwłaczających im strażników cnoty. Uznał roztropnie, że same mogą strzec swej wierności: toteż wchodziło się do ich komnat tak swobodnie jak do klasztoru flamandzkich mniszek, a nie mniejsza panowała tu cnota. Jak dobrym był sułtanem! Podobni mu istnieli tylko w kilku francuskich powieściach. Był łagodny, grzeczny, wesoły, zalotny, powabny z oblicza, skory do uciech i do nich stworzony, a prócz tego miał w głowie więcej dowcipu niż wszyscy jego poprzednicy razem wzięci.

Nietrudno zgadnąć, że wiele kobiet starało się zdobyć względy księcia tak rzadkich zalet. Niektórym się to udało; te zaś, co nie trafiły mu do serca, pozwalały się pocieszać wielmożom jego dworu. Młoda Mirzoza<sup>5</sup> należała do pierwszych. Nie będę się rozwodził nad przymiotami i wdziękami Mirzozy: książka nie miałaby końca, a ja chcę, żeby jakoś się skończyła.

## KTÓRY MOŻE UCHODZIĆ ZA PIERWSZY W NASZEJ OPOWIEŚCI

Związek Mirzozy z Mangogulem trwał już kilka lat. Kochankowie powiedzieli już sobie setki razy wszystko, co gwałtowna | namiętność może podszeptać osobom obdarzonym największym polotem. Przeszli też okres zwierzeń i każdemu z nich zbrodnią by się zdało skrywanie przed drugim najbliższego nawet szczegółu swego życia. Wreszcie te osobliwe supozycje – “Gdybym z wyroku nieba, które mnie posadziło na tronie, urodził się człowiekiem podłego stanu, czy wówczas Mirzoza zechciałaby zniżyć się do mnie, czy wyniosłaby mnie swym uczuciem?... Gdyby Mirzozie przyszło stracić te nieliczne powaby, które u niej widzą, czy Mangogul wciąż by ją miłował?” – owe supozycje, mówię, które pomysłowych kochanków ćwiczą w subtelności, prowadzą niekiedy do kłótni kochanków wrażliwych i każą tak często kłamać najszczerzym – również one im się sprzykrzyły.

Faworyta posiadała, i to w najwyższym stopniu, tak potrzebną i tak rzadką sztukę opowiadania, lecz wyczerpała już wszystkie tematy w kronice skandali Banzy. Jako że miała niewielki temperament, nie zawsze była skłonna przyjmować piesz

czoty sułtana, a i on nie zawsze miał nastrój, by ją do ich przyjęcia zachęcać. Bywały więc dni, w których Mangogul i Mirzoza nie mówili wiele, nie robili prawie nic i, choć nie kochali się mniej, bawili się raczej miernie. Takie dni zdarzały się rzadko – zdarzały się wszakże i oto jeden z nich nadszedł.

Sułtan leżał niedbale wyciągnięty na sofie, naprzeciwko faworyty, która, zajęta robótką, nie mówiła ani słowa. Pogoda nie pozwalała na przechadzkę. Mangogul nie śmiał jakoś proponować, by zegrali w pikietę. Ten niemiły stan trwał już od kwadransa, gdy sułtan odezwał się, ziewając kilkakrotnie:

–Trzeba przyznać, że Geliote<sup>6</sup> śpiewał dziś anielsko...

–I że Wasza Wysokość nudzi się śmiertelnie – dodała faworyta.

–Nie, pani – rzekł Mangogul, ziewając półgębkiem. – Chwila, którą się spędza z tobą, nie jest nigdy chwilą nudy.

–Gdybyś panie zechciał, zabrzmiałoby to jak komplement – odparła Mirzoza. – Lecz jesteś zadumany, roztargniony, ziewasz. Co ci jest, księżę?

–Nie wiem – powiedział sułtan.

–A ja zgaduję – ciągnęła faworyta. – Miałam osiemnaście lat, gdy, ku memu szczęściu, zyskałam twe względy. Kochasz mnie od lat czterech. Osiemnaście i cztery równa się dwadzieścia dwa. Otm i całkiem stara.

Mangogul uśmiechnął się na ten rachunek.

–Ale jeśli już niezdatna jestem do rozkoszy –

podjęła Mirzoza – chcę ci przynajmniej, panie, i pokazać, jak dobre umiem dawać rady. Różnorod- 3 ność rozrywek, które ci towarzyszą, nie mogła 1 zapobiec przesytwi. Przesyt, książę – oto twoja 1 choroba.

– Nie twierdę, że trafiłaś pani w sedno – j powiedział Mangogul – lecz gdyby tak było, czy 1 umiałabyś znaleźć na to lekarstwo?

Pomyślawszy chwilę, Mirzoza odrzekła sułtano- 1 wi, iż Jego Wysokość zdawał się słuchać z taką 1 przyjemnością miłosnej kroniki miasta, którą mu J przedstawiała, że czuje się niepokieszona, nie | mogąc już nic nowego w tej materii opowiedzieć i ani zwłaszcza poznać sekretów przygód na jego I dworze. Poradziła tedy, by w tym szukać sposobu, ; zanim wpadnie na lepszy pomysł.

– Myślę, że sposób dobry – rzekł Mangogul. • – Lecz któż zna sekrety tych postrzelonych dam? j A nawet gdyby były znane, któż by mi opowiedział ; tak jak ty, pani?

– Najpierw je poznajmy – odparła Mirzoza. – Ktokolwiek je będzie opowiadał, jestem pewna, że j Wasza Wysokość więcej zyska na treści, niż straci | na formie.

– Chętnie się z tobą zgodzę, iż miłostki kobiet j z mego dworu są nader zabawne. Lecz choćby były j sto razy zabawniejsze, cóż mi z tego, jeśli nie sposób niczego się o nich dowiedzieć?

– Może to być co najwyżej trudne, nic ponadto. Geniusz Kukufa, krewniak i przyjaciel Waszej j Wysokości, dokonał większych rzeczy. Dlaczego | nie zasięgnąć jego rady?

– Ach! Radości mego serca – zawołał sułtan – jesteś niezrównana! Nie wątpię, że geniusz użyje całej swojej mocy, by mnie zadowolić. Spieszę natychmiast do mego gabinetu, aby go zawezwać.

Co rzekłszy, Mangogul wstał, ucałował faworytę w lewe oko zgodnie z kongijskim zwyczajem i wyszedł.

## WEZWANIE GENIUSZA

Geniusz Kukufa był starym dziwakiem, j który, w obawie, iż kłopoty tego świata oraz towarzystwo innych geniuszów będą mu przeszkodą na drodze do zbawienia, schronił się w niebycie, żeby do woli zajmować się nieskończoną doskonałością Wielkiego Bóstwa, a także szczypać się, kłuć, robić sobie na złość, wściekać się i zdychać z głodu. Oto on: leży teraz na słomie przykryty workiem, ściśnięty sznurem, ze skrzyżowanymi na piersi ramionami i głową schowaną pod kapturem, spod którego wystaje tylko koniec brody. Śpi – ale można by sądzić, że medytuje. Sowa drzemiąca u jego stóp, kilka szurów, które gryzą posłanie, i nietoperze, które nad nim krążą – to całe jego towarzystwo. Wzywa się go, recytując przy dźwięku dzwonu pierwszy werset nocnego nabożeństwa braminów. Unosi wtedy kaptur, przeciera oczy, wzuwa sandały i wyrusza. Przedstawcie sobie starego kamedulę niesionego w powietrzu przez dwa wielkie puszczyki, które trzyma za szpony: w takiej postaci Kukufa ukazał się sułtanowi.

– Niech błogosławieństwo Brahmy nie opuszcza tych progów – rzekł opadając na ziemię.

–Amen – powiedział sułtan.

–Czego chcesz, mój synu?

–Bardzo prostej rzeczy – odparł Mangogul – zabawić się nieco kosztem kobiet z mego dworu.

–Oj, mój synu, bardziej łakomyś niż cały klasztor braminów. Ale do czego ci potrzebne to stado wariatek?

–Chcę poznać ich przygody – te, które mają teraz i te, które miały kiedyś. To wszystko.

–Ależ to niemożliwe – powiedział geniusz. – Jak można chcieć, by kobiety wyznały swe miłosne przygody: toż to się nigdy nie zdarzyło ani nie zdarzy.

–Musi się jednak zdarzyć – skwitował sułtan.

Na te słowa geniusz zadumał się, drapiąc się w ucho i rozczesując w roztargnieniu palcami swoją długą brodę. Nie namyślał się długo.

–Mój synu – rzekł do Mangogula – miłuję cię, a więc zadość się stanie twemu życzeniu.

W tejże chwili sięgnął prawą ręką do głębokiej kieszeni, którą miał pod pachą z lewej strony szaty, i wy dobył z niej, wraz z obrazkami, święconymi paciorkami, bożkami z ołowiu i spleśniałymi cukierkami, srebrny pierścień, który Mangogul wziął zrazu za pierścień świętego Huberta.

–Widzisz ten pierścień, synu? Włóż go na palec. Wszystkie kobiety, na które zwrócisz jego oczko, opowiedzą swoje awanturki głośno, wyraźnie i zrozumiale; nie sądz jednak, że będą przemawiać ustami.

- A czym, do stu najjaśniejszych piorunów? – zawołał Mangogul.
- Tą częścią ciała – odparł Kukufa – co jest w nich najszczęśliwsza i najlepiej znająca rzeczy, których pragniesz się dowiedzieć: mówić będą ich intymne klejnociki.
- Klejnociki! – powiedział sułtan, wybuchając śmiechem. – To ci dopiero...

Mówiące klejnoty? Nie słyszałem o czymś równie niedorzecznym.

–Mój synu – odparł geniusz ~ czyniłem wiele innych cudów, by usłużyć twemu dziadowi, możesz więc zawierzyć mojemu słowu. Zegnaj teraz i niech cię Brahma błogosławi. Uczyń dobry użytek z tego sekretu i pamiętaj, że ciekawość jest czasem nie na miejscu.

Co rzekłszy, obłudnik kiwnął głową, nasadził kaptur, złapał za szpony swoje puszczyki i zniknął w przestworzach.

.....

#### NIEBEZPIECZNA POKUSA MANGOGULA

Gdy tylko Mangogul stał się właścicielem cudownego pierścienia Kukufy, odczuł pokusę, by go zaraz wypróbować na | faworycie. Zapomniałem dodać, że oprócz władzy, zmuszającej do mówienia klejnociki niewiast, na które zwracało się jego oczko, pierścień miał również moc czynienia niewidzialnym tego, kto go nosił na małym palcu. Mangogul mógł więc się przenosić w mgnieniu oka w setki miejsc, w których go nie oczekiwano, i oglądać na własne oczy rzeczy, które zazwyczaj dzieją się bez świadków. Wystarczyło, by nałożył pierścień i powiedział: "Chcę tam być", i w tej samej chwili się tam zjawiał. Jest więc teraz w sypialni Mirzozy.

Mirzoza, nie spodziewając się już przybycia sułtana, kazała się położyć do łóżka. Mangogul zbliżył się cicho do jej wezgłowia i w blasku świecy zobaczył ją drzemiącą. "Dobrze – powiedział do siebie. – Śpi. Włóżmy szybko pierścień na inny palec, przybierzmy ludzki kształt, obróćmy oczko na tę piękną śpioszkę i sprawmy, by jej klejnot obudził się nieco... Lecz coś mnie powstrzymuje... Drzę cały... Czy możliwe, żeby Mirzoza?... Nie, to niemo- żebne: Mirzoza jest mi wierna. Oddalcie się ode

mnie, obelżywe podejrzenia: nie chcę, nie powinienem was słuchać." Mówiąc to, dotknął palcami pierścienia, ale odsunął je zaraz tak szybko, jakby dotknął ognia, i zakrzyknął w duchu: "Co robię, nieszczęsny! Lekceważę rady Kukufy. Chcę zaspokoić niemądrą ciekawość, narażam się na utratę kochanki i życia... Bo gdyby klejnocik zaczął opowiadać coś od rzeczy, już nigdy bym jej nie ujrzał i umarłbym z bóleści. A kto wie, co takiemu klejnotowi może leżeć na sercu!" Wzburzenie nie pozwalało Mangogulowi panować nad sobą: ostatnie słowa wypowiedział głośno i faworyta zbudziła się...

– Och, to ty, panie! – rzekła, bardziej uradowana niż zdziwiona jego obecnością. – Dlaczego cię nie zapowiedziano? Zali twoją to powinnością jest oczekiwać mego przebudzenia?

Mangogul opowiedział faworycie o sukcesie, jakim skończyło się widzenie z Kukufą, pokazał jej pierścień, który odeń otrzymał, i nie taił nic z jego właściwości.

– Cóż za diabelskie arkana zostały ci, panie, powierzone? – zawołała Mirzoza. – Czyżbyś miał zamiar czynić z nich użytek?

– Jakże, do pioruna, czyżbym miał zamiar! – powiedział sułtan. – Zacznę od pani, jeśli będziesz mnie od tego odwozić.

Na te straszliwe słowa faworyta zbladła, zadrżała, po czym doszła do siebie i zaklinała sułtana na Brahmę i wszystkie bóstwa Indii i Konga, by nie poddawał jej doświadczeniu, które dowodziło, jak mało ufał jej wierności.

– Jeśli zawsze byłam cnotliwą – mówiła – mój klejnot nie powie nic, a ty będziesz sprawcą obelgi, której ci nigdy nie wybaczę. Jeżeli przemówi, stracę twój szacunek i twoje serce, ty zaś pogrążysz się w rozpacz. Jak dotąd, zdaje mi się, byłeś kontent z naszego związku: po cóż się narażać na jego zerwanie? Wierz mi, książę: winienesz korzystać z rad geniusza. Geniusze mają wielkie doświadczenie i warto słuchać ich ostrzeżeń.

– To samo mi przyszło do głowy – odrzekł Mangogul – na chwilę przed twym przebudzeniem. Gdybyś jednak spała dwie minuty dłużej, nie wiem, co by się stało.

– Stałoby się to – powiedziała Mirzoza – że nie dowiedziałabyś się nic od mojego klejnotu i straciłabyś mnie na zawsze.

Chyba tak – rzekł Mangogul. – Ale teraz, pani, gdy pojmuję całe niebezpieczeństwo, które mi groziło, przysięgam na Wieczną Pagodę, że nie znajdziesz się pośród tych, na które zwrócę mój pierścień.

Na to oblicze Mirzozy rozpogodziło się i wnet zaczęła żartować, wyobrażając sobie opowieści klejnotów, które Mangogul chciał zmusić do mówienia.

– Klejnot Cydalizy – rzekła – ma wiele do powiedzenia i jeśli jest tak niedyskretny jak jego pani, nie da się długo prosić. Klejnot Harii nie należy już do tego świata i Wasza Wysokość usłyszy od niego jedynie bajki, jakie opowiadała moja babka. Co się tyczy klejnotu Glaucei, sądzę, iż warto go posłuchać: jest ładna i zalotna.

– I właśnie z tego powodu – odparł sułtan jej klejnot będzie milczał.

–Wybadaj więc klejnot Fedimy: jest brzydka i uległa.

–Owszem – powiedział sułtan – i to tak brzydka, że trzeba być równie złośliwym jak pani, aby ją oskarżać o uległość. Fedima jest cnotliwa, ja to mówię i wiem coś o tym.

–Jeśli tak, panie, uważasz. Zdaje się jednak, że spojrzenie jej szarych ocząt mówi coś wręcz przeciwnego.

– A zatem jej oczy kłamią – rzekł szorstko sułtan. – Lecz mam już dość tej Fedimy. Czyż nie można by sądzić, że tylko z jej klejnotem można porozmawiać?

– Wolno więc spytać – odparła Mirzoza – nie narażając się Waszej Wysokości, któryż to klejnot, panie, zaszczytujesz swoim wyborem?

– Wkrótce zobaczysz – powiedział Mangogul – gdy udamy się do kółeczka dam Manimon- bandy (tak zwano w Kongo wielką sułtankę). Nieprędko tam zbraknie tematu, a kiedy znudzą się nam opowieści klejnotów z mego dworu, odwiedzimy domy Banzy: być może, klejnociki mieszczek zdadzą się nam bardziej stateczne od klejnotów księżnych.

– Panie – rzekła Mirzoza – znam nieco te pierwsze i mogę cię zapewnić, że są jeno przezorniejsze.

– Niebawem się o tym przekonamy. Nie mogę powstrzymać się od śmiechu, gdy sobie wyobrażam konfuzję i zdziwienie kobiet na pierwsze słowa ich

klejnotów. Ha! Ha! Ha! Pamiętaj, rozkoszy mego serca, że będę na ciebie czekał u wielkiej sułtanki, i że nie użyję pierścienia przed twoim przybyciem.

– Liczę jednak, książę – odparła Mirzoza – na słowo, które mi dałeś.

Mangogul uśmiechnął się na te niepokoje, ponowił swoje obietnice, dodał do nich kilka pieścizot i wyszedł.

## PIERWSZA PRÓBA PIERŚCIENIA

ALCYNA

Mangogul udał się tedy pierwszy do wielkiej sułtanki i zastał tam wszystkie niejwiasty zajęte grą w kawaniola. Przebiegł J oczyma te, które cieszyły się dobrą reputacją, na nich bowiem zrazu postanowił wypróbować pierścień, i miał tylko kłopot z wyborem. Kiedy wahał się, od kogo zacząć, wzrok jego padł na młodą damę dworu Manimonbandy; stała przy oknie ze swym własnym mężem i przekomarzała się z nim wesoło, co wydało się sułtanowi osobliwe, jako że już od przeszło tygodnia byli małżeństwem. Pokazali się już razem w jednej łoży w operze, w karocy na promenadzie i w Lasku Bulońskim, odbyli też należne wizyty, a przeto zwyczaj zwałniał ich od okazywania sobie miłości, od spotykania się nawet „Jeśli ten klejnocik – mówił do siebie Mangogul – jest równie postrzelony jak jego pani, usłyszemy ucieszny monolog.” W tym miejscu przerwał swój własny, albowiem zjawiała się faworyta.

– Witaj, pani – szepnął jej sułtan do ucha. – Oczekując cię, zarzuciłem już swoje sieci.

– Na kogóż to? – spytała Mirzoza.

U Na tych dwoje, co żartują sobie tam, pod

oknem – odrzekł Mangogul, pokazując jej wzrokiem.

– Dobry początek – orzekła faworyta.

Alcyna –I takie nosiła imię młoda dama – była z natury żywa i ładna. Niewiele kobiet na sułtańskim dworze było od niej powabniejszych i żadna nie miała tylu miłostek. Jeden z emirów sułtana zawrócił sobie nią głowę. Nie pozostawiono go długo w niewiedzy co do rzeczy, jakie o Alcynie głosiła towarzyska kronika. Przejął się bardzo, lecz nagiął się do zwyczaju i spytał kochanki, co ma o tym myśleć. Alcyna przysięgła mu, że owe oszczerstwa biorą się z gadaniny kilku zarozumiałców, którzy z pewnością siedzieliby cicho, gdyby dała im powód do zabrania głosu; dodała, że nic się nie stało, a wreszcie, że wolno mu o tym sądzić, co tylko uzna za właściwe. Ta pewność siebie przekonała emira, wielbiącego niewinność swej lubej. Doprowadził tedy rzecz do końca i przyjął urząd małżonka Alcyny z wszystkimi wynikającymi zeń przywilejami.

Sułtan obrócił na nią swój pierścień. Na ów ruch śmiech, którego Alcyna nie mogła opanować, słuchając jakowychś facecji męża, urwał się nagle i natychmiast usłyszano, jak coś mruczy pod jej sukniemi:

–Otom i utytułowany. Bardzo jestem kontent: nie ma to jak pozycja w świecie. Gdyby posłuchano moich pierwszych rad, trafiłby mi się może ktoś lepszy od emira. Ale emir lepszy niż nic.

Na te słowa wszystkie niewiasty porzuciły grę<sup>4</sup> by

dociec, skąd przemawia głos. Powstał spory harmi- der.

– Cisza – powiedział Mangogul – to zasługuje na uwagę.

Wszyscy zamilkli, a klejnot mówił dalej:

– Mąż musi być, widać, bardzo ważnym gościem, sądząc po środkach ostrożności, jakie są przedsiębrane na jego przyjęcie. Ileż przygotowań! Co za obfitość mirtowej wody! Jeszcze dwa tygodnie takiej kuracji, a byłoby po mnie. Zniknąłbym całkiem i wielmożny emir musiałby szukać schronienia gdzie indziej albo wyprawić mnie na wyspę Żonkila.<sup>7</sup> – W tym miejscu mój autor powiada, że wszystkie damy zbladły, spojrzwały na siebie bez słowa i usiłowały zachować powagę, którą on przypisuje obawie, by nie wywiązała się jaka rozmowa i nie stała ogólną. – Tymczasem – ciągnął klejnot Alcyny S wydało mi się, że emirowi niepotrzebne były te wszystkie ceregiele. Lecz poznaję w tym przezorność mojej pani: przygotowała się na najgorsze, toteż byłem traktowany na użytek małżonka tak samo, jak na użytek jego masztalerza.

Klejnot gadałby dalej te niestworzone rzeczy, gdyby sułtan, zauważywszy, że ta osobliwa scena gorszy wstydliwą Manimonbandę, nie przerwał mu, odwracając pierścień. Emir zniknął na pierwsze słowa klejnotu swojej żony. Alcyna nie zmieszała się wcale i udawała przez kilka chwil, że drzemie. Tymczasem niewiasty szeptały, że pewnie ma wapory.

– O tak, wapory! – odezwał się jakiś fircyk. – Cicogne<sup>8</sup> nazywa je histerycznymi, idzie więc tu o

zaburzenia, co pochodzą z dolnych obszarów ciała. Ma on na to cudowny eliksir, którego principium, principians, principatum... wzmacnia, ożywia... i które... Użyczę go pani.

Owe drwiny wywołały uśmieszki, a nasz cynik podjął:

– Nic prawdziwszego, drogie panie. Sam go używałem, by zapobiec ubytkowi substancji.

– Ubytek substancji! Cóż to takiego, markizie? – spytała jedna z młodych dam.

– Jest to, pani – odrzekł markiz – taki niefortunny przypadek, który się zdarza...

Ech, przecież wszyscy to znają!

Ale oto skończyła się udawana drzemka. Alcyna zasiadła do gry z tak nieulekłą miną, jakby jej klejnot nic nie powiedział lub jakby powiedział rzeczy najmilsze pod słońcem. Była wręcz jedyną, która grała uważnie, i ten wieczór przyniósł jej okazałą sumkę. Inne panie nie wiedziały, co robią, nie rozpoznawały figur, myliły numery, zapominały o własnych wygranych, płaciły nie wtedy, kiedy trzeba, i popełniały setki innych błędów, z których korzystała Alcyna. Wreszcie zakończono grę i wszyscy się oddalili.

Zdarzenie wywołało wiele hałasu na dworze, w mieście i w całym Kongo. Krążyły o nim żarciki: mowa klejnotu Alcyny została ogłoszona, przejrzana, poprawiona, uzupełniona i opatrzona komentarzem przez dworskich lekkoduchów. Z emira kpiono w piosenkach, a jego żona zyskała nieśmiertelną sławę. Pokazywano ją sobie w teatrze, ścigano na promenadzie; gromadzono się

wokół niej i ciągle słyszała przy sobie szmer głosów: "Tak, to ona. We własnej osobie. Jej klejnot mówił bez przerwy przez ponad dwie godziny."

Alcyna stawiała czoło swej nowej reputacji z godną podziwu zimną krwią. Wysłuchiwała tych słów, i wielu innych jeszcze, ze spokojem, który inne niewiasty wyraźnie straciły. W każdej chwili spodziewały się, że ich własne klejnoty dopuszczą się jakowejś niedyskrecji. To, co opowiemy w następnym rozdziale, sprawiło, że ów niepokój wzrósł niepomiaralnie.

Gdy towarzystwo wielkiej sułtanki rozeszło się, Mangogul podał ramię faworycie i odprowadził ją do jej komnat. Tym razem daleka była od tego, by przybrać ową żywą i radosną minkę, która jej prawie nigdy nie opuszczała. Straciła sporo w grze, zaś skutki, jakie wywoływał straszliwy pierścień, wpędziły ją w zadumę, z której się jeszcze nie otrząsnęła. Znała ciekawość sułtana i nie zawierzała na tyle obietnicom mężczyzny równie zakochanego, co despotycznego, aby czuć się wolną od wszelkich niepokojów.

– Co ci jest, radości mej duszy? – spytał Mangogul. – Trwasz, pani, w zamyśleniu.

– Miałam w grze pecha, jakiego nigdy nie widziano. Przegrałam, ile można. Stawiałam na dwanaście tablic i nie wiem, czy trafiłam choć trzy razy.

– To przykre – odparł Mangogul. – Lecz co myślisz o moim sekrecie?

– Panie – rzekła faworyta – wciąż utrzymuję, iż jest diabelski. Dostarczy ci rozrywki, zapewne.

Ale ta rozrywka będzie miała opłakane skutki. Zburzysz spokój we wszystkich domach, otworzysz oczy mężom, doprowadzisz do rozpaczki kochanków, zgubisz niewiasty, zhańbisz dziewczęta i wywołasz tysiąc innych swarów. Ach, księżę, zaklinam cię...

– Tam do stu czartów! – zawołał Mangogul. – Prawisz, pani, morały jak Nicole!<sup>9</sup> Chciałbym doprawdy wiedzieć, dlaczego to interes bliźniego przejmuje cię dzisiaj tak żywo. Nie, pani, nie: zatrzymam mój pierścień. Cóż mnie obchodzą owi mężowie, co przejrzeni na oczy, zrotpaczeni kochankowie, zgubione niewiasty, zhańbione dziewczęta, jeśli tylko dobrze się będę bawił? Czyż na darmo jestem sułtanem? Żegnaj do jutra, pani. Miejmy nadzieję, że następne scenki będą uciesz- niejsze od pierwszej i że niepostrzeżenie w nich zasmakujesz.

– Nie wierzę w to, panie – odrzekła Mirzoza.

–A ja ci ręczę, że klejnoty zaczną cię wkrótce bawić, i to tak bardzo, że nie będziesz się mogła oprzeć chęci słuchania ich wynurzeń. Co byś powiedziała, gdybym uczynił z nich twoich ambasadorów? Mogę ci oszczędzić, jeśli chcesz, nudziar- stwa ich oracji. Lecz co się tyczy przygód, wysłuchasz, pani, tych opowieści, z ich ust albo z moich. To rzecz postanowiona i w niczym tu nie ustąpię, zrób więc wysiłek, by się oswoić z tymi gawędziarzami nowego rodzaju.

Po tych słowach ucałował ją i przeszedł do swego gabinetu, rozmyślając nad doświadczeniem, które uczynił, i dziękując nabożnie geniuszowi Kukufie.

## DRUGA PRÓBA PIERŚCIENIA

### OŁTARZE

Najazutrz przewidziana była kolacja u Mirzozy. Zaproszone osoby wcześniej zgromadziły się w jej salonie. Przed cudem, i ... ..“Jaki który się zdarzył poprzedniego dnia, przychodzono tu z upodobania; tego wieczoru goście przyszli tylko z towarzyskiego obowiązku. Wszystkie kobiety miały wymuszone miny i mówiły półsłówkami; trwały na czatach, spodziewając się w każdej chwili, że jakiś klejnot wmsza się do rozmowy. Aczkolwiek bardzo je korciło, by uczynić jej przedmiotem wypadku Alcyny, żadna nie śmiała pierwsza poruszyć tematu, i to nie dlatego, że przeszkadzała w tym jej obecność: Alcyna nie przyszła, choć znajdowała się na kolacyjnej liście, toteż wszyscy odgadli, iż cierpiała na migrenę. Wkrótce jednak rozmowa, która rwała się bez przerwy, ożywiła się – czy że mniej już się lękano niebezpieczeństwa, ponieważ przez cały dzień słyszano tylko mówiące usta, czy że chciano pokazać odwagę. Damy najbardziej narażone na podejrzenia przybrały godną postawę i udawały pewność siebie. Mirzoza zapytała jednego z dworzaków, Zegrisa, czy ma jakieś zajmujące wieści. – Mówiono ci zapewne, pani – odparł Zegris

– o rychłym ślubie agi Chazura z młodą Syberiną. Dowiedz się otóż, że wszystko zerwane.

– Z jakiego powodu? – przerwała faworyta, ś-fjj Z powodu jakiegoś dziwnego głosu, który

Chazur miał usłyszeć, będąc przy toalecie swej księżniczki. Od wczoraj dwór sułtański jest pełen ludzi, którzy chodzą nadstawiając ucha w nadziei, że uda im się, nie wiem jakim sposobem, posłyszeć zwierzenia, których z pewnością nikt nie ma ochoty im czynić.

– Toż to szaleństwo – rzekła faworyta. – Nieszczęście Alcyny, jeśli to w ogóle nieszczęście, nie zostało wcale bezspornie stwierdzone. Nie zbadano jeszcze...

– Pani – przerwała Zelmajda te słyszałam bardzo wyraźnie: mówiła nie otwierając ust. Wysławiano się z całą jasnością i nietrudno było zgadnąć, skąd dobywa się ów niezwykły głos. Przyznam, że na jej miejscu chybabym umarła.

– Umarłabyś pani! – uniósł się Zegriss. W Zostaje się przy życiu po straszniejszych przygodach.

– Jakże! – zawołała Zelmajda. – Czyż może być straszniejsza od niedyskrecji klejnotu? Więc nie ma już pośredniej drogi: trzeba albo wyrzec się miłosnych podbojów, albo przystać na to, że się uchodzi za skłonną do takowych.

– W istocie – rzekła Mirzoza – wybór jest okrutny.

– Nie, pani – odezwała się inna niewiasta. – Przekonasz się, że kobiety wybiorą drogę najwłaściwszą: pozwoli się mówić klejnocikom, ile zechcą, i będzie się postępować jak zawsze, nie zważając na

plotki. W końcu co za różnica, czy niedyskretny jest klejnot kobiety, czy też jej kochanek? Zali rzeczy i tak nie są wiadome?

–Należycie wszystko rozważywszy – podjęła trzecia – to jeśli miłostki kobiety mają być rozgłaszane, lepiej, by czynił to jej klejnot niż kochanek.

Pogląd dość osobliwy... – powiedziała faworyta.

–I prawdziwy – odparła ta, która odważyła się go wygłosić. – Zważcie bowiem, że zazwyczaj kochanek, nim stanie się niedyskretny, jest najpierw niezadowolony i wówczas skłonny mścić się, wyolbrzymiając fakty. Natomiast klejnot przemawia bez emocji i niczego do prawdy nie dodaje.

–Co do mnie -^rzekła Zelmajda – nie jestem tego zdania. – Winowajczynię gubi tutaj nie tyle waga zeznań świadka, ile moc samego świadectwa. Kochanek bezczeszczący swoimi słowami ołtarz, na którym dokonał ofiary, jest rodzajem bezbożnika, co nie zasługuje, by mu wierzyć w czymkolwiek. Ale jeśli sam ołtarz zabiera głos, cóż odpowiedzieć?

–Że ołtarz nie wie, co mówi – odrzekła druga dama.

Na to Monima, która dotąd zachowywała mil-, czenie, przerwała je, aby powiedzieć przeciągłym tonem i z niedbałą miją:

–Mój ołtarz, skoro już o ołtarzu mowa, może sobie mówić lub milczeć: wcale się nie obawiam jego słów.

W teże chwili wszedł Mangogul i ostatnie słowa Monimy nie uszły jego uwagi. Obrócił więc na nią

swój pierścień i usłyszano, jak jej klejnocik woła: "Nie wiercie jej! Kłamie." Jej sąsiadki spojrzały po sobie, zastanawiając się, do kogo należy klejnot, który udzielił odpowiedzi.

- To nie mój – rzekła Zelmajda.
- Ani mój – rzekła inna.
- Ani mój – rzekła Monima.
- Ani mój – powiedział sułtan.

Wszystkie, a faworyta wraz z innymi, odpowiedziały przecząco.

Korzystając z tej niepewności, sułtan zwrócił się do dam:

-Macie zatem ołtarze? A w jaki sposób oddaje się im cześć?

Pytając, zwracał pierścień kolejno, lecz bardzo prędko, na wszystkie kobiety z wyjątkiem Mirzozy. I usłyszano na różne tony: „Jestem odwiedzany, wyniszczony, opuszczony, perfumowany, zmęczony, źle obsłużony, znudzony itd.” Każdy powiedział swoje, ale tak szybko, że nie sposób było wskazać właścicielkę. Ich gadanina, to z głuchych, to z piskliwych głosów złożona i zmieszana z wybuchami śmiechu Mangogula i jego dworzan, czyniła gwar całkiem nowego rodzaju. Damy zgodziły się, z bardzo poważnymi minami, że jest to ogromnie zabawne.

-No proszę – powiedział sułtan – mamy doprawdy szczęście, że klejnoty chcą mówić naszym językiem i brać na się w połowie ciężar konwersacji. Towarzystwo może tylko zyskać na owym podwojeniu organów. A może i my, mężczyźni, potrafimy przemawiać inaczej niż ustami.

Kto wie? To, co dobrze pasuje do klejnocików, jest może również przeznaczone do pytania ich i udzielania im odpowiedzi? Wszelako mój anaton jest innego zdania.

..... ROZDZIAŁ VIII ..

TRZECIA PRÓBA PIERŚCIENIA

KOLACJA

Podano wieczerzę, a kiedy się zaczęła,

j | J i bawiono się najpierw kosztem Monimy: | | i wszystkie kobiety twierdziły zgodnie, że to jej klejnocik przemówił pierwszy. I

dałaby się całkiem pognębić temu sprzysiężeniu, gdyby sułtan nie wziął jej w obronę.

– Nie utrzymuję – mówił – że Monima jest mniej kochliwa niż Zelmajda, ale sędzę, że jej klejnot jest dyskretniejszy. Zresztą jeżeli usta i klejnot kobiety przeczą sobie wzajem, któremu wierzyć?

– Panie –| odrzekł jeden z dworzan – nie wiem, co jeszcze powiedzą klejnoty, ale do tej pory zabierały głos tylko w materii, która jest im dobrze znana. Dopóki będą na tyle roztropne, by mówić jeno o tym, na czym się znają, będę im wierzył jak wyroczniom.

– Można by chyba – rzekła Mirzoza – radzić się wyroczni bardziej godnych zaufania.

– Po cóż by, pani, miały ukrywać prawdę? – odparł sułtan. – Mogłaby je do tego skłonić tylko jakowaś ułuda honoru; lecz klejnot takimi złudami się nie karmi: nie jest to miejsce, gdzie rodzą się przesady.

– Ułuda honoru! – obruszyła się Mirzoza. –

Przesady! Gdyby Wasza Wysokość był narażony na te same co my niedogodności, odczułby, iż to, co obchodzi cnotę, nie jest bynajmniej złudne.

Wszystkie damy, ośmielone odpowiedzią sułtan-ki, oświadczyły, że poddawanie ich jakimś próbom jest całkiem zbędne; Mangogul zaś odparł, że w każdym razie takie próby są niemal zawsze niebezpieczne.

Po tych słowach zostało podane wino szampańskie. Raczone się nim obficie, uderzyło nieco do głowy. Klejnociki rozgrzały się. Mangogul wybrał tę właśnie chwilę, by znów oddać się swoim zbytkom. Obrócił pierścień na wielce wesołą młodą niewiastę, co siedziała dość blisko niego, naprzeciw swego męża. Za czym dobiegł spod stołu płaczliwy jęk, jakowyś słaby i zamierający głos, który mówił:

– Oj, jestem zmordowany! Już nie mogę, padam ze zmęczenia!– Co to, na Pagodę Pongo Sabiam – krzyknął Hussejm – klejnot mojej żony mówi? Cóż takiego może powiedzieć?

- Zaraz usłyszemy – odpowiedział sułtan. Sgfcf' Pozwolisz, książę – rzekł Hussejm – iż nie będę należał do jego słuchaczy. Wasza Wysokość pojmuję, że gdyby mu się wyrwało jakie głupstwo...

– Pojmuję, żeś chyba rozum postradał, skoro się trwożysz paplaniną klejnotu. Czyż znaczna część z tego, co powie, nie jest znana, a reszta łatwa do odgadnięcia? Usiądź tedy i staraj się dobrze bawić.

Hussejm usiadł, a klejnot jego żony jął gadać jak najęty:

– Czy zawsze będę skazany na tego niezgrabę Valanta? – zawołał. – Znałem takich, którzy umieli kończyć, a ten...

Na te słowa Hussejm zerwał się jak oszalały, chwycił puginał, rzucił się ku drugiej stronie stołu i chciał przebić pierś żony, lecz powstrzymali go siedzący przy niej goście.

– Robisz za dużo hałasu, Hussejmie – rzekł do niego sułtan. – Nic nie słyhać. Czy sądzisz, że klejnot twojej małżonki jest jedynym, któremu brakuje zdrowego rozsądku? Co by się stało z innymi paniami, gdyby ich mężowie byli twego usposobienia? Jak możesz tak rozpaczać z powodu małej, żalostnej przygody jakiegoś Valanta, który nie umiał kończyć! Wracaj na miejsce, zachowuj się jak dwornemu człowiekowi przystało, bacz, by się pilnować i nie uchybić po raz drugi władcy, który cię dopuszcza do udziału w swych rozrywkach.

Gdy Hussejm, skrywając wściekłość, wsparł się o poręcz krzesła, zamknął oczy i przysłonił dłonią czoło, sułtan szybko obrócił pierścień i klejnot mówił dalej:

– Wygodziłbym sobie chętnie z młodym pa-ziem owego Valanta, lecz nie wiem, kiedy będzie mógł zacząć. Zanim jeden zacznie, a drugi skończy, czekam cierpliwie w towarzystwie bramina Egon. Jest strasznie szpetny, przyznaję, lecz posiada dar kończenia i rozpoczynania od nowa. Ach, jak wielkim człowiekiem może być bramin!

Kiedy klejnot wydał ów okrzyk, Hussejmowi zrobiło się wstyd, że się turbuje z powodu kobiety, która nie jest tego warta, i zaczął się śmiać wraz z

całym towarzystwem. Zachował jednak całą urazę do małżonki. Po kolacji każdy udał się do swego pałacu, z wyjątkiem Hussejma, który zawiódł żonę w miejsce, gdzie żyją panny zakryte welonem, i zamknął ją tam. Mangogul, powiadomiony o jej nieszczęściu, złożył jej wizytę. Zastał przy niej wszystkie towarzyszek, zajęte pocieszaniem, a bardziej jeszcze wyciąganiem od niej przyczyny tej niełaski.

•— Znajduję się tu z powodu błahostki – mówiła. – Wczoraj wieczorem na kolacji u sułtana wszyscy podchmielili sobie szampanem, przepili tokajem. Nikt już prawie nie wiedział, co mówi, gdy mój klejnocik postanowił naraz wtrącić się ze swoją gadką. Nie wiem, jakie były jego słowa, ale rozdrażniły mego męża.

— Och, z pewnością mąż postąpił względem pani niesłusznie – odpowiadały siostrzyczki. — Nikt się tak nie gniewa z powodu bagatelek...

— Jak to! Pani klejnot przemówił! A czy jeszcze mówi? Jakże byłybyśmy rade go usłyszeć! Na pewno wyraża się zawsze z polotem i wdziękiem.

Stało się zadość ich życzeniom, albowiem sułtan zwrócił pierścień na uwieczoną nieszczęśniczkę i jej klejnot podziękował im za uprzejmość, wyznając jednak, że, jakkolwiek miłe mu jest ich towarzystwo, bardziej by mu odpowiadało towarzystwo bramina.

Sułtan skorzystał z okazji, żeby dowiedzieć się pewnych szczegółów z życia owych panien. Jego pierścień wypytał najpierw klejnocik młodej siostrzyczki o imieniu Kleantis, i klejnot, co uchodził

za dziewiczy, przyznał się do dwóch ogrodników, jednego bramina i trzech kawalerów; opowiedział też, jak za pomocą pewnego specyfiku i dwóch upustów krwi udało się uniknąć skandalu. Z kolei Zefiryra wyznała głosem swego klejnotu, że zawdzięcza miejscowemu posłańcowi szacowną godność matki. Jedno zdziwiło sułtana: choć te więzione klejnoty wyrażały się nader nieprzystojnymi słowy, dziewice, do których należały, słuchały ich bez rumieńca. Skłoniło go to do przypuszczenia, że jeśli nawet nie dość zażywano ruchu w owych samotniach, to oddawano się w zamian gruntownym spekulacjom.

Aby się o rzeczy upewnić, obrócił pierścień na piętnasto- lub szesnastoletnią nowicjuszkę.

– Flora – odezwał się jej klejnot – nie raz zerkąła przez kratę na młodego oficera. Jestem pewien, że czuła do niego skłonność: powiedział mi to jej mały paluszek.

Źle się to dla Flory skończyło. Starsze towarzyszyki skazały ją na dwa miesiące modlitwy i dyscypliny oraz zarządziły modły o to, by klejnoty kongregacji pozostały nieme.

## ROZDZIAŁ IX

### KTÓRY PRZEDSTAWIA AKADEMIE NAUK W BANZIE

Ledwie Mangogul rozstał się z pensjonatami, wśród których go zostawiliśmy, a już rozniosła się w Banzie wieść,

że wszystkie panny z Kongregacji Kości

Ogonowej Brahmy przemawiają głosem swych klejnotów. Ta pogłoska, ugruntowana jeszcze gwałtownym postępkim Hussejma, podnieciła ciekawość uczonych. Fakt został stwierdzony, po czym zastęp wolnomyślicieli jął się doszukiwać we własnościach materii wyjaśnienia zjawiska, które najpierw uznali za niemożliwe. Gadanina klejnotów dała początek niezmierzonej ilości znakomitych dzieł i ten ważki temat zasilił fascykule różnych akademii wieloma rozprawami, co mogą uchodzić za ostatnie dokonania ludzkiego umysłu.

Ażeby stworzyć i uwiecznić Akademię Nauk w Banzie, zaproszono niegdyś do niej – i wciąż od nowa zapraszano – najświadejszych ludzi w Kongo, w Monoemugi, w Beleguanze<sup>10</sup> i innych sąsiednich królestwach. Miała w swych szeregach, z różnych tytułów, wszystkich, którzy się odznaczyli w historii naturalnej, fizyce, matematyce, oraz większość spośród tych, którzy budzili nadzieję, że się kiedyś w tych naukach odznaczą. Ów rój niestru

dzonych pszczołek pracował bez ustanku, szukając prawdy; i co roku, w tomie pełnym odkryć, publiczność zbierała owoce ich wysiłków.

Akademia podzielona była wówczas na dwa stronnictwami- wirowców i atrakcjonistów. Olibri, zręczny geometra i wielki fizyk, założył sektę wirowców. Circino, zręczny fizyk i wielki geometra, był pierwszym atrakcjonistą.<sup>11</sup> Oby przyświecał jeden cel: wyjaśnić naturę. Zasady Olibriego cechuje na pierwszy rzut oka prostota, która pociąga: pasują na ogół do głównych zjawisk, natomiast rodzą sprzeczności, gdy je stosować do szczegółów. Circino zdaje się wychodzić od niedorzeczności, ale tylko pierwszy krok jest trudny: drobne szczegóły, które burzą system Olibriego, umacniają jego własny; kroczy z początku mroczną drogą, lecz rozjaśnia się ona w miarę, jak się nią postępuje. Droga . Olibriego, przeciwnie, jasna na początku, pogrąża się potem w coraz większych mrokach. Jego filozofia opiera się bardziej na rozumie niż na naukach; natomiast nie sposób być uczniem jego rywala, nie mając zarazem wielkiego rozumu i wielkiej biegłości w naukach. Do szkoły Olibriego wchodzi się bez przygotowania: wszyscy mają do niej klucz. Szkoła Circina jest dostępna tylko dla najpierw- szych geometrów. Wiry Olibriego mogą być zrozumiałe dla wszystkich umysłów. Siły centralne Circina pojmują tylko algebraicy najlepszej próby. Dlatego na jednego atrakcjonistę zawsze przypadać będzie stu wirowców i jeden atrakcjonista zawsze będzie wart stu wirowców. Tak właśnie rzeczy się miały w Akademii Nauk Banzy, kiedy

zaczęła roztrząsać kwestię niedyskretnych klejnotów.

Ów fenomen dostarczał mało punktów oparcia: wymykał się przyciąganiu, nie był polem dla materii subtelnej. Na próżno przewodniczący wzywał tych, co mają jakie pomysły, żeby się nimi podzielili: zgromadzenie trwało w głębokiej ciszy. Wreszcie wstał wirowiec Persyflo, autor traktatów na niezliczone tematy, których nigdy nie rozumiał, i powiedział:

– Panowie, zjawisko może wynikać z całego systemu świata: podejrzewałbym, że powstaje, z grubsza biorąc, z tych przyczyn, co przyływ i odpływ. Zauważcie bowiem, iż mamy dzisiaj pełnię księżyca równonocy. Lecz nim będzie można polegać na mym przypuszczeniu, trzeba posłuchać, co klejnoty powiedzą w przyszłym miesiącu.

Wszyscy wzruszyli ramionami. Nie śmiano mu pokazać, że rozumował jak klejnocik, ale jako że jest przenikliwy, pojął zaraz, iż tak właśnie myślano.

Wtedy zabrał głos atrakcjonista Reciproco i dorzucił:

– Panowie, mam tabele wysnute z teorii wysokości przyływów i odpływów we wszystkich portach królestwa. Prawda, że obserwacje przeczą nieco moim wyliczeniom, ale żywię nadzieję, iż ta niedogodność zostanie naprawiona korzyścią, jaką się w końcu odniesie, jeśli paplanie klejnotów dalej będzie występować w zgodzie z rytmem zjawisk pływowych.

Podniósł się trzeci uczyony, który, podszedłszy do tablicy, nakreślił figurę i powiedział:

– Dany jest klejnot AB...

W tym miejscu, z powodu ignorancji tłumaczy, zostaliśmy pozbawieni dowodu, który był pewnie zachowany u afrykańskiego autora. Brakuje około dwóch stron, po czym czytamy:

“Rozumowanie imć Reciproco wydało się przekonywające. Uznano, wypróbawwszy już jego dia- lektykę, iż zdoła kiedyś wywieść, że kobiety muszą dziś mówić klejnotem o tym, czego zawsze wysłuchiwały uchem.”

Wystąpił następnie doktor Orchotomus, z rodziny anatomów:

–Panowie, uważam, że byłoby lepiej nie zajmować się wcale jakimś zjawiskiem, niż szukać jego przyczyny w hipotezach zawieszonych w próżni. Co do mnie, milczałbym, gdybym miał wam przedłożyć tylko jałowe domysły. Ale ja badałem, studiowałem, rozmyślałem. Widziałem klejnoty w stanie paroksyzmu i, dzięki znajomości organów i doświadczeniom, zyskałem pewność, że owa część, którą zwiemy po grecku delphus<sup>12</sup>, posiada wszystkie właściwości tchawicy, i że istnieją osobnicy mogący mówić równie dobrze klejnotem, co ustami. Tak, panowie, delphus to instrument zarazem strunowy i dęty, bardziej jednak strunowy niż dęty. Powietrze docierające tu z zewnątrz pełni rolę smyczka wobec ścięgniętych włókien obydwu płatków, które nazwałbym wstępami lub strunami głosowymi. To właśnie łagodne zderzenie powietrza z owymi strunami głosowymi wprawia je w drżenie i

za sprawą tych drgań, szybszych lub wolniejszych, wydają one różne dźwięki. Dana osoba może zmieniać te dźwięki do woli, mówić, a nawet śpiewać. Jako że istnieją tylko dwie wstęgi czy struny głosowe i są najwyraźniej tej samej długości, spyta mnie ktoś zapewne, w jaki sposób wystarczają, aby wytworzyć całe mnóstwo tonów niskich i wysokich, mocnych i słabych, do których jest zdolny głos ludzki. Odpowiem, utrzymując porównanie tego organu do instrumentów muzycznych, że owe struny mogą stworzyć takie same dźwięki poprzez wydłużanie się i skracanie.

Wobec zgromadzenia uczonych tej miary, jest rzeczą zbędną, bym udowadniał, iż te części ciała są zdolne do rozciągania się i kurczenia. Tuszę natomiast, że uda mi się również dowieść, iż w wyniku owej rozciągliwości i kurczliwości delphus może wydawać dźwięki wyższe lub niższe, wszystkie wręcz modulacje głosu i tony śpiewu. Odwołam się do doświadczenia. Tak, panowie, podejmuję się wykazać, w waszej przytomności, że zarówno delphus, jak klejnoty potrafią mówić, dysputować, a nawet śpiewać.

Tak przemawiał Orchotomus, wierząc, iż uda mu się podnieść klejnoty do rangi tchawic, które sobie upodobał jeden z kolegów po fachu, próżno atakowany przez zazdrość za rozliczne sukcesy.

## ROZDZIAŁ X

### MNIEJ UCZONY I MNIEJ NUDNY NIŻ POPRZEDNI

#### DALSZY CIĄG POSIEDZENIA AKADEMII

Zobiekcji, jakie przedłożono Orchotomusowi, wynikało, że jego pomysły, nim I I zostaną potwierdzone doświadczeniem, wydają się raczej zręczne niż solidne. „Jeżeli klejnoty – pytano – mają naturalną zdolność mowy, dlaczego tyle czekały, aby uczynić z niej użytek? Jeśli Brahma, który postanowił wzbudzić w kobietach tak silną potrzebę mówienia, był tak łaskaw, że wyposażył je w podwójne organy głosu, jest rzeczą dziwną, iż tak długo były nieświadome tego daru natury lub go zaniedbywały.

Dlaczego ten sam klejnot przemówił tylko raz? Dlaczego wszystkie mówiły tylko na jeden temat? Jaki mechanizm sprawia, że jedno usta muszą zamilknąć, kiedy drugie mówią? Poza tym – dodawano – sądząc z okoliczności, w których większość klejnotów zabierała głos, oraz z tego, co mówiły, należy uznać ich gadanie za mimowolne, albowiem owe części ciała pozostawałyby pewnie dalej nieme, gdyby ich właścicielki były w stanie zmusić je do milczenia.”

Orchotomus wyteżył siły, by odpowiedzieć na te zastrzeżenia, i stwierdził, że klejnoty mówiły zawsze, lecz tak cicho, iż to, co mówiły, było czasem

ledwie słyszalne, nawet dla pań, do których należały; że nic dziwnego, iż podniosły głos w dzisiejszych czasach, w których posunięto swobodę rozmów tak daleko, że można gawędzić otwarcie, nie bacząc na wstyd i niedyskrecję, o tym, z czym są najlepiej obeznane; że, jeśli przemówiły głośno jeden raz, nie należy stąd wnosić, iż na jednym razie poprzestaną; że istnieje duża różnica między niemotą a milczeniem; że, jeśli wszystkie mówiły na ten sam temat, to widocznie dlatego, iż tylko o nim mają jakieś pojęcie; że te, co jeszcze nie mówiły, przemówią, a jeśli będą milczeć, to dlatego, że albo nie mają nic do powiedzenia, albo cierpią na jaką wadę, albo brakuje im konceptu i słów.

– Krótko mówiąc – ciągnął – jeśli twierdzimy, że łaska Brahmy dała kobietom możliwość zaspokajania ich gwałtownej potrzeby mówienia, a to dzięki pomnożeniu ich organów głosowych, musimy uznać tym samym, że jego mądrość umiała zapobiec wszelkim niedogodnościom, jakie owo dobrodziejstwo mogłoby za sobą pociągnąć: to właśnie miał na uwadze, każąc jednym ustom milczeć, gdy drugie mówią. Jest już dla nas rzeczą nazbyt kłopotliwą, że kobiety co chwila zmieniają zdanie: cóż by to było, gdyby Brahma pozwolił im wyrażać dwa sprzeczne zdania jednocześnie? Zresztą dar mowy jest po to, aby się rozumieć; w jaki więc sposób kobiety, które z takim trudem się rozumieją za pomocą jednych ust, mogłyby się porozumieć, mówiąc dwoma? Orchotomus dał odpowiedź na wiele pytań.

Lecz mylił się sądząc, że wszystkich zadowolił. Przyparto go do muru i już miał się poddać, gdy przyszedł mu z pomocą fizyk Cymonaz. Wówczas dysputa stała się burzliwa: porzucono temat, zgubiono go zupełnie, powrócono doń, raz jeszcze zgubiono, umysły się rozjątrzyły, zaczęto krzyczeć, po krzykach przyszły obelgi i posiedzenie Akademii się skończyło.

..... ROZDZIAŁ. XI ...

CZWARTA PRÓBA PIERŚCIENIA

ECHO

Podczas gdy paplanina klejnotów była przedmiotem obrad Akademii, w salo- || nach stała się nowiną dnia, jutra i wielu następnych dni: był to przedmiot niewyczerpany. Do faktów prawdziwych dorzucano fałszywe. Wierzono we wszystko, albowiem cud wszystko uczynił wiarygodnym. I karmiono tym rozmowy przez ponad pół roku.

Sułtan wypróbował był swój pierścień tylko trzy razy, lecz w kółeczku dam, które miały przywilej zasiadać w salonie Manimonbandy, powtórzono słowa klejnociku jakiejś prezydentowej, potem jakiejś markizy, potem znów wyjawiono pobożne sekreta pewnej dewotki, a wreszcie tajemnice pań, co na spotkanie nie przybyły. Przypisywano tym klejnotom Bóg wie jakie przemowy i nie oszczędzono im żadnej sprośności. Od faktów przechodzono do rozważań.

– Trzeba przyznać – mówiła jedna z dam – że ów czar (bo jest to urok rzucony na klejnoty) utrzymuje nas w okrutnym stanie. Jak można żyć ciągle w obawie, że wydobędzie się nagle z naszego ciała jakiś zuchwały odgłosik!

– Ależ – rzekła inna – ten przestach u pani dziwi nas ogromnie: jeśli klejnot nie może wyjawić żadnej śmieszności, jakież to ma znaczenie, czy milczy, czy też mówi?

– Ma to tak wielkie znaczenie – podjęła pierwsza – że oddałabym bez żalu połowę mych kosztowności, aby być pewną, iż mój będzie milczał.

– Doprawdy – odparła tamta – trzeba mieć ważne powody, by dbać o opinię innych, skoro tak drogo kupuje się ich dyskrecję.

– Nie mam ważniejszych niż ktokolwiek inny

– powiedziała Cefiza – i nie zmieniam zdania. Dwadzieścia tysięcy talarów, żeby być spokojną, nie jest wygórowaną ceną. Powiem szczerze, że jestem równie mało pewna mego klejnotu, co moich ust

– a wyrwało mi się z tychże wiele głupstw w moim życiu. Słyszę codziennie o tylu niewiarygodnych awanturkach, obnażonych, potwierdzonych i szczegółowo opowiedzianych przez klejnoty, że nawet gdyby pominąć z tego trzy czwarte, reszta by wystarczyła, żeby nas okryć hańbą. Jeśliby mój własny opowiedział bodaj połowę tych kłamstw, które słyszeliśmy od innych, byłabym zgubiona. Czy nie dość, że naszym zachowaniem rządzą nasze klejnoty – zali trzeba jeszcze, by nasza reputacja zależała od tego, co powiedzą?

–Co do mnie – rzekła żywo Ismena – nie wdaję się w rozważania bez końca i pozostawiam sprawy ich biegowi. Jeśli to Brahma obdarzył mową klejnoty – jak tego dowiódł mój bramin – nie ścierpi z pewnością, by kłamały. Byłoby rzeczą bezbożną twierdzić, że tak nie jest. Mój klejnot

może więc mówić, kiedy zechce i ile zechce: co w końcu takiego może powiedzieć? Dał się wówczas słyszeć głuchy głos, jakby spod ziemi się dobywający, który odpowiedział niczym echo: "Wiele." Ismena, nie mając pojęcia, skąd wychodzi odpowiedź, uniosła się gniewem, nawy- myślała sąsiadkom i w ten sposób przedłużyła zabawę. Sułtan, zachwycony, że dała się oszukać, zostawił ministra, z którym konferował na uboczu, zbliżył się do niej i powiedział:

– Miej się na baczności, pani, bo może kiedyś obdarzyłaś zaufaniem którąś z tych dam i teraz ich klejnoty są na tyle złośliwe, by przywołać zdarzenia, o których pani własny zapomniał.

Po czym, kręcąc pierścieniem we właściwy sposób, Mangogul wywołał, między damą i jej klejnotem, dość osobliwy dialog. Ismena, która należycie pilnowała swych małych sprawek i nigdy nie miała powiernic, odpowiedziała sułtanowi, że wszelki kunszt oszczerców na nic się tu nie zda.

– Może – odrzekł nieznany głos.

– Jak to: może? – spytała Ismena, dotknięta do żywego tą obraźliwą wątpliwością.

– Czego miałabym się obawiać z ich strony?

– Wszystkiego, gdyby wiedzieli tyle, co ja.

– A cóż ty wiesz?

– Wiele, już mówiłem.

– Wiele: to dużo obiecuje i nic nie znaczy. Czy mógłbyś wymienić szczegóły?

– Zapewne.

– Ale jakie, powiedzże? Zali miałam sercowe przypadłości?

- Nie.
- A więc miłostki, awanturki?
- Właśnie.
- Az kim, jeśli łaska? Z fircykami, z żołnierzami, z senatorami?
- Nie.
- Z komediantami?
- Nie.
- To pewnie z moimi paziami, lokajami, z moim spowiednikiem albo z jałmużnikiem mego męża?
- Nie.
- Panie oszuście, lista już więc wyczerpana?
- Niezupełnie.
- Nie widzę wszelako nikogo więcej, z kim można by się wdać w przygodę. Czy to miało być przed, czy po moim ślubie? Odpowiadaj, zuchwalcze!
- Och, pani, dość już obelg, proszę. Nie każ najlepszemu z twych przyjaciół uciekać się do szpetnych postępów.
- Ależ mów, mój drogi, mów. Powiedz wszystko. Równie mało cenię sobie twoje służby, co lękam się twej niedyskrecji. Wytłumacz się zatem, pozwalam ci, nalegam wręcz na to.
- Do czegoż mnie zmuszasz, Ismeno? – rzekł klejnot z głębokim westchnieniem.
- Do oddania sprawiedliwości cnoce.
- Dobrze więc, cnodeła Ismeno: czy nie pamiętasz już o młodym Osminie, o sandzaku Zegri- sie, o twym nauczycielu tańca Alazielu, o nauczycielu muzyki Almurze?

– Co za okropność! – krzyknęła Ismena. – Miałam zbyt czujną matkę, aby mnie mogły osiągnąć podobne występki. Zaś mój mąż, gdyby był tutaj, poświadczyłby, że znalazł mnie taką, jakiej sobie życzył.

– O tak – odparł klejnot – dzięki sekretowi Alcyny, twej bliskiej przyjaciółki.

– Wszystko to – powiedziała Ismena – jest tak śmieszne, niedorzeczne i grubiańskie, że nie potrzebuję nawet się bronić. Nie wiem – ciągnęła – czyj to klejnocik w tym gronie uważa się za tak oświeconego w mych własnych sprawach, ale opowiedział rzeczy, o których mój nic zgoła nie wie, i to od pierwszego słowa.

– Pani – odrzekła Cefiza – mogę cię zapewnić, iż mój poprzestał na słuchaniu.

Inne damy powiedziały to samo, za czym przystąpiono do gry, nie poznawszy dokładnie uczestnika rozmowy, którą przytoczyłem.

## PIĄTA PRÓBA Pierścienia

### Gra

W iększość kobiet / kóleczka Manimonbandy grywała zapamiętane i nie trzeba było ■ przenikliwości Mangogula, żeby się o tym przekonać. Namiętność do gry jest jedną z najtrudniejszych do ukrycia. Czy gracz wygrywa, czy przegrywa, natychmiast widać jej uderzające objawy. "Skądże im się bierze to szaleństwo? – mówił do siebie sułtan. – Jak mogą dać mu się ponieść tak dalece, by spędzać noce wokół stolika do faraona, drżąc w oczekiwaniu na asą czy siódemkę? Ów obłęd niszczy ich zdrowie i urodę, jeśli zdrowiem i urodą się cieszyły, a do tego, pewien jestem, prowadzi ich cnotę na manowce."

– Coś mi nagle przyszło do głowy – odezwał się cicho do Mirzozy – i mam ochotę wprowadzić to zaraz w czyn.

– A co to za wspaniały pomysł? – spytała faworyta.

– Chciałbym obrócić pierścień na najbardziej szaloną z owych hazardzistek, wypytać jej klejnocik i przekazać głosem tego organu dobrą radę wszystkim głupim mężom, którzy pozwalają swoim żonom stawiać na jedną kartę lub kość honor i fortunę domu.

– Bardzo mi się ta myśl podoba – rzekła Mirzoza. – Wiedz jednak, książę, iż Manimon- banda przysięgła właśnie na wszystkie swoje bóstwa, że nie zwoła już więcej kompanii, jeśli choć raz jeszcze zostanie narażona na bezczelność Engastrimutów.<sup>13</sup>

– Jak powiedziałaś, rozkoszy mego serca? – przerwał sułtan.

– Użyłam miana, które wstydliva Manimon- banda nadaje wszystkim właścicielkom mówiących klejnotów.

– Wymyślił je – odparł sułtan – pewien durny bramin, który szczyci się znajomością greki i nieznanym kongijskiego. Lecz, z przeproszeniem Manimonbandy i jej kapelana, pragnąłbym porozmawiać z klejnotem Manilli i byłoby rzeczą właściwą, aby rozmowa odbyła się właśnie tutaj ku zbudowaniu bliźniego.

– Wierzaj mi, panie – powiedziała Mirzoza – iż lepiej oszczędzić tej nieprzyjemności wielkiej suł- tance. Możesz to uczynić tak, by ani twoja, ani moja ciekawość na tym nic nie straciły. Czemu nie zjawisz się w domu Manilli?

– Pójdę tam, skoro tego pragniesz – rzekł Mangogul.

– O której godzinie? – spytała.

– Około północy.

– O północy ona gra.

– Zaczekam więc do drugiej.

– Chyba nie wiesz, co mówisz, książę: to najlepsza godzina dla graczy. Jeśli Wasza Wysokość

zechce posłuchać mojej rady, to pójdzie zaskoczyć Manillę w jej pierwszym śnie, między siódmą a ósmą rano.

Mangogul posłuchał Mirzozy i odwiedził Manillę o siódmej. Służebne przygotowywały ją do snu. Wnet poznał, ze smutku, który miała na obliczu, iż grała była nieszczęśliwie: chodziła tam i z powrotem, zatrzymywała się, wznosiła oczy do nieba, tupiała, wciskała piąstki do oczu i mruzczała pod nosem coś, czego sułtan nie mógł zrozumieć. Pokojowe, które ją rozbierały, towarzyszyły z drżeniem jej wszystkim ruchom; położyły ją wreszcie do łóżka, ale wprzódy musiały znieść niejedną obelgę, a nawet gorzej. Oto więc Manilla spoczywa w swym łożu, zastąpiwszy wieczorną modlitwę złorzeczeniem na jakiegoś przekłętą asa, którego dostała siedem razy z rzędu całkiem na próżno. Gdy tylko zamknęła oczy, Mangogul zwrócił na nią swój pierścień. W tej samej chwili jej klejnot zakrzyknął boleśnie:

– Tym razem mam dość, odkładam partię!

Mangogul pomyślał z uśmiechem, że u Manilli wszystko przemawia słowami gracza, nawet klejnot.

– Nie będę już grał z Abidulem – ciągnął klejnot – umie tylko oszukiwać. I nie chcę już słyszeć o Daresie: jest się z nim narażonym na nieszczęśliwe wypadki. Ismal jest pięknym graczem, lecz nie każdy go może mieć. Mazulim był skarbem, dopóki nie przeszedł przez ręce Krissy. Nie znam gracza bardziej grymaśnego niż Zulmis. Rika kaprysi mniej, ale biedny chłopiec nie ma już

czego stawiać. Cóż uczynić z Lazulim? Najpiękniejsza niewiasta Banzy nie zdołałaby sprawić, by wysilił się na grubszą stawkę. A jakże słabiutkim partnerem jest Molli! Doprawdy, przeredziły się coś szeregi dobrych graczy i wkrótce nie będzie z kim zagrać partyjki.

Po tych jeremiadach klejnot wziął na język kilka osobliwych rozgrywek, których był świadkiem, za czym rozgadał się o tym, jak wytrwała jest jego pani i jakich się ima sposobów, kiedy fortuna jej nie sprzyja.

– Gdyby nie ja – powiedział – Manilla byłaby zrujnowana dwadzieścia razy. Wszystkie skarby sułtana by nie wystarczyły, żeby spłacić długi, które ja spłaciłem. Podczas jednej tury przegrała do poborcy Turkaresa i pewnego księżula ponad dziesięć tysięcy dukatów. Zostawały tylko kosztowności, ale zbyt niedawno jej małżonek wykupił je z zastawu, by mogła ryzykować. Lecz oto dostała karty, które uznała za jeden z owych darów losu zsyłanych przezeń w chwili, gdy ma nas dobić. Nalegano, by się odezwała. Manilla patrzyła w karty, kładła rękę do sakiewki, wiedząc dobrze, że i tak nic z niej nie wyciągnie, wracała do kart, raz jeszcze się im przyglądała i nie mogła się zdecydować.

– Czy pani stawia wreszcie? – spytał finansista.

– Tak, stawiam... stawiam... mój klejnocik

– Za ile?

– Za sto dukatów – powiedziała Manilla.

Książdz spasował: klejnot wydał mu się za drogi.

Turkares przyjął ofertę: Manilla przegrała i zapłaciła.

Płynąca z głupiej próżności chęć posiadania utytułowanego klejnotu podkusiła Turkaresa: zaofiarował sięłożyć na grę mojej pani pod warunkiem, że będę służył jego przyjemnościom, i umowa stanęła od razu. Ale ponieważ Manilla grała wysoko, a zasoby jej finansisty nie były niewyczerpane, rychło ujrzeliśmy dno jego szkatuły.

Pewnego razu moja pani wyszykowała najświetniejszą partię faraona pod słońcem: zaprosiła wszystkich ze swego towarzystwa i ustalono, że stawia się tylko dukatami. Liczyliśmy na mieszek Turkaresa, lecz rankiem owego wielkiego dnia ten łotr przysłał wiadomość, że nie ma ani grosza, i zostawił nas w wielkim kłopotcie. Musieliśmy znaleźć jakieś wyjście, nie było chwili do stracenia. Sięgnęliśmy więc, chcąc nie chcąc, po starego przełożonego braminów i jemu to sprzedaliśmy bardzo drogo kilka faworów, o które zabiegał od stu lat. Ten wieczór kosztował go dwa razy tyle, ile wynosiło jego beneficjum.

Turkares zjawił się po kilku dniach. Był zrozpaczony – mówił -r że został przez panią zaskoczony w trudnym położeniu, i wciąż liczył na jej łaski.

– Mój drogi, źle pan liczysz – odrzekła mu Manilla. – By być w zgodzie z przyzwoitością, nie mogę już pana przyjmować. Kiedy byłeś w stanie płacić, wiedziano w świecie, dlaczego cię znosiłam; ale teraz, kiedy do niczego nie zdatnyś, naraziłbyś mnie na utratę honoru.

Te słowa dotknęły Turkaresa i mnie także, albowiem był on chyba najpoczciewszym chłopcem w

Banizie. Opuścił go zwykły nastrój i oświadczył Manilli, że kosztuje go więcej niż trzy tancerki z opery, które pewnie by go lepiej bawiły.

– Ach! – zawołał z bólem. – Czemu nie zostałem przy mojej małej koronkarce! Kochało mnie toto do szaleństwa i sprawiałem jej taką radość kawałkiem tafty!

Manilla, której nie przypadły do smaku te porównania, przerwała mu straszliwym głosem i rozkazała, by natychmiast wyszedł. Turkares znał ją: wolał zejść spokojnie po schodach, niż wylecieć przez okno.

Potem Manilla pożyczła od innego bramina, który –jak mawiała – przychodził pocieszyć ją w nieszczęściu. Człowiek boży zastąpił finansistę i opłacaliśmy jego pociechy tą samą monetą. Przegrywała mnie jeszcze nieraz, a wiadomo, że w świecie długi zaciągnięte w grze są jedynymi, jakie się spłaca.

Jeśli zdarzy się Manilli grać szczęśliwie, jest to najprzyzwoitsza kobieta w Kongo. Poza namiętnością do gry zmienia się osobliwie całe jej zachowanie: nie słycać, żeby kłęła, jada ze smakiem, płaci swojej modniarce i służbie, daje podarki pokojówkom, wykupuje niekiedy swe rzeczy z zastawu, obsypuje pieśczołami psa i męża. Ale trzydzieści razy w miesiącu kładzie te dobre skłonności wraz z pieniędzmi na szalę jakiegoś pikowego asa. Takie życie zawsze prowadziła, takie będzie prowadzić i Bóg wie, ile jeszcze razy uczyni ze mnie rękojmię swych pożyczek.

Tutaj klejnot zamilkł i Mangogul udał się na spoczynek. Obudzono go koło piątej po południu, za czym pojechał do opery, zgodnie z obietnicą, którą dał faworycie.

## SZÓSTA PRÓBA PIERŚCIENIA

### OPERA

Spośród wszystkich widowisk Banzy tylko opera utrzymywała należyty poziom. Domidosol i Doremifasolasido, sławni kompozytorzy, z których pierwszy wkraczał w wiek sędziwy, a drugi niedawno się urodził,<sup>14</sup> wypełniali na przemian swymi dziełami muzyczną scenę. Każdy z owych rzadkich twórców miał swoich zwolenników: ignoranci i starcy trzymali stronę Domidosola, natomiast młodzież i mistrzowie byli za Doremifasolasidem. Zaś ludzie o dobrym smaku, młodzi i starzy, mieli wysokie mniemanie o obydwu.

Doremifasolasido – mówili ci ostatni jggjjjest wyborny w najbardziej udanych partiach, lecz popada czasem w bezruch między nimi: komu to się nie zdarza? Domidosol tworzy w sposób bardziej staranny i wyrównany, toteż pełno u niego przykładów piękna; wśród nich nie masz jednak takich, których nie można by znaleźć, i to w bardziej uderzającej postaci, u jego rywala: u tegoż z kolei widać znamiona, co jego tylko dziełom są właściwe i których gdzie indziej się nie spotyka. Sztuka starego Domidosola jest prosta, naturalna, jednolita, niekiedy zbyt jednolita, i to jej błąd.

Sztuka młodego Doremifasolasida jest szczególna, błyskotliwa, afektowana, wyszukana, niekiedy zbyt wyszukana, ale to być może wina słuchacza. Pierwszy używa wciąż tej samej uwertury – pięknej, to prawda, lecz powtarza się ona na początku każdej jego opery; drugi stworzył tyle uwertur, ile oper i wszystkie uchodzą za arcydzieła. Natura prowadziła Domidosola drogami melodii; studia i doświadczenie odkryły przed Doremifasolasidem źródła harmonii. Gdzie znajdziemy taką deklamację, tak wyrazisty śpiew, jak u starszego? Kto nam stworzy te lekkie arietty, te rozkoszne arie, te symfonie z charakterem, które tworzy młodszy? Tylko Domidosol rozumiał się na sztuce słowa. Lecz nikt przed Doremifasolasidem nie rozróżniał delikatnych odcieni, co oddzielają czułość od lubości, lubość od namiętności, namiętność od zmysłowości; kilku jego zwolenników utrzymuje nawet, że jeśli język jego dzieł ustępuje językowi Domidosola, to przyczyny szukać należy nie w nierówności ich talentów, lecz w różnym poziomie poetów, których zatrudniali... "Przeczytajcie należycie – mówią – jedną scenę z Dardanusa,<sup>16</sup> a przekonacie się, że jeśli Doremifasolasido dostanie dobre słowa, odrodzą się czarowne sceny Domidosola"

Jakkolwiek rzeczy się miały, faktem jest, iż w moich czasach całe miasto biegło na tragedie muzyczne Domidosola i tłoczyło się na baletach Doremifasolasida. Wystawiano wówczas w Banzie znakomite dzieło Doremifasolasida, które nie wywołałoby pewnie takiego rozgłosu, gdyby sułtańska faworyta nie

powzięła ochoty, by je zobaczyć. Co prawda, okresowa niemoc, jakiej ulegają klejnoty, nie pozwoliła wystąpić głównej aktorce, ku uciesze młodszych rywali muzyka; lecz choć jej zastępczyni śpiewała nie tak pięknym głosem, wynagradzała to grą, a zatem nic nie przeszkadzało, by sułtan i faworyta zaszczylicili owo widowisko swoją obecnością.

Najpierw przybyła Mirzoza, po niej przybył sułtan, wreszcie podniosła się kurtyna i zaczęło się. Wszystko szło jak najlepiej: panna Chevalier grała tak, że zapomniano o pannie Le Maure,<sup>16</sup> i oto podczas czwartego aktu sułtanowi przyszło do głowy, w samym środku chórów, które jego zdaniem zbyt długo trwały i które już dwakroć zmusiły faworytę do ziewania, aby obrócić pierścień na wszystkie śpiewaczki naraz. Nigdy nie widziano w teatrze równie osobliwej komicznej sceny. Trzydzieści panien zamilkło nagle, choć dalej szeroko otwierały usta i trwały w teatralnych pozach, w których zostały zaskoczone. Natomiast ich klejnoty darty się wniebogłose, wyśpiewując już to jakiś kuplet uliczny, już to piosenkę nieprzyzwoitą, już to sprośną imitację oraz wszelkie brednie zgodne z charakterem każdego. Słyszano więc gdzieś: "Och, naprawdę moja kumo, tak było!", a z drugiej strony: "Co? Dwanaście razy?" Tu: "Któż u mnie gości? czy to Błażej jegomości?", ówdzie: "Ojcze Hieronimie, nic was nie powstrzymie!" Wszystkie wreszcie wspięły się na ton tak wysoki, tak dziwaczny i szalony, że powstał z tego chór najbardziej niezwykły, najhałaśliwszy i najpocieszniejszy, jaki

słyszano od czasu... (w tym miejscu rękopis jest nieczytelny).

Tymczasem orkiestra wciąż grała i śmiechy parteru, galerii i łóż połączyły się z dźwiękiem instrumentów i pieniem klejnotów, by kakofonia sięgnęła szczytu.

Kilka aktorek uciekło za kulisy – w obawie, że ich klejnoty, znudzone nuceniem różnych głupstw, zechcą je wygłaszać. Ale skończyło się na strachu: Mangogul, przekonany, iż publiczność nie dowie się w ten sposób niczego nowego, odwrócił pierścień. W tejże chwili klejnoty zamilkły, śmiechy ustały, powrócił spokój: widowisko potoczyło się dalej i zakończyło bez zakłóceń. Kurtyna spadła, sułtańska para zniknęła, a klejnoty naszych śpiewaczek udały się tam, gdzie ich oczekiwano, aby zająć się czym innym niż śpiewaniem.

Zdarzenie to wywołało wiele hałasu. Mężczyźni śmiali się, kobiety wpadały w popłoch, bonzowie się oburzali, a akademicy dostawali zawrotu głowy. Lecz cóż mówił Orchotomus? Orchotomus triumfował. Oznajmił był przecież, iż klejnoty niechybnie zaczną śpiewać: zaśpiewały właśnie i ów fakt, który zbijał z tropu jego uczonych kolegów, był dlań promieniem światła utwierdzającym na dobre jego system.

## DOŚWIADCZENIA ORCHOTOMUSA

Piętnastego dnia księżycy... Orchotomus

odczytał w Akademii memoriał, w którym przedstawił swe zapatrywania na temat mowy klejnotów. A ponieważ zapowiadał w nim pewnym tonem, że przeprowadzi niezawodne doświadczenia, że powtórzy je nawet kilkakrotnie i zawsze z powodzeniem, wielu słuchaczy dało się olśnić tym obietnicom. Zachowali oni jakiś czas owe dobre wrażenia i Orchotomus uchodził przez całe sześć tygodni za kogoś, kto poczynił wcale ładne odkrycia.

Aby jego triumf był pełen, należało tylko wykonać w przytomności członków Akademii sławetne doświadczenia, które tak zachwalał. Zgromadzenie zwołane w tym celu było najświetniejszej próby; przybyli również ministrowie, nawet sułtan nie pogardził tą okazją, tyle że pozostał niewidzialny.

Mangogul lubił wielce monologować, a przy tym czczość konwersacji, jakim się w jego czasach oddawano, wywołała w nim nawyk mówienia do siebie. "Orchotomus – mówił więc sobie w duchu – musi być skończonym szarlatanem albo też geniusz, mój opiekun, wielkim głupcem. Jeśli bowiem ów akademik, który z pewnością nie jest cza

rodzajem, może obdarzyć mową martwe klejnoty, mój geniusz postąpił zgoła nieroztropnie, zawierając pakt z diabłem<sup>17</sup> i dając mu swoją duszę po to, by zamieszkała w klejnotach żyjących."

Mangogul gubił się w tych domysłach, gdy znalazł się w samym środku akademickiego posiedzenia. Jak wiemy, Orchotomus miał za widzów najbieglejszych w klejnociej kwestii uczonych Banzy. Aby być zadowolonym ze swego audytorium, brakowało mu tylko jednego: żeby i ono było zeń zadowolone. Wszelako wyniki doświadczeń były jak najgorsze. Orchotomus brał jakiś klejnocik, przytykał doń usta, dmuchał do utraty tchu, odkładał, znów go brał do ręki, próbował innego – albowiem przyniósł był klejnoty wszelkiego wieku, stanu, wielkości i barwy; próżno jednak dął ze wszystkich sił: słychać było jeno nieartykułowane dźwięki, całkiem różne od tych, które obiecywał.

Na sali zaczęto szemrać, co zbiło go z tropu w pierwszej chwili, ale wnet się opanował i stwierdził, iż podobnych doświadczeń nie sposób wykonać łatwo wobec tak wielkiej liczby świadków. I tutaj miał rację.

Mangogul zirytował się, wstał i odszedł, by w jednym mgnieniu oka znów pojawić się u faworyty.

–Cóż więc, panie – rzekła mu, gdy go ujrzała – kto lepszy: ty czy Orchotomus? Bo nie wątpię, iż jego klejnoty czyniły cuda.

Sułtan przemierzył kilka razy komnatę wzdłuż i wszerz, nie odpowiadając.

– Lecz Wasza Wysokość wydaje się niezadowolony...

– Ach, pani odparł sułtan – zuchwałość tego Orchotomusa jest niezrównana! Nie chcę już o nim słyszeć... Co powiecie, przyszłe pokolenia, kiedy się dowiedzą, że wielki Mangogul płacił podobnym ludziom sto tysięcy talarów pensji, gdy dzielni oficyjerowie, którzy swoją krwią okupili wawrzyny zdobiące jego czoło, musieli się zadowolić czterystoma funtami renty?... Do stu piorunów! Nie posiadają się ze złości! Zepsuło mi to humor na cały miesiąc.

W tym miejscu Mangogul umilkł i dalej przemierzał komnatę faworyty. Z opuszczoną głową chodził tam i sam, od czasu do czasu zatrzymywał się i tupał nogą. Na chwilę usiadł, wstał nagle, pożegnał Mirzoę, zapomniał ją ucałować i oddalił się do swoich pokoi.

Afrykański autor, który zapewnił sobie nieśmiertelność spisując wielkie i cudowne czyny Ergeb- zeda i Mangogula, pisze dalej tak:

Widząc złość Mangogula, sądzono, że wypędzi z królestwa wszystkich uczonych. Nic podobnego. Nazajutrz wstał wesół, zabawiał się rankiem w gonitwę do pierścienia, wieczorem zaś wieczerzał wraz ze swymi kompanami i Mirzoą pod wspianiałym namiotem ustawionym w ogrodach seraju i zdawał się jak najmniej przejęty sprawami państwa.

Charaktery złością podlane, warchoły z całego Konga i nowinkarze z Banzy nie omieszkali zganić takiego postępowania. Czegóż jednak ci ludzie nie ganią?

– Czy tak – mówili na promenadach i w

kawiarniach – rządzi się państwem? Dźgając kopią przez cały dzień i biesiadując po nocy?

–Ach, gdybym był sułtanem! – wykrzykiwał jakiś senatorzyna zrujnowany grą, rozwiedziony z żoną, którego dzieci otrzymywały najgorszą edukację pod słońcem. – Gdybym był sułtanem, uczyniłbym z Konga kraj prawdziwie kwitnący. Byłbym postrachem mych wrogów i radością mych poddanych. W niecałe pół roku przywróciłbym należyty ład, umocnił prawa, rozwinął sztukę wojskową, powiększył flotę. Miałbym ze sto okrętów wojennych! Nasze nieużytki byłyby rychło żyzne, a nasze drogi naprawione. Zniósłbym podatki, lub przynajmniej zmniejszył o połowę. Co do pensji, panowie pięknoduchy, na honor, uszczknęlibyście ich tyle, co nic. Klnę się na Pagodę Pongo Sabiam: dobrzy dowódcy, starzy żołnierze, osoby wysokich urzędów poświęcające, jak niektórzy z nas, cały swój wysiłek, sen nawet, by działa się ludowi sprawiedliwość – oto ludzie, których obsypałbym dobrodziejstwami!

–Czy pamiętacie, panowie, naszego wielkiego cesarza Abdelmaleka z dynastii Abissynów, który panował dwa tysiące trzysta osiemdziesiąt pięć lat temu? – dorzucił pewnym siebie tonem stary, bezzębny polityk, z ulizanymi włosami, noszący kaftan z dziurą na łokciu i postrzępione mankiety. – Czy pamiętacie, że kazał wbić na pal dwóch astronomów, bo się pomylili o trzy minuty, przepowiadając godzinę zaćmienia słońca, oraz pokroić żywcem swego chirurga i pierwszego medyka za to, że

mu przepisali nie .w porę manę na przeczyszczenie?

– A ja pytam was – dołączył inny – na co komu wszyscy ci próżniaczy bramini, to robactwo tuczone naszą krwią? Czyż ogromne bogactwa, w które opływają, nie należałyby się raczej takim uczciwym ludziom jak my?

Jeszcze inny wywodził:

– Czy kto znał czterdzieści lat temu nową kuchnię i likiery lotaryńskie?

Otoczyliśmy się zbytkiem, który zwiastuje bliski upadek państwa: to nieunikniony skutek pogardy dla bogów i rozprężenia obyczajów. W czasach wielkiego Kanoglu, gdy przy stole jadano tylko proste mięsiwa i pito tylko sorbet, kto by się zachwycał wycinankami, werniksami Martina czy muzyką Rameau? Dziewczęta z opery nie były wcale bardziej srogie niż dzisiaj, ale można je było mieć za znacznie niższą cenę. Jak widzicie, nasz władca popsuł wiele. Ach, gdybym był sułtanem!

– Gdybyś był sułtanem – odparł żywo stary wojak, który zdołał wyjść cało z bitwy pod Fonte- noy i stracił rękę u boku swego wodza pod Law- feld<sup>18</sup> – postępowałbyś jeszcze głupiej niż przemawiasz. Ech, przyjacielu! Nie umiesz poskromić języka, a chcesz władać królestwem! Nie potrafisz rządzić rodziną, a korci cię, by rządzić państwem! Milcz, nieszczęsny! Złóż hołd ziemskim mocom i podziękuj bogom za to, że zostałeś zrodzony w kraju i czasach monarchy, którego roztropność jest drogowskazem dla jego ministrów i którego wale-

czność podziwia każdy żołnierz; którego lękają się wrogowie i wielbią poddani, i któremu zarzucić można jeno wyrozumiałość, z jaką traktuje tobie podobnych pod swymi rządami.

## BRAMINI

Gdy uczeni już się nagadali o klejnotach, zabrali się do nich bramini. Religia uznała klejnocie opowieści za przedmiot należący do zakresu jej wyroków i wnet jej słudzy zaczęli twierdzić, iż widać palec Brahmy w tym zjawisku.

Odbyło się wielkie zgromadzenie kapłanów. Postanowiono, że zleci się najtęższym w piórze, by dowiedli niezbitcie, iż fakt jest nadprzyrodzony; zanim zaś ukazą się ich dzieła, należy to głosić w uniwersyteckich dysputach, w prywatnych rozmowach, w pracy spowiedniczej i w publicznych kazaniach.

Lecz choć przyjęli jednomyślnie, że fakt jest nadprzyrodzony, nie zgodzili się przecie w innej kwestii: ponieważ w Kongo wierzono w dwie siły rządzące światem, głosząc rodzaj manicheizmu, podzielili się według tego, której z owych sił należy przypisać paplaninę klejnotów.

Ci, którzy prawie nigdy nie opuszczali cel i wertowali jeno swe księgi, przypisywali cud Brahmie. Tylko on – mówili – jest zdolny zakłócić ład natury, zaś przyszłość pokaże, iż miał, czyniąc tak, wielce głębokie zamysły.

Ci natomiast, którzy bywali w salonach i których łatwiej było zaskoczyć w alkowie, niż zastać przy pracy w gabinecie, lękali się, by jaki niedyskretny klejnot nie odsonił ich obłudy, toteż obarczyli winą za gadulstwo klejnotów Kadabrę, złoczyńne bóstwo, zaprzysięgłego wroga Brahmy i jego sług.

Ta druga teoria dość słabo mogła się oprzeć zasadniczym wątpliwościom i nie zmierzała zgoła prostą drogą ku poprawie obyczajów. Nawet jej obrońcy nie dali się temu zwieść. Ale należało się skryć za dobrymi pozorami, a żeby to osiągnąć, nie było takiego sługi wiary, który by się po stokroć nie sprzeniewierzył bóstwom i ich ołtarzom.

Mangogul i Mirzoza regularnie uczestniczyli w bramińskich nabożeństwach, o czym całe królestwo dowiadywało się z gazety. Udali się tedy do wielkiego meczetu w dniu, w którym obchodzono jedno z ważnych świąt. Bramin, którego rzeczą było objaśnianie bożego prawa, wspiął się na kazalnicę, zalał najpierw sułtana i faworytę pustosłowiem, komplementami i nudą, a potem rozpoczął mowę o tym, jaki jest prawowierny sposób siadania w towarzystwie. Wywiódł był właśnie, przywołując niezliczone autorytety, iż takowy jest niezbędny, gdy nagle, porwany świętym uniesieniem, wygłosił tę oto tyradę, która tym większe zrobiła wrażenie, że się jej nie spodziewano:

– Cóż słyszę w światowych miejscach? Szmary jakieś dziwne, odgłosy niebywałe dobiegają moich uszu. Wszystko wyrodnieje i oto zdolność mówienia, którą łaskawość Brahmy obdarzyła dotąd tylko język, została przeniesiona na inne organy. I jakie

organy! Wiecie dobrze. Zali trzeba było aż cudu, aby cię wyrwać z uśpienia, ludu niewdzięczny? Zali twoje grzechy nie były dość widoczne i potrzebowały jeszcze tego, by przemówiły głośno ich główne instrumenta? Widocznie miara występku się przebrała, skoro gniew niebios ucieka się do nowej kary. Próżno kryliście się w mroku, próżno liczyliście na niemotę współników: czy słyszycie ich teraz? Zewsząd świadczą przeciw wam i objawiają waszą bezecność światu. O ty, co nimi rządysz w swej mądrości, Brahmo! Twoje wyroki są sprawiedliwe. Twoje prawo potępia kradzież, wiarołomstwo, fałsz i cudzołóstwo; nie dopuszcza ani podłości oszczerstwa, ani podstępów ambicji, ani szarów nienawiści, ani sztuczek zakłamania. Twoi wierni kapłani nieustannie głosili te prawdy twym dzieciom i grozili karami, które w swym słusznym gniewie przeznaczałeś zaprzańcom. Daremnie jednak: szaleni oddali się pokusom namiętności, rzucili się w ich wir. Wzgardzili naszymi radami, wyśmiali nasze przestrogi, uznali za czcze nasze klątwy. Umocnili się w występku, uczynili go jeszcze gorszym i powszechniejszym. Wreszcie echo ich bezbożności dotarło aż do ciebie, a my nie mogliśmy już zapobiec straszliwej pladze, którą na nich spuściłeś. Błagaliśmy cię najpierw długo o litość, a teraz chwalimy twą sprawiedliwość. Zdruzgotani pod twym biczem, wrócą niechybnie do ciebie i poznają rękę, co ich pokarała. – Lecz o bezprzykładny uporze! o bezmierna ślepoto! – przypisali skutki twojej potęgi przypadkowym mechanizmom natury. Powiedzieli sobie w duchu:

Brahmy nie ma; nie znamy wszystkich właściwości materii, a zatem ów nowy dowód na istnienie bóstwa jest tylko dowodem ciemnoty i łatwowierności tych, którzy nam go przedkładają. Za czym na tej podstawie wzniesli systemy, wymyślili hipotezy, spróbowali doświadczeń. Ale Brahma, z wysokości swej wiecznej siedziby, zakpił sobie z ich próżnych przedsięwzięć. Upokorzył zuchwałą naukę i oto pękła niczym szkło bezsilna zaporą, która miała kiełznać rozmowność klejnotów. Niechże więc owe chełpliwe robaki uznają słabość swojego rozumu i daremność swych wysiłków! Niech przestaną zaprzeczać istnieniu Brahmy lub ustanawiać granice jego władzy. Brahma jest, jest wszechmocny i ukazuje się nam równie wyraźnie w swych naj-sroższych karach, co w swych niewymownych łaskach.

Lecz co je sprowadziło, owe kary, na tę nieszczęsną krainę? Czy to nie twoje nieprawości, mężu chciwy i bez wiary?! twoje zaloty i nierozumne amory, bezwstydną kobieto z wielkiego świata?! Twoje haniebne wybryki i twoja rozpusta, nędzny lubieżniku?! twoja niechęć do wspomaganiania naszych klasztorów, dusigroszu?! twoje krzywdzące wyroki, sędzio zaprzędany czyjejs łasce?! twoje lichwiarskie zyski, kupcze nienasycony?! twoja gnuśność i twoje niedowiarstwo, bezbożny i zniewieściału dworaku?!

Wy zaś, które ten dopust dotknął najbardziej, niewiasty i panny zapamiętałe w rozwiązłości, wiedzcie: gdybyśmy nawet, zapomniawszy o powinnościach naszego stanu, okrywali milczeniem

wasze występki, nosicie w sobie głos bardziej nie- oględny od naszego. Towarzyszy wam wszędzie i wszędzie wam wypomni nieczyste żądze, podejrzone przyjaźnie, grzeszne związki; wszystkie te zabiegi, aby się podobać, wszystkie podstępny, aby uwieść, wszystkie sztuczki, aby zdobyć utrzymać; całą gwałtowność waszych zapałów i całą furię waszej zazdrości. Na cóż więc czekacie, by zrzucić jarzmo Kadabry i odnaleźć się pod słodkimi prawami Brahmy? Ale powróćmy do tematu. Mówiłem tedy, że światowcy siadają po heretycku z dziewięciu powodów. Po pierwsze... (itd.).

Ta oracja wywarła nader różne wrażenia. Mangogul i sułtanka, jedyni, którzy znali tajemnicę pierścienia, uważali, iż bramin wyjaśnił równie właściwie mowę klejnotów za pomocą religii, jak Orchotomus za pomocą nauk rozumu. Damy i fir- cyki z dworu orzekli, że kazanie było wywrotowe, a kaznodzieja to wigoner. Pozostali słuchacze uznali go za proroka, uderzyli w płacz, przystąpili do modłów, biczowali się nawet, i żyli po dawnemu.

Więści o zdarzeniu doszły również do kawiarni. Pewien pięknoduch stwierdził, że bramin ledwo dotknął przedmiotu i że jego występ był jeno zimną i zgryźliwą deklamacją. Ale zdaniem dewotek i nawiedzonych był to od stu lat najbardziej przekonujący popis elokwencji, jaki słyszano w świątyniach. Moim zaś zdaniem i pięknoduch, i dewotki mieli rację.

## WIDZENIE MANGOGULA

W czasach, gdy pojawiły się mówiące klej noty, inna też kwestia wywołała niepokój j w państwie. Poszedł spór o penum, czyli mały kawałek sukna, który kładziono na zmarłych. Dawny rytuał wymagał, by go kłaść na ustach. Reformatorzy utrzymywali, że trzeba go kłaść na zadku. Dysputa stawała się coraz gorętsza. Miało już dojść do bitki, kiedy sułtan, do którego odwołały się oba stronnictwa, zgodził się, by najbardziej uczeni spośród przywódców wytoczyli swe argumenta w jego obecności. Roztrząsali rzecz dogłębnie. Przywołali na pomoc tradycję: święte księgi i ich komentatorów. Po obydwu stronach były ważne racje i wielkie autorytety. Mangogul, niepewny, co począć, odłożył werdykt do następnego tygodnia. A kiedy termin minął, obrońcy dogmatu i ich przeciwnicy znów się u niego zjawili na audiencji.

Sułtan: Ilj Moi kapłani, siadajcie. Przejęty wagą problemu, który was dzieli, od dnia dysputy, co się odbyła u stóp tego tronu, nieustannie błagałem niebo, by mnie oświeciło. Ostatniej nocy, w godzinie, którą Brahma obrał sobie, by przemówić do ludzi miłych jego sercu, miałem widzenie. Zdało

mi się, że słyszę rozmowę dwóch godnych osobników, z których jeden mniemał, iż ma dwa nosy na twarzy, drugi zaś, iż ma dwie dziury w zadku. Oto, co sobie mówili.

Rozpoczął ten z dwoma nosami:

- Sięgać co chwilę ręką do tyłka, dziwna to zaiste mania...
- To prawda...
- Nie mógłbyś się waszmość jej wyzbyć?
- Nie łatwiej niż waszmość drugiego nosa...
- Ale moje dwa nosy istnieją naprawdę: widzę je, dotykam ich, i im częściej je widzę i ich dotykam, tym bardziej jestem przekonany, że je mam. Pan natomiast obmacujesz się od dziesięciu lat i zawsze stwierdzasz, że masz zadek taki jak inni; winienesz był tedy uleczyć się z tego bzika...
- Z mojego bzika! To ty oszalałeś, człeku z dwoma nosami!
- Nie kłóćmy się. Zostawmy to. Opowiedziałem ci kiedyś, panie, w jaki sposób stałem się posiadaczem dwóch nosów. Teraz ty mi opowiedz historię twoich dwóch dziur, jeśli pamiętasz...
- Jeśli pamiętam! Tego się nie zapomina. Było to trzydziestego pierwszego dnia miesiąca, między pierwszą a drugą w nocy.
- Cóż się stało?
- Zaczekaj pan, jeśli łaska. Czy aby się nie mylę?... Nie. Choć znam się na arytmetyce tylko trochę, umiem właśnie to, co potrzebne.
- To zadziwiające! Tamtej nocy więc?...
- Tamtej nocy usłyszałem głos, który nie był mi nie znany i którym ktoś krzyczał: "Na pomoc! Na pomoc!" Patrząc i widząc młodą niewiastę, przera

żoną, z rozwianym włosom, biegnącą co sił w nogach w moją stronę. Za nią gnał jakiś wściekły dziadyga o wyglądzie gbura. Jego strój oraz narzędzie, w które był uzbrojony, kazały się domyślać, że jest stolarzem. Nosił tylko pludry i koszulę. Jej rękawy były odwinęte po łokieć, miał żylaste ręce, ogorzałe lico, zmarszczone czoło, gęstą brodę, nabrzmiąle policzki, płomień w oku, włochate piersi i spiczasty czepek na głowie.

– Widzę go.

–Kobieta, której już dopadał, wciąż krzyczała: “Na pomoc! Na pomoc!” Stolarz zaś mówił, doganiając ją: “Nie uciekniesz. Mam cię. Nikt już nie będzie mógł rzec, iż jesteś jedyną, która jej nie ma. Do wszystkich diabłów, będziesz miała taką samą jak inne!” W tejże chwili nieszczęsna potyka się i pada plackiem, krzycząc coraz głośniejsze: “Na pomoc! Na pomoc!”, stolarz zaś odpowiadał: “Krzycz, krzycz, ile wlezie. I tak będziesz ją miała, dużą czy małą, ręczę za to.” Łapie ją, podnosi spódnicę i odsłania zadek. Ów tyłeczek, biały jak śnieg, tłusty, jędrny, okrągłutki, pyzaty, pulchny, był podobny jak dwie kiopki wody do pupci żony wielkiego kapłana.

Wielki kapłan: Mojej żony!

Sułtan: –.Czemu nie?

Człowiek z dwiema dziurami ciągnął:

–| Istotnie ona to była. Rozpoznałem ją. Stary stolarz przydusza ją stopą do ziemi, schyla się, chwytając oburącz za nogi poniżej siedzenia, tam gdzie się zginają, wtlacza kolana pod brzuch i unosi jej zadek. W ten sposób mogłem się onemuż

przyglądać do woli i widok ten nie był mi niemiły, choć spod kiecek wydobywał się słabnący głos: "Na pomoc! Na pomoc!" Uznasz waszmość, że mam bezwzględną duszę i twarde serce, ale człek nie powinien udawać lepszego, niż jest. Wyznaję przede wszystkim ze wstydem, że w owej chwili czułem w sobie więcej ciekawości niż współczucia i że wołałem podziwiać niż biec z pomocą.

W tym miejscu wielki kapłan znów przerwał sułtanowi i spytał:

- Panie, czyżbym był przypadkiem jednym z uczestników tej rozmowy?...
- Czemu nie?
- Człowiekiem z dwoma nosami?
- Czemu nie?
- A ja -- dorzucił przywódca reformatorów -- człowiekiem z dwiema dziurami?
- Czemu nie?

Łajdak stolarz ujął narzędzie, które przedtem położył na ziemi. Był to świder. Wkłada sobie koniec wiertła do ust, żeby je zwilżyć, przyciska mocno trzonek do brzucha, pochyla się ku nieszczęśliwej, która wciąż woła: "Na pomoc! Na pomoc!", i gotuje się, by jej wywiercić dziurkę w miejscu, gdzie powinny być dwie, a gdzie nie było ani jednej.

Wielki kapłan: – To nie moja żona.

Sułtan: – Lecz stolarz przerywa nagle operację i opamiętawszy się, rzecze:

- A to piękną bym zrobił robotę! Ale to jej byłaby wina: dlaczego się nie godzi z dobrej woli? Pani, chwilę cierpliwości.

Odkłada na ziemię świder, wyciąga z kieszeni jasnoróżową wstążkę, przytrzymuje jej koniec kciukiem lewej ręki na kości ogonowej swej ofiary, resztę zaś prowadzi kółkiem środkiem zadka, przyciskając kantem dłoni, aż do podbrzusza. Dama, krzycząc swoje "Na pomoc! Na pomoc!", szamotała się, wrywała, miotła na prawo i lewo, zrzucała wstążkę i psuła stolarzowi jego miarę. Ów zaś mówił:

– Pani, jeszcze nie czas, byś krzyczała. Żadnego bólu ci przecie nie sprawiam. Podchodzę do rzeczy z największą ostrożnością. Jeśli nie będziesz uważała, zrobię całą robotę na opak, lecz tylko do siebie będziesz mogła mieć żal. Wszystko musi mieć właściwe miejsce. Trzeba zachować pewne proporcje: to ważniejsze, niż pani myśli. Jeszcze chwila, a nie będzie już można niczemu zaradzić, i zobaczysz, jaka ogarnie cię rozpacz.

Wielki kapłan: – I Wasza Wysokość to wszystko słyszał?

Sułtan: – Tak jak ciebie słyszę.

Wielki kapłan: –Cóż kobieta?

Sułtan: 1|| Zdało mi się – ciągnął opowiadający – że jest na poły przekonana; z odległości między jej piętami poznałem, że zaczyna godzić się z losem. Nie wiem dokładnie, co mówiła stolarzowi, ale stolarz odpowiedział tak:

–Nareszcie trochę rozsądku! Jak trudno wyperswadować coś kobietom!

Mistrz Anofor mógł więc nieco spokojniej wziąć miarę, po czym przyłożył swoją wstążkę do liniału, wziął ołówek do ręki i spytał:

–Jaką życzysz sobie pani?

– Nie rozumiem.

– Czy wedle proporcji starożytnych, czy też współczesnych?...

Wielki kapłan: – O jakże głębokie są zrządzenia niebios! Jakąż bzdurą byłoby to wszystko, gdyby nie było objawieniem! Ukorzmy nasz rozum i oddajmy się wielbieniu.

Sułtan: – Nie pamiętam już odpowiedzi damy, natomiast stolarz odrzekł:

Ona bredzi, doprawdy. Przecież to do niczego nie będzie podobne. Każdy powie: "Co za osioł wiercił dziurę w tym zadku?..."

Dama: – Dość gadania, mistrzu Anoforze, zróbcie tak, jak wam mówię...

Anofor: – Zróbcie tak, jak wam mówię! Ależ pani, każdy ma swój honor...

Dama: – Chcę właśnie taką, i w tym miejscu, mówię. Chcę i już...

– Stolarz śmiał się na całe gardło, a i ja, czy sądzisz waszmość, że mogłem zachować powagę? Tymczasem Anofor zaznacza linie na wstążce, przykładają znowu i woła:

–Pani, toć to niemożliwe, to niedorzeczność. Ktokolwiek zobaczy ten tyłek, nawet jeśli nie jest znawcą, będzie kpił i z ciebie, i ze mnie. Wiadomo, że ot tutaj ma być przerwa, ale nie robiono jej nigdy tak znaczną. Co za wiele, to za wiele. Chcesz pani naprawdę?...

Dama: – Ech, mówię przecie! Chcę i kończmy już z tym...

Na to mistrz Anofor chwyta ołówek i kreśli na jej zadku linię zgodnie z tymi, które zaznaczył na wstążce. Wytacza prostopadłą i wzruszając ramionami, mruczy do siebie: „Jak to będzie wyglądać! Jeśli ma taki kaprys...” Bierze świder i pyta:

— W tym miejscu, pani?

— Tak, tu, dalejże...

— Dobrze. Lecz...

— Cóż znowu?

— Nie mogę.

— Dlaczego, jeśli łaska?

— Dlaczego? Bo drzysz, pani, i zaciskasz pół- dupki, tak że straciłem z oczu punkt dla mojej prostopadłej i mógłbym zacząć wiercić za wysoko lub za nisko. Nuże, trochę odwagi!

— Łatwo ci mówić. Pokaż no mi wiertło. Litości!

— Przysięgam, że to najmniejsze ze wszystkich, jakie mam. I przez cały ten czas, który tracę na gadanie, wywierciłbym już z pół tuzina dziurek. Dalej, niechże pani rozluźni... Bardzo dobrze. Jeszcze trochę. Doskonale. Jeszcze, jeszcze...

— I ujrzałem wtedy, jak stolarz, z drwiącą miną, zbliża powoli swój świder. Już miał... Lecz oto wypełnia mnie gniew zmieszany z litością. Zrywam się, chcę biec na pomoc nieszczęśliwej, ale coś mnie krępuje i nie mogę się ruszyć z miejsca. Krzyczę do stolarza: „Stój, łajdaku, szubrawcze!”, i krzykowi temu towarzyszy tak gwałtowny wysięk, że krępujące mnie więzy pękają. Rzucam się na stolarza, chwytam go za gardło. A ów mówi:

— Kim jesteś? Czego chcesz? Czy nie widzisz, że

ona nie ma zadka? Zali mnie nie poznajesz? Jestem wielki Anoforus: to ja dorabiam zadki tym, co ich nie mają. Jej również muszę to zrobić: taka jest wola tego, który mnie przysłał. A po mnie przyjdzie ktoś, kto ma jeszcze większą moc niż ja. Zamiast świdra będzie miał wielkie dłuto i tym dłutem dokończy dzieła, by miała już wszystko, czego jej brakuje. Usuń się więc, profanie, a jeśli nie, to mój świder lub dłuto mego następcy zaraz ci...

– Mnie?

– A tak, tobie...

W tejże chwili wprawił w ruch swoje narzędzie, którego świst rozdarł powietrze.

Tu człowiek z dwiema dziurami, któregoście dotąd słuchali, spytał człowieka z dwoma nosami:

– Co się stało? Czemu się oddalasz?

– Boję się, abyś mi nie złamał jednego z nosów, wymachując rękoma. Ale mów, waszmość, dalej.

– Nie wiem już, na czym stanąłem.

– Na narzędziu, którego świst rozdarł powietrze.

– Stolarz wymierza mi na odlew prawą ręką cios w ramiona, tak gwałtowny, że padam odeń plackiem. Zadziera mi koszulę i oto drugi zadek odsłonięty, zaś straszliwy Anofor grozi mi wiertłem i powiada:

– Proś o łaskę, szelmo, proś o łaskę, bo ci zrobię drugą...

– Wnet czuję chłód świdra, ogarnia mnie przerażenie i budzę się. Od tej pory wydaje mi się, że mam dwie dziury w zadku.

Owi dwaj rozmówcy jęli wówczas kpić z siebie wzajemnie:

– Ha, ha! On ma dwie dziury w zadku!

– Ha, ha! To po to, byś miał gdzie włożyć twoje dwa nosy!

Po tych słowach sułtan zwrócił się z poważną miną do zgromadzenia:

– wy także się śmiejecie, kapłani, słudzy ołtarzy! Cóż zwykleszego, niż wierzyć, że się ma dwa nosy na twarzy, i drwić z tego, któremu się zdaje, że ma dwie dziury w zadku?

Zamilkł na chwilę, po czym, z rozpogodzonym już obliczem, spytał przywódców obu sekt, co sądzą o jego widzeniu.

– Na Brahmę – odrzekli – to jedno z najbardziej głębokich spośród tych, jakie niebo zsyłało prorokom.

– Zali coś z niego rozumiecie?

– Nie, panie.

-r? Co myślicie o tych dwóch rozmówcach?

– Ze to szaleńcy.

→ A gdyby naszła ich zachcianka, aby się uczynić wodzami stronnictw, i gdyby sekta dwóch dziur w zadku zaczęła prześladować sektę dwóch nosów?...

Kapłani spuścili wzrok, a Mangogul powiedział:

– Chcę, by moi poddani żyli i umierali wedle swoich zwyczajów. Chcę, by penuin kładziono bądź na usta, bądź na zadek, tak, jak każdy będzie sobie życzył, i niech mnie już nikt nie męczy tymi głupstwami.

Duchowni wyszli. A na synodzie, który odbył się w kilka miesięcy potem, ogłoszono, że widzenie Mangogula zostanie umieszczone w zbiorze ksiąg kanonicznych – i bynajmniej tego zbioru nie oszpeciło.

## KAGAŃCE

Podczas gdy bramini wsłuchiwali się w I IJ i głos Brahmy, wystawiali bóstwa do ad- | JL I racji i zachęcali lud do pokuty, inni myślili o tym, jak wyciągnąć zysk z gadaniny klejnotów.

W wielkich miastach roi się od ludzi, których bieda uczy sprytu. Nie kradną ani nie oszukują, lecz tyle ich dzieli od oszustów, ile oszustów od łotrzyków. Wszystko wiedzą, wszystko robią, na wszystko mają sposób; biegają tam i sam, wszędzie się wcisną. Znajduje się ich na dworze, w mieście, w pałacu, w kościele, w teatrze, u kurtyzan, w kawiarni, na balu, w operze, w akademiach: są tym wszystkim, czym chcecie, żeby byli. Ubiegacie się o pensję? Minister słucha ich łaskawym uchem. Macie sprawę w sądzie? Przyspieszą wam proces. Lubicie grę? Są krupierami. Dobrze jedzenie? Grają pierwsze skrzypce w masońskiej loży. Kobiety? Wprowadzą was do Aminy lub do Akaris. Której złe zdrowie życzycie sobie kupić? Wybierajcie. A gdy już wybierzecie, oni również podejmą się was wyleczyć. Ich główne zajęcie to czyhać na śmie- sznoki bliźnich i wykorzystywać głupotę tłumu. To od nich pochodzą bileciki, które rozdaje się na

rogach ulic, przy wejściach do świątyń, w drzwiach teatru, na końcu promenady, i z których dowiadujecie się za darmo, iż ten a ten, zamieszkały w dzielnicy Luwru, Świętego Jana, Tempie czy Ab- baye, w tym a tym domu, na tym a tym piętrze, wystawia do wiatru od dziewiątej rano do południa u siebie, a przez resztę dnia w mieście.

Ledwo pojawiła się sprawa mówiących klejnotów, a już jeden z owych spryciarzy porzysłał do domów Banzy ogłoszenie, takie oto w formie i treści. U góry wypisano wielkim drukiem:

KU UWADZE DAM

Pod spodem, drobnymi literkami:

Z pozwolenia Jego Wielmożności wielkiego seneszala i z aprobatą Ichmościów z Królewskiej Akademii Nauk.

Niżej zaś:

Imć Eolipil, członek Królewskiej Akademii w Banzie, Królewskiego Towarzystwa Monoemugi, Cesarskiej Akademii Biafary, Akademii Ciekawskich Loanga, Towarzystwa imienia Kamura w Mono- motapie, Instytutu Erecco oraz Królewskich Akademii Beleguanzy i Angoli, który od kilku lat daje wykłady nauki o błahostkach, oklaskiwane na dworze, w mieście i w prowincjach, wynalazł na użytek płci nadobnej kagańce, czyli podręczne knebelki, które odbierają klejnotom zdolność mowy, nie krępując ich funkcji naturalnych. Są fore

mne i wygodne, może je polecić w każdym rozmiarze, dla każdego wieku, za każdą cenę, i miał już zaszczyt dostarczyć ich sporo osobom najgodniejszego stanu.

Nic tak nie popłaca jak przynależność do sławnego gremium. Jakkolwiek śmieszny byłby pomysł, który się w nim rodzi, zachwala się go i odnosi sukces. W ten sposób wynalazek Eolipila zdobył wielkie powodzenie. Odwiedzano go tłumnie: kobiety rozwiązały udawały się doń we własnych karocach, cnościwe –lw wynajętych powozach, nabożne posyłały spowiednika lub lokaja; widziano nawet siostry furtianki. Każda chciała mieć swój kagańczyk i w końcu, od księżnej po mieszczkę, nie było takiej, która by go nie miała E3J czy dla mody, czy dla prawdziwej przyczyny.

Bramini, którzy obwieścili, że mowa klejnotów jest karą boską, i spodziewali się po onejż naprawy obyczajów oraz innych korzyści, z przerażeniem patrzyli na instrument, co przeszkadzał zemście nieba i ich nadziejom. Ledwie zesli ze swych ambon, a już wchodzą na nie znowu, grzmia, oburzają się, zasięgają rady wyroczni i orzekają, że kaganiec jest machiną piekielną i że nie będzie zbawienia dla tej, która go będzie używać.

– Światowe niewiasty – wołali – pozbądźcie się kagańców! Poddajcie się woli Brahmy. Pozwólcie, by głos waszych klejnotów obudził głos waszych sumień, i nie wstydzicie się wyznać grzechów, których nie wstydziliście się popełnić.

Wołali jednak na próżno i to samo stało się z kagańcami, co z sukniami bez rękawów i pikowanymi płaszczami. Kobiety zostawiły braminów ich losowi, by nadal marzli w murach świątyń, i używały knebelków dotąd, aż się przekonały o ich nieprzydatności lub się nimi znudziły.

## Po DRÓŻNICY

W czasie, gdy działy się te wydarzenia, powrócili na dwór po długiej nieobecności podróżnicy, których Mangogul był wysłał, kosztem ogromnych wydatków i niesłychanych wysiłków, do najdalszych krain, ażeby przywieźli obcą mądrość.<sup>19</sup> Sułtan przeglądał właśnie ich dziennik podróży i przy każdym zdaniu wybuchał śmiechem.

– Cóż tak śmiesznego czytasz, panie? – spytała Mirzoza.

– Jeśli ci blagują tak jak inni, to przynajmniej są zabawniejsi – odrzekł Mangogul. – Usiądź, pani, na tej sofie, a ja cię uraczę opowieścią o takim używaniu termometrów, o jakim ci się nie śniło:

“– Obiecałem ci wczoraj – rzekł mi Cyklofil – zajmujące widowisko...”

Mirzoza: – Kto to jest Cyklofil?

Mangogul: To jeden z mieszkańców wyspy...

Mirzoza: Jakiej wyspy?

Mangogul: (izy to ważne?...

Mirzoza: . \ do kogo mówi?

Mangogul: – Do jednego z moich podróżników...

Mirzoza: – Więc podróżnicy wreszcie powrócili?

Mangogul: – Oczywiście. Nie wiedziałaś, pani, o tym?

Mirzoza: – Nie wiedziałam...

Mangogul: – A więc ustalmy teraz jedno, moja królowo: ponieważ zachowujesz się niekiedy jak świętoszka, pozwalam ci wyjść, kiedy tylko moja lektura wyda ci się gorsząca.

Mirzoza: – A gdybym od razu wyszła?

Mangogul: – Jak, pani, uważasz.

Nie wiem, czy Mirzoza została, czy wyszła. Natomiast Mangogul podjął słowa Cyklofila i czytał, co następuje:

“– To zajmujące widowisko odbywa się w naszych świątyniach. Rozmnażanie gatunku jest tu przedmiotem szczególnej uwagi w polityce i religii, zaś sposób, w jaki się do rzeczy podchodzi, nie jest gorszy od waszego. Mamy oczywiście rogaczy – czy nie tak nazywa się w waszym języku tych, których żony dają się obłapiać innym? — mamy ich tylu albo i więcej niż gdzie indziej, lecz przedsięwzięliśmy niezliczone środki ostrożności, aby małżeństwa były należycie dobrane.

– Odkryliście więc niezawodny sposób,, u nas nie znany lub zaniedbany, dobierania małżonków?

– Nie zgadłeś – odparł Cyklofil. – Mieszkańcy wyspy posiadają taką naturę, że wszystkie małżeństwa mogłyby być szczęśliwe, gdyby dokładnie przestrzegano stosowanych praw.

– Nie rozumiem cię – rzekłem – albowiem w naszym świecie nie ma nic bardziej zgodnego z

prawem niż małżeństwo, i często nic bardziej sprzecznego ze szczęściem i z rozsądkiem.

– Pozwól tedy, że wyjaśnię – przerwał Cyklo- fil. – Już od dwóch tygodni mieszkasz pośród nas i nie wiesz jeszcze, że klejnoty męskie i żeńskie mają tutaj rozmaite kształty? Na cóż więc poświęcałeś czas? Przeznaczeniem tych klejnotów po wsze czasy jest łączenie się ze sobą wedle kroju: klejnot żeński w kształcie muterki jest przeznaczony dla klejnotu męskiego w kształcie śruby. Czy pojmujesz?

– Pojmuję. Owa zgodność kształtów może wystarczać do pewnego stopnia. Nie sądzę wszakże, aby zapewniała bez reszty wierność małżeńską.

— Czegóż pragniesz więcej?

– Pragnąłbym, żeby w kraju, gdzie wszystko podlega regułom geometrii, brano również pod uwagę proporcje temperamentów obojga narzeczonych. Jakże! Chcesz, by osiemnastoletnia czarnula, namiętna jak demon, zadowalała się niezmiennie starcem, co ma sześćdziesiąt lat i wystygłe zmysły? To niemożliwe, choćby starzec miał klejnot w kształcie śruby, która może obracać się bez końca...

– Bystrze zauważyłeś – rzekł Cyklofil. – Dowiedz się więc, iż zadbaliśmy o to...

– W jaki sposób?

– Prowadziliśmy najprzód długie doświadczenia na znanych powszechnie rogaczach...

– I coście dzięki tym doświadczeniom ustalili?

– Potrzebne proporcje temperamentów u małżonków...

– A kiedy już proporcje były znane?  
– Wówczas sporządzono stosowne termometry dla mężczyzn i niewiast. Nie mają takiego samego kształtu: dolna część termometru żeńskiego jest podobna do męskiego klejnotu o długości jakich ośmiu cali i półtoracalowej średnicy, zaś termometr męski przypomina szyjkę flakonu o tych samych wymiarach. Zaraz zobaczysz – powiedział, wprowadzając mnie do świątyni – jak działają owe pomysłowe instrumenta: widzę bowiem po tym tłumie i po obecności ofiarników, że nadeszła chwila świętych eksperymentów.

Z trudem utorowaliśmy sobie drogę przez ciżbę i doszliśmy do sanktuarium, gdzie zamiast ołtarza były jeno dwa łoża bez zasłon, kryte adamaszkiem. Kapłani i kapłanki stali wokół w milczeniu, dzierżąc termometry, nad którymi powierzono im straż jak westalkom nad ogniem świętym. Na dźwięk dudów i obojów wystąpiły dwie pary narzeczonych, prowadzone przez rodziców. Byli nadzy i spostrzegłem, iż klejnot jednej z panien jest okrągły, a klejnot jej kochanka cylindryczny.

– Nie widzę tu nic nadzwyczajnego – rzekłem do Cyklofila.

– Spójrz na drugą parę ji odpowiedział. Spojrzałem. Młodzieniec miał klejnot prostopad-  
łocieiMN. | panna kwadratowy.

– Słki/ teraz uważnie świętą operację – dodał Cyklofil.

Naówczas dwaj kapłani ułożyli jedną z dziewcząt na ołtarzu, tTzeci wsunął jej święty termometr, zaś arcykapłan patrzył z uwagą na skalę, by stwierdzić,

jaki stopień osiągnie płyn po sześciu minutach. W tym samym czasie dwie kapłanki położyły młodzieńca na sąsiednim łożu, a trzecia nałożyła mu termometr. I tutaj arcykapłan obserwował wznoszenie się płynu przez tyleż minut, po czym orzekł zdatność do małżeństwa i odesłał narzeczonych, by się połączyli w rodzinnym domu. Żeński klejnot kwadratowy i klejnot prostopadłościenny zostały zbadane równie dokładnie i skrupulatnie. Tu jednak arcykapłan śledzący poziom płynu zauważył, iż jest on o kilka stopni niższy u chłopca niż u panny, względem normy, którą wyznaczał rytuał (oznaczono tu bowiem wyraźne granice). Wstąpił więc na ambonę i oświadczył, że narzeczeni nie mogą się połączyć i że jest im to wzbronione pod karą, jaką prawa kościelne i świeckie stosują wobec kazirodców. Grzech kazirodztwa nie był tedy na tej wyspie czymś całkiem wyzbytym sensu. Prócz niego uznawano za wielki grzech przeciw naturze związek dwóch klejnotów płci odmiennej, których kształty nie pasowały do siebie.

Zjawiała się nowa para. Dziewczę z klejnotem w kształcie nieparzystego wieloboku i młodzieniec z klejnotem graniastym, tak wykrojonym, że podstawa tego ostrosłupa pokrywała się z wielobokiem narzeczonej. Poddano ich próbie termometru i jako że różnice w poziomie płynów okazały się nieznaczne, kapłan orzekł, że można udzielić pozwolenia, co też uczynił. Podobnie potraktowano inny damski wielobok, do którego tęsknił męski klejnot pryzmatyczny, gdy ujrzano, że tu i tam płyn osiąga mniej więcej ten sam stopień.

Nawet mało biegły w geometrii czytelnik łatwo zrozumie, dlaczego wszelkie badania dotyczące powierzchni i biał osiągnęły na owej wyspie wyżyny doskonałości, i że to, co tam napisano o figurach równobocznych, było uznawane za rzecz największej wagi. U nas owe odkrycia czekają jeszcze na zastosowanie. Rozumie się, iż dziewczęta z klejnotami okrągłymi i młodzieńcy z klejnotami cylindrycznymi uchodzili tu za szczęśliwie urodzonych, albowiem spośród wszystkich figur okrąg właśnie jest ta, która w stosunku do swego obrzeża zawiera w sobie najwięcej przestrzeni.

Kapłani czekali na następnych narzeczonych. I wówczas pierwszy ofiarnik dostrzegł mnie w tłumie i dał znak, bym się zbliżył. Ustuchałem.

– Cudzoziemcze! – powiedział. – Byłeś świadkiem naszych świętych obrzędów i widzisz, jak ściśle więzy łączą u nas religię z dobrem społeczności. Gdybyś zabawił tu dłużej, ujrziałbyś zapewne przypadki rzadsze i osobliwsze. Lecz być może naglące powody każą ci wracać do ojczyzny. Jedź więc i przekaż naszą mądrość twoim rodakom.

Ukloniłem się nisko, a on ciągnął tak:

– Jeżeli się zdarzy, że święty termometr jest zbyt wielkich rozmiarów, by zmierzyć temperament młodej panny, rzecz nader rzadka, którą widziałem ledwie pięć razy przez dwanaście lat, wówczas jeden z moich pomocników sposobi ją do sakramentu, a gdy to czyni, cały lud pogrążon jest w modłach. Nie potrzeba chyba, abym ci wyjaśniał,

jakich przymiotów wymaga stan kapłański i na jakiej podstawie udziela się święceń.

Częściej wszakże zdarza się tak, iż nie można nałożyć termometru narzeczonemu, ponieważ jego gnuśny klejnot nie chce się poddać operacji. Wtedy wszystkie dorosłe panny z naszej wyspy mogą podejść do ołtarza i zająć się ożywianiem zmarłego. Nazywamy to aktem pobożności. Te, które oddają się owej czynności gorliwie, uchodzą wśród nas za prawdziwie nabożne: budują swym postępowaniem. Oto jak, cudzoziemcze – mówił, przypatrując mi się bacznie – okazuje się, że wszystko jest sprawą mniemania lub przesądu! U ciebie nazywa się zbrodnią to, co my uznajemy za czyn miły naszemu bóstwu. U nas źle byśmy wróżyli dziewczęciu, co doszło do trzynastego roku, a nigdy nie zbliżyło się jeszcze do ołtarzy; zaś jej rodzice słusznie czyniliby jej wymówki z tego powodu.

Jeśli panna jest spóźniona w rozwoju albo ma jakie wady i poziom płynu w termometrze nie wznosi się u niej zupełnie, może się zamknąć w klasztorze. Ale zdarza się na naszej wyspie, równie często jak gdzie indziej, że potem tego żałuje i że gdyby jej wówczas włożyć termometr, płyn podniósłby się wyżej i chyżej niż u jakiegokolwiek światowej damy. Toteż wiele spośród nich umarło z rozpacz. Pomijam setki innych nadużyć i skandali, które się z tym wiązały. Aby uświetnić mój pontyfikat, ogłosiłem memoriał, który wskazuje, kiedy, w jakim wieku i ile razy należy poddawać

dziewczęta termometryzacji, zanim wstąpią do zakonu, a zwłaszcza w wigilię i w dzień składania ślubów. Spotykam sporo niewiast, które dziękują ; mi za roztropność tych reguł, i których klejnoty są mi wielce oddane z tego tytułu, lecz pozostawiam te drobne korzyści moim klerykom.

Panna, której temperament wznosi płyn tak wysoko i tak gwałtownie jak u żadnego mężczyzny, • zostaje kurtyzana. Jest to stan wielce czcigodny i szanowany na naszej wyspie, albowiem musisz < wiedzieć, że każdy wielki pan ma tu swą kurtyzanę, tak jak każda kobieta szlacheckiego rodu ma swego i geometrę. To takie dwie mody, obydwie zresztą równie roztropne, choć druga zaczyna powoli mijać.

Młodzieńca, który jest wyczerpany, chory od urodzenia czy zauroczony tak, że płyn w termometrze nawet nie drgnie, skazuje się na celibat. Ten natomiast, u którego płyn wznosi się tak wysoko, jak u żadnej kobiety, musi zostać mnichem, czyli jakimś karmelitą lub franciszkaninem. Tacy są główną pociechą bogatych dewotek, którym zaczyna brakować usług świeckich. Ach! – zawołał, wznosząc oczy i ręce do nieba. – Ileż Kościół stracił na swej dawnej świetności!

Chciał mówić dalej, lecz przerwał mu jego jałmużnik:

– Panie, Wasze Arcykapłaństwo zapomina, że nabożeństwo skończone i że z powodu tej oracji wystygnie obiad, na którym jesteście oczekiwani.

Arcykapłan zamilkł, dał mi swój pierścień do pocałowania i wyszliśmy ze świątyni wraz z wszyst-

ki mi. Za czym Cyklofil, wracając do swych wywodów, powiedział:

–Wielki ofiamik nie wyjawiał ci wszystkiego. Nie powiedział ci ani o wypadkach, jakie zaszły na wyspie, ani o tym, czym się zajmują nasze uczone białogłowy. A są to rzeczy godne twojej ciekawości.

–Możesz ją pewnie zaspokoić – odparłem. – O jakież więc chodzi wypadki i zajęcia? Czy i one mają związek ze ślubami i klejnotami?

–Właśnie tak. Około trzydziestu pięciu lat temu zaczęto odczuwać na wyspie niedostatek męskich klejnotów cylindrycznych. Wszystkie okrągłe klejnoty niewiast zaczęły narzekać i przedłożyły Radzie Państwa memoriał i skargi domagające się, by zajęto się ich potrzebami. Rada, jak zwykle pogrążona w sprawach najwyższej wagi, nie odpowiadała przez miesiąc. Lamenty klejnotów stały się podobne tym, jakie wznosi głodniaki lud żądający chleba. Senatorowie wyznaczyli tedy delegatów, ażeby stwierdzili fakty i złożyli relację Radzie. Zabrało to znów ponad miesiąc. Skargi wzmożyły się jeszcze i miało już dojść do buntu, gdy pewien mistrz jubilerski, człek nader zręczny, dał się poznać akademii. Zrobiono próby, które się powiodły, i na podstawie zaświadczenia komisarzy oraz zezwolenia szefa policji otrzymał od Rady patent, dający mu na dwadzieścia kolejnych lat wyłączny przywilej zaspokajania potrzeb okrągłych klejnotów.

Drugim wypadkiem, który nas dotknął, był zupełny brak żeńskich klejnotów wielobocznych. Zwrócono się do wszystkich mistrzów sztuk, żeby

zwalczyli tę plagę. Przewidziano wielkie nagrody. I oto powstała różnorodność zmyślnych przyrządów, a nagrody rozdzielono między wszystkich wynalazców. Widziałeś – ciągnął Cyklofil – różne kształty klejnotów u naszych kobiet. Każdy pozostaje zawsze taki, jakim był od urodzenia. Zali podobnie jest u was?

– Nie – odrzekłem. – U nas klejnocik żeński: europejski, azjatycki czy afrykański, może zmieniać swój kształt w nieskończoność, *cutis libet figurae capax, nullius tenax*.

– Nie pomyliliśmy się więc w wyjaśnieniach, których udzielili nasi fizycy, kiedy się natknęli na zjawisko tego rodzaju. Przed około dwudziestu laty zjawiała się na wyspie młoda, wielce nadobna czarnulka. Nikt nie rozumiał jej języka, a kiedy nauczyła się naszego, nie chciała powiedzieć, z jakiej krainy pochodzi. Tymczasem wdzięk jej oblicza i przymioty umysłu oczarowały niemal wszystkich naszych młodych szlachciców. Kilku spośród najbogatszych poprosiło ją o rękę. Wybrała senatora Kolibra. Wyznaczono dzień ceremonii i gdy nadszedł, zaprowadzono ich do świątyni zgodnie ze zwyczajem. Kiedy piękna cudzoziemka została ułożona na ołtarzu, widzowie ujrzeli ze zdziwieniem klejnot, który nie miał żadnego wyraźnego kształtu, zaś kiedy poddano ją próbie termometru, poziom płynu skoczył nagle do stu dziewięćdziesięciu stopni. Wielki ofiarnik orzekł natychmiast, że właścicielka tego klejnotu musi być przeznaczona do stanu kurtyzany, a przeto zabroniono narzeczonemu Kolibrowi brać ją za żonę. Skoro nie mógł

wziąć jej za żonę, zrobił z niej swoją kochankę. Pewnego dnia wyznała mu – widać w chwili, gdy była zeń kontenta – że urodziła się w stolicy waszego państwa, co w niemałym stopniu przyczyniło się do tego, byśmy powzięli wysokie mniemanie o waszych niewiastach/<sup>4</sup>

Gdy sułtan doszedł do tego miejsca, Mirzoza wróciła do komnaty.

– Twoja wstydlivość, pani – rzekł do niej – jak zwykle nie na miejscu, pozbawiła cię najbardziej uroczej lektury. Chciałbym bardzo, żebyś mi powiedziała, czemu służy ta hipokryzja, wspólna wam wszystkim – cnotliwym i rozpustnikom. Czy to rzeczy same w sobie tak was odstręczają? Nie, bo je znacie. Słowa? Doprawdy nie warto się nimi przejmować. Jeśli już jest czymś śmiesznym wstydzic się tych czynności, czyż nie jest czymś jeszcze śmieszniejszym wstydzic się wyrazów? Ogromnie mi się podobają wyspiarze, o których mowa w tym cennym dzienniku: nazywają wszystko po imieniu; dlatego język jest prostszy, a pojęcia rzeczy uczciwych i nieuczciwych znacznie lepiej określone...

Mirzoza: – Czy kobiety chodzą tam ubrane?

Mangogul: – Oczywiście. Nie dla przyzwoitości jednak, lecz z kokieterii: okrywają się, by wzbudzić pożądanie i ciekawość...

Mirzoza: – I to ci się, panie, zdaje całkiem zgodne z dobrymi obyczajami?

Mangogul: – Oczywiście.

Mirzoza: – Domyślałam się tego.

Mangogul: – Och, pani się zawsze wszystkiego domyślasz!

Gdy tak gawędzili, sułtan wertował niedbale dziennik.

– Piszą tu – mówił – o zwyczajach zgoła osobliwych. O, ten choćby rozdział opowiadający o wyglądzie mieszkańców. Nie ma tu nic, czego by twoja niezrównana wstydlivość nie mogła ścier- pieć. A oto inny, poświęcony toalecie kobiet, całkiem odpowiedni dla twych zainteresowań, i z którego mogłabyś wyciągnąć korzyść. Nie odpowiadasz mi, pani! Wciąż mi nie dowierzasz?

– Czyżbym nie miała racji?

– Powinienem oddać cię w ręce Cyklofila, żeby cię zaprowadził pomiędzy wyspiarzy. Ręcę, iż powróciłabyś pani stamtąd nieskończenie doskonałą.

– Wydaje mi się, że jestem taką w stopniu zgoła wystarczającym.

– Tak się pani wydaje! A tymczasem niemal przy każdym moim słowie wpadasz w roztargnienie. Byłabyś znacznie więcej warta, a ja czułbym się znacznie lepiej, gdybyś mogła zawsze słuchać mnie wtedy, kiedy mówię.

– A cóż cię to, panie, obchodzi, czy cię słucham, czy nie?

– Może i masz rację. Dobrze więc: odkładam do dzisiejszego wieczora, do jutra lub do innego dnia lekturę rozdziału o wyglądzie wyspiarzy i rozdziału o toalecie tamtejszych dam.

ROZDZIAŁ XIX  
KTÓRY MÓWI  
O WYGLĄDZIE WYSPIARZY  
O TOALECIE TAMTEJSZYCH NIEWIAST

B yła pora poobiednia. Mirzoza zajmowała się robótką, a Mangogul, wyciągnięty na sofie z na wpół przymkniętymi oczyma, I trawił spokojnie. Trwał w tym milczeniu i bezruchu już ponad godzinę, aż wreszcie rzekł do faworyty:

– Czy byłabyś pani skłonna mnie wysłuchać?

– Zależy czego.

– Ale przecież, jak mi to powiedziałaś równie roztropnie, ile grzecznie, cóż mnie obchodzi, czy mnie słuchasz, czy nie?

Mirzoza uśmiechnęła się na to, a Mangogul rzekł:

Niech mi przyniosą dziennik podróżników i niech nikt nie waży się zgubić zakładkę, które do niego włożyłem, bo klnę się na moją brodę...

Przynoszą mu dziennik, otwiera go i czyta:

“Wyspiarze nie byli zbudowani tak jak inni ludzie. Każdy nosił na sobie od urodzenia znak swego powołania, dlatego w zasadzie wszyscy byli tymi, kim powinni byli być. Ci, którym natura przeznaczyła stan geometry, mieli palce w kształcie cyrkla: do takich należał mój gospodarz; ci, którym była przeznaczona astronomia – oczy jak spiralne

lunety; geografia – głowę w kształcie globusa; muzyka lub akustyka – uszy zwinięte w trąbkę; miernictwo – nogi o kształcie tyczek mierniczych; hydraulika..." Tu sułtan zatrzymał się, a Mirzoza spytała:

– No więc, ci, którym była przeznaczona hydraulika?...

– Sama pani tego chciałaś: mieli klejnot w kształcie prysznica i siusiali jak fontanna. Ci, których przeznaczeniem była chemia, mieli nos jak alembik; anatomia – kciuk jak skalpel; sztuki mechaniczne – ramiona na kształt pilnika albo piły...

Mirzoza przerwała:

– Nie działa się więc pośród tego ludu jak u nas, gdzie ci, co otrzymali w darze od Brahmy jeno krzepkie ramiona, zdatne do pługa, są jednak u steru twego państwa, zasiadają w twoich trybunałach lub przewodniczą w akademii; i gdzie ci, co są ślepi jak krety, poświęcają żywot czynieniu obserwacji, a więc takiemu zajęciu, które wymaga wzroku rysia.

Sułtan czytał dalej:

"Pomiędzy mieszkańcami dostrzegało się takich osobników, którzy jednocześnie mieli palce jak cyrkiel, oczy jak teleskop i uszy jak trąbkę.

– Ci ludzie – rzekłem do gospodarza – to pewnie wasi wirtuozi, uniwersalni mistrzowie noszący na sobie znamię wszelkich talentów."

Tu Mirzoza przerwała sułtanowi i rzekła:

– Założę się, że odgadnę odpowiedź gospodarza...

Mangogul: – Jak brzmiała?

Mirzoza: – Odpowiedział, że ci ludzie, którzy zdawali się przeznaczeni przez naturę do wszystkiego, nie nadawali się do niczego.

Mangogul: — Na Brahmę, tak właśnie powiedział. Doprawdy, sułtanko, jesteś osobą rzadkiej bystrości. Dodam jeszcze za moim podróżnikiem, iż owa budowa wyspiarzy sprawia, że wszyscy poruszają się trochę jak automaty: kiedy chodzą, rękabyś, że odmierzają grunt; kiedy gestykulują, wygląda to, jakby kreślili figury; kiedy śpiewają, deklamują z emfazą.

Mirzoza: – W takim razie ich muzyka musi być zła.

Mangogul: – A to dlaczego?

Mirzoza: – Bo musi być gorsza od deklamacji.

Mangogul: – “Ledwie zrobiłem kilka kroków w wielkiej alei ich publicznego ogrodu, a już stałem się tematem rozmów i przedmiotem zaciekawienia. «To ktoś, kto spadł z Księżyca» – mówił jeden. «Myli się pan – mówił drugi – to przybysz z Saturna.» «A ja sądzę, że to mieszkaniec Merku- rego» – wtrącił trzeci. Czwarty wreszcie podszedł do mnie i rzekł:

– Czy można cię spytać, cudzoziemcze, skąd przybywasz?

– Z Konga – odrzekłem.

– A gdzie jest Kongo?

Miałem zaspokoić jego ciekawość, lecz podniosła się wokół mnie wrzawa męskich i żeńskich głosów, które powtarzały: «To Kongijczyk, to Kon- gijczyk, to Kongijczyk, to Kongijczyk» Ogłuszony tym zgiełkiem, zasłoniłem uszy dłońmi i w pośpie

chu wyszedłem z ogrodu. Tymczasem zatrzymano mego gospodarza, żeby się odeń dowiedzieć, czy Kongijczyk to zwierzę, czy człowiek. Przez następne dni dum mieszkańców nie odstępował od jego drzwi, chcąc ujrzeć Kongijczyka. Pokazałem się więc. Przemówiłem. A wtedy, wygwizdawszy mnie, wszyscy odeszli, wołając wzgardliwie: «A fe, toż to człowiek!»"

W tym miejscu Mirzoza zaczęła się śmiać do rozpuku. Potem spytała: – Cóż z toaletą?

–Czy przypominasz sobie, pani – odparł Mangogul – pewnego czarnego bramina, wielkiego oryginała, na wpół mędrca, na wpół szaleńca?<sup>20</sup>

[gg] Tak, pamiętam go. To był dobry człowiek, który umiał posługiwać się konceptem i który umarł ze zgryzoty za sprawą innych czarnych braminów, jego konfratrów.

–Właśnie. Nie może też być, abyś nie słyszała o pewnym klawesynie, widziałaś go może nawet, w którym zestroił on barwy według skali dźwięków i na którym chciał wykonywać sonatę, allegro, pre- sto, adagio czy cantabile tak, by mogły cieszyć oko również dobrze jak ucho.

– Wiem nawet więcej: kiedyś poprosiłam go, żeby mi przelożył menuet z dźwięków na menuet z barw, wywiązał się z tego doskonale.

– I podobało ci się to?

– Bardzo, bo byłam wtedy dzieckiem.

– Otóż moi podróżnicy znaleźli taki sam ins

trument u wyspiarzy, lecz używany zgodnie ze swym prawdziwym przeznaczeniem.

– Rozumiem: do toalety.

– To prawda. Ale jak to sobie wyobrażasz?

– Jak? Kiedy mamy jedną część naszego stroju, wystarczy nacisnąć kilka klawiszów klawesynu, żeby znaleźć tony harmoniczne dla tej części i określić różne kolory pozostałych.

– Jesteś pani nieznośna! Nie sposób nauczyć cię czegoś nowego: odgadujesz wszystko.

– Sądzę nawet, że w tego rodzaju muzyce trzeba umieć tworzyć i chronić pewne dysonanse.

– Rzekłaś.

– Sądzę dalej, iż na talent pokojowej składa się tyle zdolności i doświadczenia, tyle namysłu i studiów, co na talent kapelmistrza.

– A wie pani, co z tego wynika?

Nie.

To, że nie pozostaje mi nic innego jak zamknąć dziennik i napić się sorbetu. Sułtanko, twoja przenikliwość wpędza mnie w zły humor.

– To znaczy, że wolałbyś mnie, panie, nieco głupszą?

– Gzemu nie? To by nas zbliżyło i bawilibyśmy się lepiej. Trzeba straszliwie kochać, aby wytrzymać upokorzenia, których końca nie widać. Ale ja się zmienię. Strzeż się.

– Panie, bądź dla mnie łaskaw: weź twój dziennik i czytaj dalej.

– Z największą chęcią. Mówi tedy mój podróżnik:

“Pewnego dnia po wieczery mój gospodarz rzu-

cił się na sofę i wkrótce zasnął, ja zaś udałem się z paniami na ich pokoje. Minąwszy kilka pomieszczeń, weszliśmy do sporego, dobrze oświetlonego saloniku, na środku którego stał klawesyn. Pani domu usiadła, przebiegła palcami po klawiaturze, patrząc ciągle do wnętrza instrumentu, i na koniec rzekła z zadowoleniem:

– Zdaje się, że dobrze nastrojony.

Ja zaś mówiłem do siebie: «Zdaje się, że bredzi», nie usłyszałem bowiem żadnego dźwięku...

– Pani pewnie lubi muzykę i akompaniuje na klawesynie?

Nie.

– Cóż więc tu robi ten instrument?

– Zaraz pan zobaczy.

Po czym odwróciła się do córek i rzekła do najstarszej:

– Zadzwoń na pokojowe.

Przyszły trzy, a ona zwróciła się do nich w te słowa:

– Moje panny, jestem z was bardzo niezadowolona. Już od ponad pół roku ani ja, ani moje córki nie byłyśmy ubrane ze smakiem. A tymczasem wydajecie na przyodziewek dla nas bezlik pieniędzy. Dałam wam najlepszych nauczycieli, a zdaje się, że nie posiadłyście jeszcze pierwszych zasad harmonii. Chcę dziś założyć zielonozłoty fontaż. Znajdźcie mi resztę.

Najmłodsza ze służebnych nacisnęła klawisze i jedną dłonią wydobyła światło białe, żółte, karma- zynowe i zielone, drugą zaś – niebieskie | fioletowe.

To nie to – rzekła pani niecierpliwie. – Trzeba złagodzić te odcienie.

Pokojowa znów dotknęła klawiszy i zjawilo się światło białe, cytrynowe, turkusowe, pąsowe, różowe i czarne.

– Jeszcze gorzej! – powiedziała pani. – Nie sposób tego wytrzymać. Daj najwyższy ton.

Pokojowa usłuchała i pokazała się biel, oranż, jasny błękit, kolor cielisty, siarczany i szary.

– To nie do zniesienia! – wykrzyknęła pani.

–Gdyby pani zechciała przyjrzeć się uważniej... – rzekła inna służebna. – Z tą wielką krynoliną i małymi pantofelkami...

– W istocie, może to by pasowało...

Potem dama przeszła do alkowy, żeby się ubrać w tej tonacji. Tymczasem najstarsza córka prosiła pokojową, by jej skomponowała strój pełen wyobraźni:

– Idę na bal i chciałabym wyglądać lekko, niepowszednio i błyszczeć w oczach wszystkich. Mam już dość barw jednolitych.

–Nic łatwiejszego – odparła pokojówka i wydobyla barwę szaroperłową o niepowtarzalnym odcieniu. – Proszę spojrzeć, panienko, jak to będzie pasowało do chińskiej koafiury, do pelerynki z pawich piór, do złotozielonkawych spódnic, do cynamonowych pończoszek, do błyszczących czernią trzewików, zwłaszcza jeśli nadasz fryzurze brązową tonację i wepniesz w nią egretę z rubinami.

–Wiele jesteś warta, moja droga – odparło dziewczę. – Chodź sama wykonać twój pomysł.

Przyszła kolej na młodszą, do której ostatnia służebna odezwała się tak:

- Starsza siostra panienki idzie na bal. Ale panienka idzie chyba do świątyni?...
- Tak, i dlatego właśnie chcę, żebyś mi zagrała coś bardzo zalotnego.
- No cóż – rzekła pokojowa – niech panienka włoży szkarłatną suknię z tiulu, a ja poszukam akompaniamentu. Jeszcze nie znajduję... Teraz!... Nie... Już... Tak, to właśnie to: będzie panienka wyglądać prześlicznie. Proszę spojrzeć: żółty, zielony, czarny, szkarłat, błękit, biały i niebieski. Będzie to cudownie współbrzmiało z topazowymi kolczykami, z odrobiną różu, z dwiema mniejszymi i siedmioma większymi muszkami...

Wyszły zaraz obydwie, złożwszy mi głęboki ukłon. Kiedy zostałem sam, rzekłem sobie w duchu: «One są tutaj równie szalone, jak u nas. Ów klawesyn wszakże oszczędza wiele trudu.»"

Tu Mirzoza przerwała lekturę i powiedziała:

- Twój podróżnik, panie, powinien być przywieźć nam przynajmniej jakąś melodię do toalety, wraz z nutami i cyfrowanym basem.

Sułtan: – Przywiózł.

Mirzoza: – A któż nam to zagra?

Sułtan: – Któryś z uczniów czarnego bramina. Ten, u którego został jego wzrokowy instrument. Czy masz już, pani, dość słuchania?

Mirzoza: – A dużo jeszcze zostało?

Sułtan: – Jeszcze kilka stron i będziesz pani zwolniona...

Mirzoza: – Odczytaj je, panie.

Sułtan: ^f “W owej chwili – powiada dalej autor dziennika – otworzyły się drzwi pokoju, do którego weszła była matka i zjawiła się na progu postać tak cudacznie przebrana, że zrazu jej nie poznałem. Niebotyczna fryzura i pantofle na wielkich obcasach podwyższyły ją co najmniej o półtorej stopy. Miała na sobie białą palatynkę, pomarańczową narzutkę, suknię z jasnoniebieskiego atłasu, spódnicę cielistego koloru, pończochy barwy siarczanej i szare pantofelki. Najbardziej jednak uderzyła mnie krynolina: pięcioboczna, z ostrymi rogami, z których każdy wystawał na sążęń. Można by rzec, że to ruchoma baszta otoczona pięcioma bastionami. Za chwilę zjawiła się starsza córka.

– Litości! – zakrzyknęła matka. – Kto cię tak ubrał? Wyjdź natychmiast! Toż to okropność. Gdyby bal nie zaczynał się wkrótce, kazałabym ci zmienić strój. Mam przynajmniej nadzieję, że nałożysz maskę.

Potem rzekła do młodszej, obejrzawszy ją od stóp do głów:

– Ty za to wyglądasz przyzwoicie i skromnie.

Tymczasem ukazał się pan, również wystrojony w wieczorną toaletę. Nosił rudobrunatny kapelusz, spod którego zwieszała się wielka peruka w lokach, frak z sukna przetykanego podwójną nicią, ozdobiony prostokątnymi naszytami długimi na półtorej stopy, z pięcioma guzikami z przodu i czterema kieszeniami, ale bez plis ani fiszbinów; dalej jas- nożółte spodnie i pończochy oraz trzewiki z zielonego safianu, a wszystko szczipione z sobą na kształt jakichś pantalonów.”

Tu Mangogul przerwał i rzekł do Mirzozy, która trzymała się za boki ze śmiechu:

– Widzę, że wyspiarze zdają się pani bardzo śmieszni...

Mirzoza wpadła mu w słowo mówiąc:

Wiem, co chcesz powiedzieć, sułtanie, i tym razem masz rację. Proszę jednak, by ci to nie weszło w nawyk: jeżeli postanowisz, panie, być zawsze rozsądnym, wszystko stracone. To pewne zatem, że my wydalibyśmy się owym wyspiarzom równie śmieszni, jak oni nam; że w dziedzinie mody szaleńcy wydają prawa dla mądrych, kurtyzany dla kobiet uczciwych, i że nie pozostaje nic innego, jak tych praw słuchać. Śmiejemy się, patrząc na portrety naszych dziadów i nie myślimy o tym, że nasze wnuki będą się śmiać, oglądając nasze własne podobizny.

Mangogul: – Raz w życiu więc wykazałem się zdrowym rozsądkiem!...

Mirzoza: – Wybaczam ci, panie, ale niech się to nie powtórzy...

Mangogul: – Mimo całej pani przenikliwości, nie wiesz pewnie, że sprawy harmonii, melodii i klawesynu optycznego...

Mirzoza: – Poczekaj, panie, ja skończę: ...doprowadziły do schizmy, która podzieliła mężczyzn, kobiety, wszystkich mieszkańców. Szkoła przeciwstawiała się szkole, mistrz mistrzowi. Dysputowano, obrzucano się obelgami, nienawidzono się.

- Doskonale. Ale to nie wszystko.
- Bo nie wszystko jeszcze powiedziałam.
- Słucham.

– Tak jak zdarzyło się niedawno w Banzie w czasie sporu o dźwięki, kiedy to głusi kłócili się najzacieklej, w krainie naszych podróżników tymi, którzy w sporze o kolory krzyczeli najdłużej i najgłośniej, byli ślepcy...

W tym miejscu rozgniewany sułtan chwycił dziennik podróżników i podarł go na strzępy.

– Ej! Co czynisz, panie?

– Pozbywam się bezużytecznego dzieła.

– Bezużytecznego może dla mnie, ale dla ciebie?

– Wszystko, co nie powiększa twego szczęścia, jest mi obojętne.

– Jestem ci więc, panie, tak droga?

– Oto pytanie, którego należałoby zabronić wszystkim kobietom. Zaprawdę, jakby nic nie czuły; sądzą, że wszystko im się należy. Cokolwiek się dla nich robi, nigdy się nie robi dość. Jedna mała sprzeczka przekreśla cały rok służby. Wychodzę.

– Nie, zostaniesz panie. Zbliź się, proszę, i pocałuj mnie...

Sułtan uściskał ją i rzekł:

Jesteśmy jeno marionetkami, nieprawdaż?

– Czasami tak.

## DWIE DEWOTKI

już od jakiegoś czasu sułtan pozostawiał I klejnoty w spokoju. Ważne sprawy, które Igo zaprzętały, wstrzymały na razie moc jego pierścienia. Wtedy właśnie pewne dwie niewiasty stały się pośmiewiskiem całej Banzy.

Były to znane wszystkim dewotki. Ukrywały w największym sekrecie swoje miłości i cieszyły się reputacją, która oparła się nawet złościwości bliźniego. W meczetach mówiono bezustannie o ich cnocie. Matki dawały je za przykład córkom, mężowie – żonom. Obydwie za swą główną maksymę przyjmowały zasadę, że skandal jest najgorszym z grzechów. Owa zgodność przekonań, a zwłaszcza trudność, z jaką przychodzi zbudować moralnie tanim kosztem bliźnich, tak przenikliwych i źle nam życzących, wzięły górę nad różnicami charakterów. Toteż były one bardzo dobrymi przyjaciółkami.

Zelida przyjmowała u siebie bramina Zofii, a u Zofii spotykała często swego spowiednika. Tym samym, skoro znały się tak dobrze, jedna nie mogła nie wiedzieć tego, co dotyczyło klejnociku drugiej. Lecz ostatnie dziwactwa i niedyskrecje klejnotów wprawiły je obydwie w straszny niepokój.

Sądziły, że lada dzień zostaną zdemaskowane i że stracą owo dobre imię, które kosztowało je piętnaście lat udawania i forteli, i które teraz było dla nich takim ciężarem.

Zdarzały się chwile, w których oddałyby życie – osobliwie Zelida – za to, by móc cieszyć się tak złą opinią jak większość przyjaciółek. Zelida żaliła się głośno:

– Co powie świat? Co zrobi mój mąż?... Jakże? Ta niewiasta tak powściągliwa, tak skromna, tak cnotliwa... Owa Zelida jest tylko... tak jak inne... Ach, ta myśl wprawia mnie w rozpacz!... Jakże bym chciała w ogóle nie mieć klejnotu, nigdy go nie mieć!

Mówiła to swojej przyjaciółce, którą zaprzętały podobne myśli, lecz która nie aż tak była nimi poruszona. Ostatnie słowa Zelidy rozśmieszyły ją.

– Śmieję się do woli, bardzo proszę, pofolguj sobie – rzekła zagniewawana Zelida.  
– Jest naprawdę z czego.

– Tak jak ty – odparta chłodno Zofia – wiem, jakie nam grozi niebezpieczeństwo. Lecz czy można go uniknąć? Przyznasz bowiem, iż jest mało prawdopodobne, by twoje ostatnie życzenie się spełniło.

– Wymyśl więc j-»kiś sposób – powiedziała Zelida.

– Ech, nie chcę się już tym zadrećcać: niczego nie wymyślę... Zaszyć się gdzieś na prowincji byłoby jakimś wyjściem. Ale zostawić uciechy Ban- zy i wyrzec się życia? Tego nie zrobię. Czuję, że mój klejnot nigdy się z tym nie pogodzi.

Cóż więc robić?

– Co robić? Zdać się ze wszystkim na Opatrzność i śmiać się, za moim przykładem, z ludzkiego gadania. Czyniłam wszystko, by pogodzić reputację z przyjemnością. Ale skoro jest tak, że trzeba poniechać reputacji, zachowajmy przyjemność. Byłyśmy dotąd wyjątkowe. Cóż, moja droga, teraz będziemy podobne do setek tysięcy innych. Czy to ci się wydaje takie straszne?

– Tak – odrzekła Zelida – straszne jest to, że będziemy podobne do tych, którym dotąd okazywałyśmy najwyższą pogardę. Myślę, że uciekłabym na koniec świata przed takim upokorzeniem.

– Uciekaj tedy, moja droga – mówiła Zofia. – Jeśli o mnie chodzi, zostaję... Ale, ale, radzę ci, byś wymyśliła jakiś sposób, żeby twój klejnot nie rozgadał się w drodze.

– Doprawdy –| powiedziała Zelida – żart całkiem nie na miejscu. I twoje zuchwalstwo...

– Mylisz się, Zelido. Nie jestem zuchwałą. Godzić się na to, by rzeczy szły swoim porządkiem, którego nie można zmienić, to poddać się losowi. Widzę, że czeka mnie hańba. Dobrze! Hańba hańbą, a ja chciałabym sobie oszczędzić tylu niepokojów, ile zdołam.

– Hańba! – krzyknęła Zelida, wybuchając płaczem. – Hańba! Co za cios! Nie umiem temu sprostać... O przeklęty bonzo! To ty mnie zgubiłeś. Kochałam męża, byłam cnotliwa i wciąż bym go kochała, gdybyś nie nadużył twego urzędu i mego zaufania. Hańba! Zofio droga...

Nie skończyła zdania, bo szloch nie pozwolił jej

mówić. Zrozpaczona, opadła na kanapę. Kiedy odzyskała głos, krzyknęła z bólem:

– Droga Zofio, umrę!... Muszę umrzeć. Nie, nie mogę żyć dłużej niż moje dobre imię...

– Ależ Zelido, moja droga Zelido, nie spiesz się tak do umierania. Być może...

– Nie ma żadnego być może. Muszę umrzeć...

– Ale może udałoby się...

– Nic się nie uda, powiadam ci... Lecz mów, kochana, co miałyby się udać?

– Udałoby się może odebrać klejnotom mowę.

– Och, Zofio, chcesz mi ulżyć, karmiąc mnie złudnymi nadziejami! Zwodzisz mnie.

– Nie, nie zwodzę cię. Posłuchaj mnie tylko, miast się zadreć do szaleństwa.

Czy słyszałaś o Frenikolu, o Eolipilu, o knebelkach i kagańcach?

– Co Frenikol, Eolipil i kagańce mają wspólnego z niebezpieczeństwem, które nam grozi? Co ma do tego mój jubiler! I o jaki kaganiec chodzi?

Już ci odpowiadam, moja droga. Kaganiec to przyrząd wymyślony przez Frenikola, zatwierdzony przez akademię i udoskonalony przez Eolipila, który zresztą zawsze się domagał, by jemu przyznano autorstwo pomysłu.

– Dobrze więc! Ów przyrząd wymyślony przez Frenikola, zatwierdzony przez akademię i udoskonalony przez pocziwego Eolipila...?

– Chcesz wiedzieć wszystko jak najprędzej. Powiem ci więc, że ten przyrząd czyni klejnot dyskretnym, bez względu na to, co klejnot chce powiedzieć, j

– Czy to prawda, moja droga?

- Tak mówią.
- Trzeba by się o tym przekonać- T^i rzekła Zelida – i to natychmiast Zadzwoniła. Zjawiała się jedna ze służebnych i posłała po Frenikola.
- Dlaczego nie posłałaś po Eolipila? – spytała Zofia.
- Frenikol mniej rzuca się w oczy. Jubiler nie kazał na siebie czekać.
- Och, nareszcie przyszedłeś, mości Frenikolu, witaj w moich progach. Ale pospiesz się, mój drogi, bo musisz wydobyć dwie kobiety z okropnego kłopotu...
- O co chodzi, wielmożne panie?... Czy chcecie kupić jakie rzadkie klejnoty?...
- Nie, ale mamy nasze własne, i chciałybyśmy...
- Pozbyć się ich, nieprawdaż? Zobaczmy je więc, wielmożne panie. Kupię je albo zrobimy jaką wymianę...
- Nie o to chodzi, mości Frenikolu. Nie chcemy niczego sprzedawać...
- Ach, pojmuję. Chcą pewnie panie zgubić jakieś kolczyki w ten sposób, by małżonkowie odnaleźli je u mnie...
- Ależ nie! Zofio, wytłumacz waszmości, w czym rzecz!
- Mości Frenikolu – rzekła Zofia – potrzebujemy dwóch... Czy mnie rozumiesz?
- Nie, pani. Jakże chcesz, bym cię rozumiał, skoro nic nie mówisz?
- Wiesz przecie – odparła Zofia ljj ze kobie

cie skromnej trudno jest mówić o pewnych rzeczach...

–Musi jednak coś wyjaśnić – powiedział Frenikol. –Jestem jubilerem, a nie wróżbiarzem.

–Powinieneś wszakże odgadnąć, co mamy na myśli...

– Dalibóg, wielmożne panie, im dłużej się wam przyglądam, tym mniej was rozumiem. Kiedy się jest młodą, bogatą i urodziwą, jak każda z was, nie trzeba sztucznych upiększeń. Zresztą, powiem szczerze: nie sprzedaję już tego. Handel tymi świecidełkami pozostawiłem kolegom, którzy dopiero zaczynają w fachu.

Pomyłka jubilera tak ubawiła dewotki, że jednocześnie wybuchnęły śmiechem, co mocno go zbiło z tropu.

–Pozwólcie, panie Ji powiedział – że złożę im uszanowanie i sobie pójdę. Nie musiałyście chyba wzywać mnie z tak daleka, by zabawić się moim kosztem.

–Zostań, mój drogi, zostań – rzekła Zelida, nie przestając się śmiać. – Nie taki był nasz zamiar. Ale z tego nieporozumienia przyszły nam do głowy tak pocieszne myśli, że...

–Tylko od pań zależy, bym miał wreszcie o wszystkim jaśniejsze wyobrażenie. O cóż więc chodzi?

–Och, mości Frenikolu, ścierp najpierw, nim ci odpowiem, abym się naśmiała do woli.

Zelida śmiała się tak, że omal się nie udusiła. Jubiler czekał cierpliwie, myśląc w duchu, że oszalała lub że ma wapory. Wreszcie przestała.

– Dowiedz się więc powiedziała – iż chodzi o nasze własne klejnociki, te najbardziej własne... Czy pojmujesz, drogi Frenikolu? Wiadomo ci zapewne, że ostatnio niektóre zaczęły gadać jak najęte. Otóż chciałybyśmy, iżby nasze nie poszły za tym złym przykładem.

– Ach, teraz rozumiem! – rzekł Frenikol. – Jednym słowem, trzeba panie zaopatrzyć w kagań- czyki...

– Właśnie tak, dobrze waszmość zrozumiałeś. Nie na darmo mi mówiono, że imć Frenikol nie jest głupcem...

– Bardzo pani łaskawa. Jeśli idzie o to, czego ode mnie żądacie, mam ogromny wybór i od razu pójdę wyszukać coś odpowiedniego.

Frenikol wyszedł. Zelida całowała przyjaciółkę i dziękowała jej za fortel. – Ja zaś – powiada afrykański autor – postanowiłem odpocząć, czekając na powrót jubilera.

W KTÓRYM WRACA JUBILER

Jubiler zjawił się znowu i pokazał dewot-

I |kom dwa bardzo foremne kagańczyki.

-Litości! – krzyknęła Zelida. — Co straszne, olbrzymie kagańce! Jakim to nieszczęśniczkom mają służyć? Przecież są wielkie chyba na sążeń! Musiałeś chyba, drogi przyjacielu, wziąć miarę z kobyły sułtana.

– Owszem |fjj rzekła niedbale Zofia, obejrzawszy je dokładnie i zmierzyszy palcami – masz rację. Mogłyby się przydać tylko kobyle sułtana albo starej Rimozie...

– Ależ ręczę wam, wielmożne panie – powiedział Frenikol – że to zwyczajna wielkość i że Zelmajda, Zyrfila, Amiana, Zulika oraz setki innych kupiły podobne...

To niemożliwe – odparła Zelida.

–To jednak prawda – rzekł Frenikol. – Choć wszystkie mówiły zrazu tak jak panie, i mogą panie, jak one, przekonać się o pomyłce, robiąc przymiarkę...

–Imć Frenikol może mówić, co chce, ale nigdy mnie nie przekona, że to mój rozmiar – powiedziała Zelida.

]Ani mnie – dorzuciła Zofia. – Niech nam pokaże inne, jeśli ma.

Frenikol, który doświadczył już był kilkakrotnie, jak trudno kobiety zmieniają zdanie w tym przedmiocie, pokazał im kagańce dla trzynastoletnich dziewczynek.

- Oto czego nam trzeba! krzyknęły obie naraz.
- Mam nadzieję – rzekł cicho Frenikol.
- Jaka cena? – spytała Zelida.
- Pani, tylko dziesięć dukatów.
- Dziesięć dukatów! Chyba waszmość nie wiesz, co mówisz.
- Zapewniam panią, że to uczciwa cena...
- Każesz nam płacić tyle, bo to coś nowego...
- Przysięgam, że tyle właśnie są warte...
- Prawda, że są zrobione ze smakiem; wszakże dziesięć dukatów to suma...
- Nie mogę nic opuścić.
- Pójdziemy więc do Eolipila.
- Mogą panie, zapewne. Ale są jubilerzy i jubilerzy, kagańce i kagańce...

Frenikol stał twardo przy swoim i Zelida musiała się zgodzić. Zapłaciła za obydwie kagańce i jubiler odszedł, przekonany, że okażą się za ciasne, i że rychło wrócą do niego za ćwierć ceny. Omylił się jednak. Ponieważ Mangogulowi nie przyszło nigdy na myśl, by zwrócić swój pierścień na te damy, ich klejnotów nie zdjęła ochota, by mówić głośniejszym głosem niż zazwyczaj. Na całe szczęście dla właścicielek, albowiem gdy Zelida przymierzyła swój kagańczyk, okazał się o połowę za mały. Nie pozbyła się go

jednak, mniemając, iż wymiana na nowy kryje w sobie tyleż niedogodności, co nieużywanie go w ogóle.

Dowiedziano się o tym od jednej z jej służebnych, która powiedziała wszystko w zaufaniu swojemu kochankowi, który rzecz powtórzył w tajemnicy pozostałym, którzy powierzyli sekret całej Banzie. Frenikol także nie milczał i w ten sposób przygoda naszych dewotek stała się głośna, bawiąc przez pewien czas plotkarzy w Kongo. Zelida była zrozpaczona. Ta kobieta, godna raczej pożałowania niż nagany, nabrała wstrętu do swego bramina, opuściła męża i zamknęła się w klasztorze. Co do Zofii, zdarła z siebie maskę, za nic miała plotki, jęła używać różu i muszek, rzuciła się w wielki świat i mnożyła przygody.

## SIÓDMA PRÓBA PIERŚCIENIA

### KLEJNOT CIERPIĄCY NA DUSZNOŚCI

Chociaż mieszczki Banzy przypuszczały, iż klejnotom ich stanu nie będzie dany | przywilej mowy, każda zaopatrzyła się w kagańczyk. I nosiło się owe knebelki w Banzie tak, jak gdzie indziej nosi się żałobę po panującym.

W tym miejscu afrykański autor zauważa ze zdziwieniem, iż ani taniość, ani pospolity stan kagańców nie sprawiły, że moda na nie minęła na dworze sułtańskim. "Tym razem – pisze – użyteczność wzięła górę nad przesądem." Myśl to tak oklepana, że nie musiał jej powtarzać. Wszelako, jak mi się zdaje, wadą wszystkich dawnych autorów Konga było powtarzanie się §11 czy dlatego, że pragnęli w ten sposób nadać swym dziełom wyraz prawdopodobieństwa i łatwości, czy dlatego, że daleko im było do owego bogactwa wyobraźni, które u nich widzą ich wielbiciele.

Tak czy owak pewnego dnia Mangogul, przechadzając się po swych ogrodach w towarzystwie całego dworu, postanowił zwrócić oczko pierścienia na Zelajdę. Była ładna i podejrzewana o kilka przygód. Jednakże jej klejnocik tylko zabełkotał,

wydając z siebie urywane słowa, które nic nie znaczyły i które żartownisie wyjaśnili, jak chcieli.

– No tak! – powiedział sułtan. – Otóż i klejnot, któremu bardzo ciężko się wysławić. Musi być tu coś, co mu przeszkadza mówić.

I przysunął pierścień bliżej. Klejnot znów zrobił wysiłek, żeby coś powiedzieć, a ponieważ udało mu się częściowo pokonać przeszkodę, która zamykała mu usta, usłyszano wyraźnie:

– Aj, aj!... Du... Du... Duszę się. Już nie mogę... Aj, aj! Duszę się!

I Zelajda istotnie poczuła, że się dusi: twarz jej zbladła, pierś zaczęła falować; naraz padła z zamkniętymi oczyma i na wpół otwartymi ustami w ramiona tych, którzy stali obok.

W innym miejscu ulżono by jej natychmiast: wystarczyło przecież uwolnić ją od kagańca, żeby przywrócić klejnotowi oddech. Jakże jednak ofiarować jej pomocną dłoń w przytomności Mango- gula!

– Szybko, szybko, lekarza! – wołał sułtan. – Zelajda umiera.

Paziowie pobiegli do pałacu i wrócili, a za nimi kroczyli dostojnie medycy z Orchotomusem na czele. Jedni byli za upustem krwi, drudzy za ker- mesem na wymioty, lecz bystry Orchotomus kazał przenieść Zelajdę dalej, zbadał ją i przeciął rzemyki wędzidła. Chwalił się potem, że ów zakneblowany klejnot był jednym z tych, które widział w stanie paroksyzmu.

Ponieważ obrzmienie było znaczne, Zelajda nadal by cierpiała, gdyby sułtan nie zlitował się

nad nią i nie odwrócił pierścienia. Wówczas humory znów znalazły się w równowadze, Zelajda ozdrowiała, a Orchotomus nie omieszkał przypisać sobie tego cudu.

Wypadek Zelajdy oraz niedyskrecja jej lekarza bardzo podważyły zaufanie do kagańców. Orchotomus, nie bacząc na interesy Eolipila, postanowił na ruinach jego fortuny zbudować swoją własną: obwołał się wyłącznym lekarzem od klejnociej chrypki; jeszcze dziś widzi się to ogłoszenie na bocznych ulicach. Na początku zarobił dużo pieniędzy, skończył tak, że wszyscy nim gardzili, Albowiem sułtan z upodobaniem gnębił zarozumiałstwo empiryka. Jeśli Orchotomus chwalił się, że to on zmusił do milczenia jakiś klejnot, który nigdy nie powiedział słowa, Mangogul bezlitośnie obdarzał ów klejnot mową. Zauważono wręcz, iż każdemu klejnotowi, któremu nudziło się trwać w milczeniu, wystarczyły dwie lub trzy wizyty Orchotomusa, żeby niemota minęła. Niebawem, wraz z Eolipilem, został uznany za szarlatana i obaj będą członkami tego plemienia dopóty, dopóki Brahmie nie spodoba się wydobyć ich z niego.

Natomiast kobiety wołały wstyd od apopleksji. "Od apopleksji się umiera" – mówiły. Porzucono więc kagańce, pozwolono mówić klejnotom i nikt od tego nie umarł.

## ÓSMA PRÓBA PIERŚCIENIA

### WAPORY

Jak widać, był czas, gdy kobiety cierpiały na duszności, umierały niemal w obawie, by ich klejnoty nie przemówiły. Ale .....Ipotem przyszła zmiana: przestały się bać, pozbyły się kagańców, natomiast zaczęły się skarżyć na wapory.

Jedną z bliskich towarzyszek sułtańskiej faworyty była panna dość osobliwa. Miała czarujący charakter, choć nader niestały. Oblicze jej zmieniało się dziesięć razy na dzień, lecz jakiegokolwiek było, zawsze się podobało. Wyjątkowa była i jej melancholia, i jej radość. W chwilach swych największych szaleństw wypowiadała słowa cudownej mądrości, zaś wtedy, gdy ogarniał ją smutek, zdarzało się jej mówić najucieszniesze szaleństwa.

Mirzoza tak bardzo przywykła do Kalliroe (j tak zwała się owa szalona osoba – że nie mogła prawie obejść się bez niej. Pewnego razu, gdy sułtan wyrzucał faworycie jakowyś niepokój i chłód, które u niej dostrzegął, odpowiedziała zakłopotana:

–Książę, bez moich trzech zwierzątek, kanarka, kotki i Kalliroe, nic nie jestem warta. A widzisz, że ostatniej mi brakuje.

–..... Dlaczego jej nie ma? – zapytał Mangogul.

– Nie wiem – odpowiedziała Mirzoza – ale oświadczyła mi kilka miesięcy temu, że jeśli Mazul pojedzie na wojnę, z pewnością będzie cierpiała na wapory. A Mazul wyjechał wczoraj...

– Jeśli o nią chodzi, rzecz wydaje mi się jeszcze zrozumiała – rzekł sułtan. – Można powiedzieć, że są to wapory z należytą przyczyną. Czemuż jednak cierpią na nie setki innych dam, które mają młodych mężów i którym nigdy nie brakuje kochanków?

– Panie – odparł jeden z dworzan – to modna choroba. Kobiecie wypada miewać wapory. Nie mając waporów i nie mając kochanków, nie ma się obycia w świecie, i ostatnia mieszczka w Banzie wie o tym doskonale.

Mangogul uśmiechnął się i postanowił natychmiast odwiedzić którąś z owych pań skłonnych do waporów. Udał się wprost do Saliki. Zastał ją w łóżku, z odkrytą piersią, roziskrzonymi oczyma i potarganym włosom, a u wezgłowia ujrzał medyka Farfadięgo, garbusa i jąkałę, który plótł jej coś do ucha. Ona zaś wyciągała jedno ramię, potem drugie, ziewała, wzdychała, kładła rękę na czoło i wołała boleści wie:

– Ach, już nie mogę!... Otwórzcie okna... Chcę powietrza... Już nie mogę, umieram...

W chwili, gdy przejęte pokojowe pomagały Farfadiemu zdejmować kołdry, Mangogul obrócił na nią pierścień i w tejże chwili usłyszano:

– O jakże mi nudno żyć w ten sposób! Oto pani wbiła sobie do głowy, że musi mieć wapory! To potrwa z tydzień i niech umrę, jeśli wiem po co.

Albowiem po tylu wysiłkach, które przedsięwziął Farfadi, żeby zwalczyć dolegliwość, nie warto chyba, by starał się dalej.

– Dobrze – powiedział sułtan, odwracając pierścień. – Rozumiem. Ta ma wapory ze względu na swego lekarza. Zobaczmy gdzie indziej.

Z pałacu Saliki przeniósł się do pałacu Arsinoe, który jest w pobliżu. Już u wejścia usłyszał dochodzące z jej pokojów głośnie wybuchy śmiechu i sądził, że zastanie ją w towarzystwie. Była jednak sama i Mangogul nie był tym nadmiernie zdziwiony. “Niewiasta mająca wapory – powiedział sobie – miewa je widocznie smutne lub wesołe, zależnie od potrzeby.”

Zwrócił na nią pierścień i natychmiast jej klejnot zaczął się śmiać na całe gardło. Ale naraz te nie-umiarkowane śmiechy przeszły w pocieszne lamenty z powodu nieobecności Narcesa, któremu klejnocik radził po przyjacielsku, by wrócił jak najprędzej, i słycać było, jak szlocha, płacze, wzdycha, rozpacza niczym ktoś, kto pochował całą rodzinę.

Sułtan poprzestał na skwitowaniu śmiechem tej dziwacznej zgryzoty, odwrócił pierścień i oddalił się, pozostawiając Arsinoe i jej klejnot ich lamentom i myśląc w duchu, że w tej materii żadna zasada nie jest prawdziwa.

## DZIEWIĄTA PRÓBA PIERŚCIENIA

O RZECZACH STRACONYCH I ODNALEZIONYCH, CZYLI PRZYCZYNEK DO UCZONEGO TRAKTATU PANCIROLLEGO" I MEMORIAŁÓW AKADEMII NAPISÓW

M angogul wracał do pałacu, myśląc o kobiecych śmiesznoścach, i wtem znalazł się – w roztargnieniu albo wie dziony przez swój pierścień – w podcieniach wspaniałej budowli, którą Telida ozdobiła bogatymi łupami swoich kochanków. Postanowił tedy skorzystać ze sposobności i wypytać jej klejnocik.

Telida była żoną emira Sambuko,<sup>88</sup> którego przodkowie panowali w Gwinei. Sambuko cieszył się w Kongo wielkim uznaniem dzięki pięciu czy sześciu sławnym zwycięstwom, które odniósł nad wrogami Ergebzeda. Będąc równie zręcznym negocjatorem, co wielkim wodzem, pełnił urząd ambasadora w najznacniejszych krajach i wywiązywał się ze swych obowiązków wprost znakomicie. Po powrocie z Loango ujrzął Telidę i zakochał się od razu. Zbliżał się wtedy do pięćdziesiątki, zaś Telida nie przekroczyła jeszcze lat dwudziestu pięciu. Miała więcej wdzięku niż urody; kobiety mówiły, że może się podobać, mężczyźni twierdzili, że jest zachwycająca. Zjawily się świetne partie; ale czy dlatego, że miała już swoje zamiary, czy że różnice fortuny między nią a kandydatami były zbyt zna

czne, wszyscy dostali kosza. Sambuko złożył u jej stóp bezmierne bogactwa, imię, wawrzyny i tytuły ustępujące tylko monarszym, i zdobył ją.

Telida była cnotliwa lub uchodziła za taką przez całe sześć tygodni po ślubie. Wszelako klejnot, co jest z natury skłonny do rozkoszy, rzadko panuje nad sobą, a pięćdziesięcioletni mąż, jakimkolwiek skądinąd byłby bohaterem, jest szaleńcem, jeśli mniema, że zwycięży tego przeciwnika. Chociaż Telida postępowała z wielką ostrożnością, jej pierwsze przygody nie były żadną tajemnicą. To wystarczyło, żeby potem przypisywać jej takie, które trzymała w sekrecie. Mangogul, żądny prawdy, szybko przebiegł przedpokoje i dotarł do jej komnaty.

Był środek lata, panował straszny upał i Telida zaraz po obiedzie wyciągnęła się na sofie w bocznym saloniku, ozdobionym lustrami i malowidłami. Spała teraz, a jej dłoń spoczywała jeszcze na tomie baśni perskich, które ją zmorzyły.

Mangogul przyglądał się jej przez jakiś czas, uznał, że ma sporo powabów, po czym zwrócił na nią pierścień.

– Pamiętam, jakby to było dzisiaj – odezwał się natychmiast klejnot Telidy. – Dziewięć dowodów miłości w cztery godziny! Ach, co za chwile! Zermunzaid to boski człowiek! To nie to, co stary i wyziębły Sambuko. Drogi Zermunzaidzie, nie wiedziałem, czym są prawdziwe rozkosze, czym jest dotykalne szczęście: to dzięki tobie je poznałem.

Mangogul pragnął dowiedzieć się szczegółów związku Telidy z Zermunzaidem, które klejnot

przemilczał, mówiąc jeno o tym, co najbardziej porusza klejnocia wyobraźnię; potarł więc mocno oczko pierścienia o swoje szaty, aż rozbłysnęło całym światłem, i skierował je znów na Telidę. Wezwanie to dotarło zaraz do klejnotu, który, lepiej pojawiający, czego odeń żądają, podjął opowieść w bardziej historycznym tonie:

– Sambuko dowodził wówczas armią na granicy z Monoemugi, a ja mu towarzyszyłem w tej kampanii. Zermunzaid służył pod nim w stopniu pułkownika i generała, który zaszczycał go swym zaufaniem, oddał nas pod jego eskortę. Gorliwy Zermunzaid ani na chwilę nie opuszczał stanowiska: zbyt słodkie było dla niego, aby je chciał ustąpić komukolwiek, zaś strach przed jego utratą był jedynym, jaki odczuwał na tej wojnie.

Kiedyśmy zajęli kwatery zimowe, przyjąłem kilku nowych gości, a byli nimi Kacyl, Jekia, Almamum, Jasub, Selim, Manzora i Nereskim – wszystko wojownicy, którzy stali się modni dzięki Zermun- zaidowi, lecz mniej od niego warci. Łatwowierny Sambuko był pewien cnoty swojej żony, polegając na niej samej i na opiece Zermunzaida. Zajęty bezlikiem spraw wojennych oraz rozmyślaniami nad wielkimi operacjami, które zamierzał przedsięwziąć ku chwale Konga, nie podejrzewał ani przez chwilę, by Zermunzaid mógł go zdradzić i żeby Telida mogła być niewierna.

Tymczasem wojna trwała. Wojsko znów ruszyło w drogę, a my wraz z nim w naszych lektykach. A ponieważ te posuwał) się bardzo wolno, główna

część armii wyprzedziła nas i znaleźliśmy się w ariergardzie. Dowodził nią właśnie Zermunzaid. Ów dzielny chłopiec, którego nigdy nie zdołała zawrócić z drogi chwały myśl o wielkim niebezpieczeństwie, nie mógł się oprzeć pokusie rozkoszy. Rozkazał tedy jednemu z podkomendnych, aby czuwał nad ruchami wroga, który nas nękał, po czym wśliznął się do naszej lektyki. Ale ledwie się w niej znalazł, usłyszeliśmy szcęk broni i krzyki. Zermunzaid, przerwawszy swój trud w połowie, chce wyjść, ale oto zostaje obalony na ziemię i wpadamy w ręce zwycięzców.

Na początku więc pogrzebałem honor i służby oficera, którego odwaga i zasługi mogły mu przynieść najpierwsze stanowiska wojenne, gdyby nie był poznał żony generała. Zginęło wtedy ponad trzy tysiące ludzi – dobrych poddanych, których zabraliśmy państwu.

Trudno sobie wyobrazić zdziwienie Mangogula na te słowa! Słyszał przecie mowę pogrzebową, wygłoszoną po śmierci Zermunzaida, i nowy jego wizerunek wcale się z tamtym nie zgadzał. Ergebzed bardzo żałował tego oficera: wieści, które przekazano, nie szczędziły pochwał na temat jego wspaniałego odwrotu i przypisywał) jego klęskę oraz śmierć jedynie liczebnej przewadze wroga, która, jak mówiono, była sześciokrotna. Całe Kongo oplakiwało człowieka, co tak dobrze spełnił swój obowiązek. Jego żona otrzymała pensję, jego pułk oddano pod dowództwo starszego syna i obiecano benefis dla młodszego.

– Ileż okropności! – szeptał Mangogul. – Zhańbiony małżonek, zdradzony kraj, jego żołnierze posłani na śmierć: tyle występków, o których nie wiadano, które wręcz nagrodzono niczym cnoty! A wszystko z powodu jednego klejnociku!

Klejnot Telidy, który przerwał opowieść, żeby zaczerpnąć tchu, ciągnął w te słowa:

– Otom więc wydany na pastwę wroga. Cały pułk dragonów szykował się, by nas dopaść, Telida zdawała się przerażona, ale naprawdę niczego bardziej sobie nie życzyła. Tymczasem wdzięki zdobyczy zasiały niezgodę wśród drapieżców. Dobyto jataganów i w mgnieniu oka trzydziestu lub czterdziestu ludzi rozsiekano się wzajemnie. Odgłosy walki posłyszał dowódca. Nadbiegł zaraz, uspokoił szaleńców i umieścił nas pod strażą w namiocie. Nie zdążyliśmy jeszcze ochłonać, gdy zjawił się prosić o nagrodę za swoje usługi. “Biada zwyciężonym!” – zakrzyknęła Telida, padając na łożo. I cała noc przeszła na utwierdzaniu jej w tym nieszczęściu.

Nazajutrz znaleźliśmy się nad brzegiem Nigru. Czekał tu żaglowiec, którym moja pani popłynęła wraz ze mną, by zostać przedstawiona cesarzowi Beninu. Podczas tej dwudziestoczworgodzinnej podróży kapitan statku złożył swe hołdy Telidzie, został przyjęty, i doświadczyłem na sobie, iż służba na morzu wymaga żywszego temperamentu niż służba na lądzie. Stawiliśmy się tedy przed cesarzem Beninu. Był młody, miał gorącą krew i skłonność do miłości. Telida stała się i jego zdobyczą. Lecz on był przerażony zdobyczami jej męża. Poprosił o

pokój i uzyskał go tylko za cenę trzech prowincji i oddania mnie bez okupu.

Przyszły inne czasy i inne trudy. Sambuko dowiedział się, nie wiadomo jak, przyczyny niepowodzeń poprzedniej kampanii, gdy rozpoczęła się następna, oddał mnie na przechowanie, gdzieś nad granicą, przełożonemu braminów, jednemu ze swoich przyjaciół. Święty mąż słabo się bronił: szybko uległ zaczepkom Telidy, toteż w niecałe pół roku pochłonąłem jego ogromne dochody oraz trzy stawy i dwa lasy wysokopienne.

–Litości! – krzyknął Mangogul. – Trzy stawy i dwa lasy! Co za apetyt jak na jeden klejnot!

–To bagatelka. Nastął pokój i Telida wyjechała z małżonkiem, który objął ambasadę w Monomo- tapie. Grała dużo i potrafiła przegrać w jeden dzień sto tysięcy cekinów, które ja odzyskiwałem w godzinę. Pewien minister, któremu sprawy władcy nie zajmowały wszystkiego czasu, wpadł w moje sidła: w trzy lub cztery miesiące połknąłem bardzo piękną ziemię, zamek wraz z meblami, park i karocę ze srokatymi końmi. Za jeden dowód łaski trwający cztery minuty, umiejętnie opóźniany, mieliśmy zabawy, podarki, drogie kamienie, zaś ślepy lub zajęty polityką Sambuko nie niepokoił nas wcale.

Nie liczę tu wszystkich margrabiowskich i hrabiowskich tytułów, wszystkich godności i herbów, które straciły blask z mojego powodu. Zapytaj mego sekretarza: on powie, co się | nimi stało. Uszczupliłem mocno domenę królewską Biafary i

posiadam całą prowincję w Beleguanze. Zaś Ergebzed proponował mi pod koniec życia...

Na te słowa Mangogul odwrócił pierścień i otchłań zamknęła się. Czczył pamięć ojca i nie chciał słyszeć niczego, co mogłoby przyćmić w jego duszy blask wielkich zalet, które u niego widział.

Wróciwszy do swego seraju, opowiedział faworycie o damach z waporami i o próbie pierścienia, której poddał Telidę.

– Przyznasz pani – powiedział – że ta kobieta należy do twego bliskiego otoczenia. Ale zdaje się, iż nie znasz jej tak dobrze, jak ja.

– Rozumiem cię, panie – odparła sułtanka. – Pewnie jej klejnot opowiedział ci niemądrze o przygodach z generałem Mikokofem, emirem Feridurem, senatorem Marsufą i wielkim braminem Ramadanutem. Ech, któż nie wie, że Telida utrzymuje młodego Alamira i że stary Sambuko, który nic nie mówi, wie o tym równie dobrze jak ty!

– Nie o to chodzi – rzekł Mangogul. – Ten klejnot wyśpiewał właśnie, ile to łupów zagarnął.

– Czy coś ci zabrał, panie? – zapytała Mirzoza.

– Nie mnie – powiedział sułtan –I ale moim poddanym, moźnym mego państwa, władcom sąsiednich krajów: ziemie, prowincje, zamki, stawy, lasy, diamenty, karoce ze srokatymi końmi.

– Nie licząc, Wasza Wysokość – dodała Mirzoza – szacunku i cnoty. Nie wiem, panie, jaką korzyść przyniesie ci twój pierścień. Ale im więcej czynisz prób, tym wstrętniejsza staje mi się moja pleć. Nie wyłączam nawet tych kobiet, dla których, jak sądziłam, winnam mieć pewne poważanie. Tak

jestem na wszystkie zła, że byłabym wdzięczna Waszej Wysokości, gdyby zechciał zostawić mnie samą z moimi humorami na kilka chwil.

Mangogul, który wiedział, że faworyta nie znosi jakiegokolwiek przymusu, pocałował ją trzy razy w prawe ucho i oddalił się.

## PRÓBA MORALISTYKI MANGOGULA

M angogul, niecierpliwy, by znów ujrzeć faworytę, spał niewiele i wstał wcześniej niż zazwyczaj. Zjawił się u niej z samego Jrana. Zadzwoiła już na pokojowe i zasłony łóżka były rozsunięte. Przygotowywano ją do porannej toalety. Sułtan rozejrzał się wokół i nie widząc koło niej żadnego pieska, spytał ją o powód tej osobliwości.

– Uważasz, panie, za osobliwe – odparła Mirzoza – coś, co żadną osobliwością nie jest.

– Zapewniam cię, pani ii! odparł fe-r że widzę psy u wszystkich dam mojego dworu, i że byłbym ci bardzo wdzięczny, gdybyś mi wyjaśniła, dlaczego ty nie masz. Większość z nich ma ich nawet kilka, nie znajdziesz jednej, która nie obsypywałaby zwierzęcia pieszczotami, których skąpi kochankowi. Skąd bierze się skłonność do tych stworzeń? Czemu służą?

Mirzoza nie wiedziała zrazu, co odpowiedzieć na te pytania.

– Ktoś ma psa – mówiła – tak, jak kto inny papugę czy kanarka. To może śmieszne przywiązywać się do zwierząt, ale nic dziwnego, że się je

chce mieć: są zabawne i nigdy nie szkodzą. Jeśli je pieścimy, to są to pieszczoty błahe, bez znaczenia. Zresztą, czy sądzisz, książę, iżby jakiś kochanek zadowolił się takim pocałunkiem, jaki kobieta daje swemu pekińczykowi?

– Tak właśnie sędzę – powiedział sułtan. – Musiałby być chyba, do kroćset, bardzo wybrednym, gdyby go to nie zadowoliło.

Jedna z pokojowych Mirzozy, wielce lubiana przez sułtana i faworytę dzięki łagodności swego usposobienia, umiejętnościom i gorliwości w służbach, rzekła:

–rrTe psiaki są uciążliwe i brudne. Plamią suknie, niszczą meble, drą koronki i w ciągu kwadransa robią więcej szkód niż potrzeba, aby ściągnąć niełaskę na głowę najwierniejszej pokojówki. Mimo to nie wyrzuca się ich.

– Chociaż, jak twierdzi twoja pani, do niczego innego nie służą – dodał sułtan.

–Książę Bi odparła Mirzoza – lubimy nasze kaprysy i widocznie posiadanie pekińczyka to właśnie jeden z kaprysów, taki jak inne, które nie byłyby kaprysami, gdyby można było wytłumaczyć ich przyczynę. Moda na małpki minęła. Papużki jakoś trwają. Psy miały okres niełaski, teraz znów się pojawiły. Kiedyś panowały wiewiórki. Ze zwierzętami jest tak, jak było z kolejnymi modami na włoski, angielski, geometrię, falbany i ząbki na sukniach.

–Nie masz, Mirzozo B rzekł sułtan, potrząsając głową – pełnej wiedzy w tym przedmiocie. A klejnoty...

- Wasza Wysokość nie wyobraża sobie chyba, że dowie się od klejnotu Marii, dlaczego ta niewiasta, która oglądała śmierć syna, jednej z córek i męża, nie wylewając ani jednej łzy, przez dwa tygodnie opłakiwała utratę swego doga?
- Czemu nie? – powiedział Mangogul.
- Doprawdy – rzekła Mirzoza –jeśliby nasze klejnoty mogły wyjaśnić wszystkie nasze kaprysy, byłyby mądrzejsze niż my same.
- A kto mówi inaczej? – odparł sułtan. – Uważam, że klejnot każe czynić kobiecie tysiące rzeczy, czego ona zupełnie nie jest świadoma, całkiem bezwiednie. I spostrzegłem przy niejednej okazji, że niewiasta, której się zdaje, iż rządzi nią głowa, jest posłuszna klejnotowi. Pewien wielki filozof umieścił duszę – męską, ma się rozumieć – w szyszynce.<sup>23</sup> Co do mnie, gdybym miał uznać, że i kobiety mają duszę, wiem dobrze, gdzie bym ją umieścił.
- Zwalniam cię, panie, z konieczności wyjawienia mi tego – rzekła natychmiast Mirzoza.
- Pozwolisz jednak przynajmniej, abym się z tobą podzielił kilkoma myślami na temat kobiet, zakładając ciągle, że te mają duszę. Natchnął mnie tymi myślami mój pierścień: dzięki próbom, które za jego pomocą poczyniłem, stałem się wielkim moralistą. Nie mam polotu La Bruyere'a, logicznych talentów uczonych z Port-Royal, wyobraźni Montaigne'a i mądrości Charrona; ale za to zebrałem pewne fakty, których może im brakowało.
- Proszę, mów, książę – odparła ironicznie Mirzoza. – Będę cię słuchać z największą uwagą.

To coś rzadkiego: uwagi moralne sułtana w twoim wieku!

– System Orchotomusa jest niedorzeczny, nawet jeśli jego kolega, sławny Hiragu, jest innego zdania. Znajduję wszakże nieco sensu w odpowiedziach, których udzielił na przedłożone mu wątpliwości. Gdybym więc założył, że kobiety mają duszę, zgodziłbym się z nim chętnie, że klejnoty zawsze mówiły, co prawda bardzo cicho, i że działanie pierścienia geniusza Kukufy sprowadza się do wzmocnienia ich głosu. A jeśli tak, to nic łatwiejszego jak określić wasze charaktery, wszystkich bez wyjątku. Na przykład:

Kobieta cnotliwa to taka, której klejnot milczy lub nie jest przez nią słuchany.

Skromnisia – ta, która udaje, że nie słucha klejnotu.

Rozwiązła – ta, od której klejnot wiele żąda, i która zbyt łatwo czyni zadość tym żądaniom.

Zmysłowa – ta, która słucha klejnotu z upodobaniem.

Kurtyzana – ta, od której klejnot żąda czegoś co chwilę i która niczego mu nie odmawia.

Kokietka – ta, której klejnot milczy lub nie jest przez nią słuchany, ale zarazem ta, która robi wszystkim znajomym mężczyznom nadzieję, że ów klejnot przemówi pewnego dnia i że wówczas, być może, nie będzie głucha na jego wezwania.

No więc, radości mej duszy, co myślisz o moich definicjach?

– Myślę – odpowiedziała faworyta – że Wasza Wysokość zapomniał o kobiecie czulej.

– Jeśli o niej nie mówiłem, to dlatego, że nie wiem jeszcze, co to znaczy, i że ludzie roztropni twierdzą, iż słowo “czuły” nie ma sensu, gdy je rozważać bez związku z działaniem klejnotu.

– Jak to: nie ma sensu? – zawołała Mirzoza. – Cóż to! Nie istnieje już więc nic pośredniego, nie ma innych kobiet poza skromniami, rozwiązłymi, kokietkami, zmysłowymi i rozpustnicami?

– Słodczy duszy mojej – powiedział sułtan – jestem gotów przyznać, że mój podział grzeszy niedokładnością i chętnie dodam kobietę czułą do poprzednich charakterów, pod warunkiem jednak, że sama dasz takie określenie, które by się nie mieściło w żadnym z moich.

– Z wielką chęcią – odparła Mirzoza. – Sądzę, iż dam sobie radę, nie wychodząc z twojego systemu.

– Przekonajmy się.

– Otóż – rzekła faworyta – kobieta czuła to taka...

– Odwagi, Mirzozo – przerwał Mangogul.

– Och, nie przeszkadzaj mi, panie, jeśli łaska. Kobieta czuła to taka..., której klejnot nic nie mówi, gdy kocha, albo taka..., której klejnot przemawia tylko na korzyść jednego mężczyzny, jakiego kochała.

Nie byłoby uprzejmie ze strony sułtana droczyć się i faworytą i pytać ją, co rozumie pod słowem “kochać”: toteż tego nie uczynił. Mirzoza wzięła jego milczenie za przyznanie się do porażki i dodała wielce dumna, że poradziła sobie z zadaniem, które wydawało się jej trudne:

– Wy, mężczyźni, sądźcie, że skoro nie wdajemy się w dysputy, to znaczy, że nie jesteśmy zdolne do rozumowania. Dowiedzcie się raz na zawsze, że gdybyśmy chciały zadać sobie ten trud, wykazałybyśmy fałsz waszych paradoksów równie łatwo, jak wy wykazujecie kręactwa naszych racji. Jeśliby Waszej Wysokości było mniej spieszo zaspokoić ciekawość co do pekińczyków, ja z kolei dałabym ci, panie, małą próbkę mojej filozofii. Ale nic nie stracisz: odłożę to na któryś z następnych dni, gdy będziesz miał dla mnie więcej czasu.

Mangogul odpowiedział, że nie chce robić nic innego, jak korzystać z jej filozoficznej lekcji; i że metafizyka dwudziestodwuletniej sułtanki jest pewnie nie mniej osobliwa niż moralistyka sułtana w jego wieku.

Wszelako Mirzoza, obawiając się, że Mangogul mówi tak przez grzeczność, poprosiła, by dał jej trochę czasu na przygotowanie, i dostarczyła w ten sposób sułtanowi pretekstu do udania się tam, gdzie go wzywała jego niecierpliwość.

..... ROZDZIAŁ XXVI ...

DZIESIĄTA PRÓBA PIERŚCIENIA

PEKIŃC

Mangogul przeniósł się natychmiast do Harii, a jako że chętnie mówił sam do I lvi siebie, rzekł sobie w duchu: "Ta kobieta nie kładzie się nigdy spać bez swoich czterech kundli. Albo klejnoty nic nie wiedzą o tych zwierzakach, albo jej własny coś mi o nich powie. Bo, dzięki Bogu, wszystkim wiadomo, że jej miłość do nich graniczy z uwielbieniem."

Znalazł się w przedpokoju Harii pod koniec tego monologu i wyczuł z dala, że pani wypoczywa w swoim zwykłym towarzystwie. Były tam: pekińczyk, dożyca i dwa małe buldogi. Sułtan wyjął taba- kierę, zażył na wszelki wypadek dwie szczypty hiszpańskiej tabaki i zbliżył się do Harii. Spała. Ale jej sfora nadstawiała ucha i usłyszawszy jakiś szmer, psy zaczęły szczekać. Zbudziło to ją.

– Cicho, moje dzieci – odezwała się najśłodszym tonem, którego z pewnością nie przybierała, gdy mówiła do swych córek. – Spijcie, śpycie, nie zakłócajcie, proszę, mojego i waszego wypoczynku.

Haria była niegdyś młoda i ładna. Miała kochanków równego jej stanu, lecz zniknęli jeszcze wcześniej niż jej wdzięki. Ażeby się pocieszyć po tej stracie, jęła gustować w dziwnym przepychu, a

jej lokaje byli najgładszymi w całej Banzie. Starzała się coraz bardziej i lata kazały jej zmienić obyczaje. Ograniczyła się do czterech psów, dwóch braminów i stała się wzorem budującego życia. Istotnie, najjadowitsze języki nie miały jej gdzie ukąsić, i od ponad dziesięciu lat cieszyła się w spokoju sławą cnościwej i swoimi psami. Wiedzano nawet, że jej uczucie do pekińczyków jest tak przemożne, iż nie podejrzewano już, by mogli je dzielić również bramini.

Haria jeszcze raz uspokoiła psy, a one łaskawie posłuchały. Wówczas Mangogul zwrócił ku niej dłoń z pierścieniem i zaraz podstarzały klejnocik zaczął opowiadać swoją ostatnią przygodę. Od pierwszych upłynęło już tyle czasu, że zapomniał o nich prawie.

–Odejdź, Medorze — , powiedział naraz zachrypniętym głosem – męczysz mnie. Wolę Lizet-kę, jest bardziej delikatna.

Medor, któremu głos klejnotu był nieznanym, dalej robił swoje. Lecz zbudziła się Haria i rzekła:

–Zejdź stąd, szelmo. Przeszkadzasz mi spać. To dobre niekiedy, ale nie wolno tracić miary.

Medor odszedł, Lizetka zajęła jego miejsce i Haria znów zasnęła.

Mangogul, który przerwał na chwilę działanie pierścienia, obrócił go raz jeszcze i wiekowy klejnot, wzdychając głęboko, jął tak bajdurzyć:

–Ach, jakże mi smutno po śmierci wielkiej charcicy! To była najmiłsza w świecie mała kobietka, najbardziej pieszczodiwe stworzenie. Zabawiała mnie nieustannie, była samym polotem i czarem:

w porównaniu z nią jesteście jeno zwykłymi zwierzakami. Ten szkaradny człowiek ją zabił... biedną Zinzolinę. Wspominam ją zawsze ze łzami w oczach... Myślałem, że moja pani umrze z bólu. Przez dwa dni nie jadła i nie piła. Traciła zmysły: trudno sobie wyobrazić jej cierpienie. Jej spowiednik, jej przyjaciele, nawet jej pekińczyki – nie mieli do mnie dostępu. Pokojowym rozkazano pod groźbą wypędzenia, by nie wpuszczaly pana... "Ten potwór zabrał mi najdroższą Zinzolinę – krzyczała. – Niech się tu nie pokazuje. Nie chcę go nigdy oglądać."

Mangogul był ciekaw, w jakich okolicznościach zakończyła żywot Zinzolina, wzmocnił przeto elektryczną moc pierścienia, pocierając go o połę swej szaty, a kiedy skierował go na Harię, klejnot mówił tak:

– Haria, kiedy została wdową po Ramadeku, zapalała afektem do Sindora. Ów młodzieniec, choć dobrego rodu, nie miał wielkiej fortuny. Miał natomiast zalety, które kobiety cenią i do których, zaraz po pieskach, Haria miała największe zamiłowanie. Niedostatek przewyciężył u Sindora wstręt do wieku i do psów Harii. Dwadzieścia tysięcy talarów renty sprawiło, że zapomniał o zmarszczkach ukochanej i nieznośnych pekińczykach, i ją poślubił.

Spodziewał się, że za sprawą swych talentów i zalotów weźmie górę nad zwierzętami, i że popadną w niełaskę, gdy tylko on zacznie panować. Mylił się srodze. Po kilku miesiącach, kiedy mu się zdało, że już się dobrze zasłużył, przyszło mu do

głowy wytknąć mojej pani, że towarzystwo psów w łóżku nie bawi go tak jak ją, że jest niedorzecznością mieć więcej niż trzy takie stworzenia, i że robi się psiarnię z małżeńskiego łóża, jeśli co chwila zjawiają się w nim nowe bestie.

– Bardzo ci przystoi – odrzekła na to Haria zagniewanym tonem – mówić do mnie w ten sposób! Doprawdy, jakże wypada nędznemu kadetowi z Gaskonii, którego wyciągnęłam z nory, w jakiej by nawet moje psy nie chciały mieszkać, być teraz tak wybrednym! Czyżby perfumowano ci prześcieradła, mój panie, kiedyś zamieszkiwał w wynajętym pokoju? Wiedz raz na zawsze, że moje psy na długo przed tobą miały prawo do mojego łóżka, i że możesz albo je opuścić, albo dzielić je z nimi.

Oświadczenie było całkiem jasne i psy zostały na swoim miejscu. Ale pewnej nocy, kiedy wszyscy spaliśmy, Sindor, odwracając się na drugi bok, kopnął Zinzolinę. Charcica, nieprzywykła do takiego traktowania, ugryzła go w łydkę, za czym krzyki Sindora zbudziły panią.

– Cóż ci się stało, panie? – zapytała. – Można by rzec, że cię mordują. Coś ci się przyśniło?

– To twoje psy, pani – odpowiedział Sindor. – Pożerają mnie. Twoja charcica wyżarła mi właśnie kawałek nogi.

– Ach tak? – rzekła Haria, znów układając się do snu. – Robisz wiele hałasu o nic.

Sindor, urażony tymi słowami, wstał z łóżka i poprzysiągł, że nigdy do niego nie wróci, dopóki sfora nie zostanie wypędzona. Użył wpływów wspólnych przyjaciół, żeby się pozbyć psów, ale

nikomu się nie powiodło w tych ważkich rokowaniach. Haria odpowiedziała im, że Sindor jest chłystkiem, którego wyciągnęła ze strychu, gdzie mieszkał z myszami i szczurami; że nie powinien być tak wymagający; że zwykle śpi całą noc jak kłoda; że ona kocha swoje psy; że są dla niej największą rozrywką; że zasmakowała w ich pieszczotach jeszcze w dzieciństwie i postanowiła cieszyć się nimi aż do śmierci. "Powiedzcie mu jeszcze – mówiła do mediatorów – że jeśli się nie podda pokornie mojej woli, będzie tego żałował przez całe życie. Wycofam darowiznę, którą dla niego ustanowiłam, i uzupełnię o nią zapis w testamencie, przeznaczony na wyżywienie i utrzymanie moich kochanych dzieci."

– Między nami mówiąc – dodał klejnot – Sindor musiał być wielkim kpem, jeśli się spodziewał, że pani uczyni dla niego to, czego nie udało się uzyskać dwudziestu kochankom, dwóm spowiednikom i całej chmarze braminów: wszyscy stracili głowę. Tymczasem, za każdym razem, gdy Sindor spotykał owe stworzenia, nachodziła go złość, której nie umiał powstrzymać. Pewnego dnia, kiedy wpadła mu w ręce nieszczęsna Zinzo- lina, chwycił ją za kark i wyrzucił przez okno. Biedne zwierzę tego nie przeżyło. Wtedy dopiero wszczął się rejwach. Haria, z rozplómnionym obliczem, z oczyma pełnymi łez...

Klejnot zamierzał wrócić do tego, co już powiedział – ponieważ klejnoty lubią się powtarzać – ale Mangogul przerwał mu. Milczenie nie trwało długo. Kiedy sułtan uznał, że klejnot zapomniał już

o poprzedniej paplaninie, przywrócił mu mowę. A ów gaduła, przypominając sobie coś innego, wybuchnął śmiechem i mówił tak:

– Ale, ale, nie opowiedziałem ci, co się stało podczas nocy poślubnej Harii.

Widziałem dużo ucieśnych rzeczy w życiu, ale żadna mnie tak nie rozbawiła. Oto, po uroczystej wieczerzy prowadzą małżonków do sypialni. Wszyscy wychodzą, z wyjątkiem pokojowych pani, które ją rozbierają. Oto i rozebrana. Kładą ją do łóżka i Sindor zostaje z nią sam. Zauważa wnet, że bardziej żwawe od niego pekińczyki, buldogi, charty biorą w posiadanie jego żonę. Powiada więc:

– Pozwól, pani, że odsunę nieco tych rywali.

– Mój drogi, rób, co możesz – odrzekła Haria – Co do mnie, nie mam serca ich przepędzić. Te stworzenia tak są do mnie przywiązane i od tak dawna nie miałam innego towarzystwa...

– Będą może dzisiaj tak łaskawe – powiedział Sindor ||| żeby ustąpić miejsca, które ja powinienem zajmować.

–■ Sam się przekonaj – odparła Haria.

Sindor użył najpierw łagodnych sposobów i jął prosić Zinzolinę, by usunęła się w kąt, ale niesforne zwierzę zaczęło warczeć. Niepokój udzielił się reszcie: buldog i pekińczyki szczekały tak, jakby mordowano ich panią. Zniecierpliwiony hałasem Sindor przewraca buldoga, odpycha pekińczyka i chwyta Medora za łapę. Wierny Medor, utraciwszy sprzymierzeńców, próbował naprawić tę stratę przewagą pozycji, którą zajmował. Przywarł do ud swojej pani z ogniem w oku, zjeżoną sierścią i

otwartym pyskiem, przy czym marszczył nos i pokazywał wrogowi dwa rzędy ostrych zębów. Sindor kilkakrotnie przypuszczał szturm i Medor za każdym razem go odpierał, kłując go w palce i rozdzierając mankiety. Walka trwała ponad kwadrans, a jej zawziętość bawiła tylko Harię. Wreszcie Sindor uciekł się do podstępu wobec przeciwnika, którego nie miał już nadziei zwyciężyć siłą. Podrażnił Medora prawą ręką. Ten, czujnie śledząc ów ruch, nie zwrócił uwagi na lewą, która złapała go za kark. Na próżno się szarpał, żeby się wyzwolić: trzeba było opuścić pole bitwy i oddać Harię. Sindor stał się panem sytuacji, ale nie bez rozlewu krwi. Widocznie Haria postanowiła, że jej noc poślubna będzie krwawa. Jej pieski stawiały dzielnie czoło i nie zawiodły jej oczekiwań.

– Oto klejnot – powiedział Mangogul – który spisywałby nowiny dnia lepiej niż mój sekretarz.

I wiedząc już, co myśleć o pekińczykach, powrócił do faworyty.

– Przygotuj się, pani rzekł, gdy tylko ją zobaczył – do wysłuchania najdziwniejszych rzeczy pod słońcem. To gorsze niż chińskie figurki Palabrii. Czy uwierzysz, że psy Harii były rywalami jej męża, i to rywalami, których nad niego przedkładała? że śmierć charcicy poróżniła tych ludzi na całe życie?

– Cóż mi tu mówisz, księżę – odparła – o rywalach i psach? Nic z tego nie rozumiem. Wiem, że Haria kocha nieprzytomnie swoje pekińczyki. Ale wiem również, że Sindor jest człkiem gwałtownym, który być może nie okazał wszystkich

I

względom, wymaganych zazwyczaj przez kobietę, kiedy jest się jej winnym fortunę. Zresztą, cokolwiek by rzec o jego postępowaniu, nie wyobrażam sobie, by mógł mieć rywali. Haria jest tak godna szacunku! Pragnęłabym więc, aby Wasza Wysokość raczył jaśniej rzecz wytłumaczyć.-

– Słuchaj tedy – powiedział Mangogul – a przyznasz, że kobiety miewają wielce osobliwe gusta, by nie rzec czegoś gorszego.

I zaraz opowiedział jej o Harii – słowo w słowo tak, jak opowiadał klejnocik. Mirzoza nie mogła powstrzymać się od śmiechu, gdy usłyszała o batalii pierwszej nocy. Potem jednak rzekła poważnie:

– Czuję, że rośnie we mnie oburzenie. Nabieram wstrętu do tych stworzeń i kobiet, co je mają. Wnet oświadczę służebnym, iż wypędzę pierwszą, która będzie podejrzana o chowanie psa.

– Ech, czemuż tak daleko posuwać nienawiść? – rzekł sułtan. – Wy, kobiety, popadacie zawsze w skrajności! Przecież te zwierzęta przydają się na polowaniu, są potrzebne we wsi i przynoszą nie wiem ile jeszcze pożytków, nie licząc tego, który czerpie z nich Haria.

– Doprawdy – zauważyła Mirzoza – zaczynam wierzyć, że Waszej Wysokości trudno będzie znaleźć rozsądną kobietę.

– Powiedziałem ci to już, pani – odparł Mangogul. – Ale nie spieszmy się z wydaniem wyroku: mogłabyś mi zarzucić pewnego dnia, że tylko twemu zniecierpliwieniu zawdzięczam wyznanie prawdy, ja zaś zamierzam je użyć jedynie dzięki próbom pierścienia. A myślę o takich próbach.

które cię zadziwią. Nie zostały jeszcze odkryte wszystkie sekreta, toteż spodziewam się wydrzeć wazkie zwierzenia klejnotom, które mam wypytać.

Mirzoza bała się ciągle o swój własny. Słowa Mangogula wprawiły ją w niepokój, którego nie była w stanie przed nim ukryć; ale sułtan, który związał się był przysięgą i który w głębi duszy przestrzegał świętego obowiązku, pocieszył ją jak umiał najlepiej, pocałował kilkakroć najczulej i udał się na posiedzenie rady, dokąd go wzywały sprawy wielkiej wagi.

## JEDENASTA PRÓBA PIERŚCIENIA

### RENTY

a rządów Kanoglu i Ergebzeda Kongiem wstrząsały krwawe wojny i obaj monarchowie wstawili się podbojami, które uszczupliły posiadłości sąsiadów. Władcy Abeksu i Angoty uznali młody wiek Mangogula i początek jego panowania za sprzyjające okoliczności, by odebrać ziemie, które im zagarnięto. Wypowiedzieli więc wojnę Kongu i najechali je ze wszystkich stron.<sup>24</sup> Lecz Mangogul miał najlepszych w Afryce doradców i oto stary Sambuko oraz emir Mirzala, którzy widzieli dawne wojny, stanęli na czele wojsk, odnieśli liczne zwycięstwa i wychowali nowych wodzów, zdatnych do ich zastąpienia – co było znaczniejszą bodaj korzyścią niżli ich triumfy.

Dzięki wskazaniom rady i owemu dobremu dowództwu, wróg, co zamierzał wtargnąć do naszego państwa, nie zdołał się nawet zbliżyć do jego granic, nie umiał obronić swoich własnych i naraził się na utratę swych twierdz i prowincji. Wszelako, mimo tych ciągłych i chwalebnych zwycięstw, Kongo słabło rozrastając się: częste pobory rekruta wyludniły miasta i wsie, a fundusze były wyczerpane.

Oblężenia i bitwy przyniosły wiele ofiar. Oskarżano wielkiego wezyra, że nazbyt szafował krwią żołnierzy i że wdał się w boje nie prowadzące do niczego. Wszystkie rodziny były w żałobie. Nie było takiej, w której by nie oplakiwano ojca, brata lub przyjaciela. Ogromną liczbę zabitych oficerów można było jeno porównać z liczbą wdów ubiegających się o renty. Szturmowały gabinety ministrów, zasypywały samego sułtana suplikami, w których przywoływały cnoty i zasługi zmarłych, wdowią boleść, smutny los dzieci i inne wzruszające racje. Nic słusznieszego niż ich prośby: z czego jednak miano płacić renty, które sięgały milionów?

Ministrowie, wyczerpawszy cały zapas pięknych słówek – a niekiedy zniecierpliwienia i opryskliwości – jęli wreszcie radzić nad sposobami zakończenia tej sprawy. Istniał wszelako arcystszy powód, który zakończyć jej nie pozwalał: w szkatule nie było ani grosza.

Mangogul, znużony próżną dysputą ministrów i lamentami wdów, wpadł na pomysł, którego od dawna szukano.

–Panowie – rzekł swojej radzie – zdaje mi się, że nim przyznamy renty, winniśmy zbadać, czy sprawiedliwie się należą...

– Takie badanie – odpowiedział wielki seneszał – to ogromne przedsięwzięcie, wymagające długotrwałych roztrząsań. A tymczasem jakże się oprzeć niewieścim płaczom i naleganiom, które ciebie pierwszego, panie, tak irytują?

– Nie będzie to tak trudne, jak myślicie, mości seneszału – odparł sułtan – i obiecuję wam, iż

jutro w południe rzecz zostanie zakończona w duchu doskonałej sprawiedliwości. Sprowadźcie tylko te kobiety na moją audiencję o dziewiątej.

Rada skończyła się. Seneszał poszedł do swego gabinetu, myślał długo, za czym sporządził następujące obwieszczenie, które w trzy godziny później wydrukowano, otrąbiono i rozwieszono na wszystkich rozstajach Banzy:

W imieniu sułtana

i Jego Wielmożności wielkiego seneszala

“My, Gęsidziób, wielki seneszał Konga, wezyr pierwszej ławy, paż trenu wielkiej Manimonbandy, zwierzchnik i nadintendent zamiataczy dywanu, ogłaszamy, że jutro, o dziewiątej rano, szlachetny sułtan przyjmie na audiencji wdowy oficerów poległych w jego służbie, ażeby, rozpatrzywszy się w ich prośbach, nakazać, co należy.

Dan w naszym seneszalsiowie, 12 dnia księżyca Regeb, roku 147 200 000 009.”

Wszystkie nieszczęsnice z Konga, a było ich wiele, nie omieszkały przeczytać ogłoszenia lub posłać lokajów, by je przeczytali; nie omieszkały tym bardziej stawić się o oznaczonej porze w przedpokojach sali tronowej...

– Żeby uniknąć zamieszania – powiedział sułtan – każcie wpuszczać tylko po sześć niewiast naraz. Kiedy ich wysłuchamy, wyjdą drugimi drzwiami, które prowadzą na zewnętrzne dzie

dzińce. Wy zaś, panowie, natęźcie uwagę i rozważcie ich prośby.

Co rzekłszy, dał znak pierwszemu odźwiernemu audiencji, który wprowadził sześć dam stojących najbliżej drzwi. Gdy weszły, ubrane w długie żałobne szaty, złożyły głęboki ukłon Jego Wysokości. Mangogul zwrócił się do najmłodszej i najładniejszej. Zwała się Izeka.

– Czy dawno temu – zapytał – straciłaś pani męża?

– Przed trzema miesiącami, panie --S odrzekła Izeka tonąc we łzach. – Był generałem w służbie Waszej Wysokości. Zabito go w ostatniej bitwie i jedyne, co mi po nim pozostało, to sześćcioro dzieci...

– Po nim? odezwał się głos, który, choć pochodził od Izeki, nie brzmiał jednak całkiem jak jej własny^ – Pani chyba wie więcej, niż mówi. Wszystkie, od początku do końca, są dziełem młodego bramina, który przychodził ją pocieszać wtedy, gdy pan był na wojnie.

Łatwo zgadnąć, skąd dobywał się niedyskretny głosik, który to powiedział. Biedna Izeka, zbita z tropu, zbladła, zachwiała się i omdlała.

– Pani cierpi na wapory – rzekł spokojnie Mangogul. – Niechaj ją przeniosą do jednej z komnat seraju i ocucą.

Po czym zwrócił się od razu do Fenicji:

– Zali pani mąż nie był paszą?

– Tak, księżę – odparła Fenicja drżącym głosem.

– A jak go utraciłaś?

–Zmarł, Wasza Wysokość, we własnym łóżku, zmożony trudami ostatniej wyprawy...

– Trudami ostatniej wyprawy! – wtrącił się klejnot Fenicji. Ejże, moja pani, twój mąż powrócił z wojny tryskający zdrowiem. I cieszyłby się nim do dziś, gdyby nie dwóch czy trzech komediantów... Rozumiesz mnie pani przecie, więc zważ, co mówisz.

– Napiszcie – rzekł sułtan – że Fenicja prosi o rentę za zasługi dla państwa i małżonka.

Trzecią spytano o wiek i imię męża, który, jak mówiono, zmarł podczas kampanii na ospę...

– Na ospę! – zakrzyknął klejnot. – To coś nowego! Powiedz raczej pani, że zginął od dwóch ciosów bułata, które mu zadał sandżak Kawali, gdy małżonek nie mógł już znieść pogłosek, iż jego najstarszy syn jest podobny do sandżaka jak dwie krople wody..., a pani wie równie dobrze jak ja, że nigdy nie było bardziej uzasadnionego podobieństwa. I - ' ■

Czwarta miała przemówić, nie czekając, aż Mangogul ją spyta, gdy usłyszano krzyk klejnotu: że podczas dziesięciu lat wojny nie traciła czasu, że dwóch paziów i szelma lokaj zastępowali męża i że przeznaczy pewnie rentę, o którą zabiega, na utrzymanie pewnego aktora z Opery Komicznej.

Piąta podeszła bez lęku i poprosiła śmiałym głosem o nagrodę za zasługi jej zmarłego męża, agi janczarów, który stracił życie pod murami Mata- trasu. Sułtan zwrócił na nią pierścień, ale na próżno. Klejnot milczał. "Trzeba przyznać W pisze afrykański autor, który ją widział – iż była tak

brzydka, że każdy by się zdziwił, gdyby jej klejnot miał cokolwiek do powiedzenia."

Przyszła kolej na szóstą i oto jakie słowa Mangogul usłyszał od jej klejnotu:

– Zaiste, bardzo pani przystoi (mówił o damie, której klejnot tak uparcie milczał) ubiegać się o rentę, skoro wiadomo, że utrzymuje się z karcianej puli, że ma u siebie szulernię, która jej przynosi ponad trzy tysiące cekinów rocznie, że jest to miejsce wesołych kolacyjek, na które łożą gracze i że otrzymała sześćset cekinów od Osmana, aby mnie na jedną z takich kolacyjek zwabić i pozwolić zdrajcy Osmanowi...

– Prośby pań – przerwał sułtan – zostaną należycie rozpatrzone. Możecie się oddalić.

Następnie, zwracając się do doradców, spytał ich, czy nie byłoby rzeczą śmieszną przyznać renty rozlicznym bękartom braminów i im podobnych oraz kobietom, zajętym głównie hańbieniem dzielnych ludzi, którzy szukali chwały w jego służbie z narażeniem życia.

Na to powstał seneszał: dał odpowiedź, wygłosił perorę, podsumował i zakonkludował – równie mętnie jak zazwyczaj. Podczas jego przemowy Izeka ocknęła się z omdlenia. Była rozeźlona tym, co ją spotkało, i choć nie spodziewała się już renty, nie mogłaby ścierpieć, by otrzymała ją inna, co zapewne by nastąpiło: wróciwszy tedy na przedpokoje, szepnęła na ucho kilku przyjaciółkom, że zebrano je tylko po to, aby słuchać do woli paplaniny klejnotów; że sama słyszała na audiencji, jak jeden z nich wygadywał okropieństwa; że za nic

nie powie, który i że trzeba być szaloną, aby się narażać na takie niebezpieczeństwo.

Ta przestroga, przekazywana z ust do ust, rozproszyła tłum oczekujących wdów. I kiedy odzwierny otworzył drzwi po raz wtóry, nie było już żadnej.

– Cóż więc, mości seneszału? – spytał Mangogul, dowiedziawszy się o tej ucieczce i poklepał poczcivca po ramieniu. – Czy będziesz mi wierzył na drugi raz? Przyrzekłem, że cię uwolnię od tych płaczek i otoś wyzwolony. To prawda, że bardzo gorliwie ci nadskakiwały, mimo twych dziewięćdziesięciu lat. Ale jakiegokolwiek byś miał na nie zakusy – bo wiem, jak łatwo cię takowe nachodziły i będziesz mi wdzięczny za zniknięcie tych dam. Sprawilyby ci więcej kłopotu niż przyjemności.

W tym miejscu dowiadujemy się od afrykańskiego autora, że pamięć o owej próbie zachowała się w Kongo i że dlatego właśnie rządzący tym państwem niechętnie przyznają renty. Lecz, jak zobaczymy w następnym rozdziale, nie był to jedyny dobry skutek, jaki wywołał pierścień Kukufy.

••••• ROZDZIAŁ XXVIII .....  
DWUNASTA PRÓBA PIERŚCIENIA  
KWESTIE PRAWNE

Za gwałt karano w Kongo nader surowo. Owóż zdarzył się jeden, bardzo głośny, za panowania Mangogula. Kiedy nasz władca wstąpił na tron, poprzysiągł, wzorem wszystkich swoich poprzedników, że nigdy nie okaże się łaskawy dla winnych tej zbrodni. Lecz jakkolwiek srogie byłyby prawa, nie powstrzymują one tych, którzy widzą wielką korzyść w ich naruszeniu. Kara polegała na odjęciu winnemu tej części ciała, którą zgrzeszył: umierał on zazwyczaj od owej okrutnej operacji, ponieważ wykonawca wyroku brał się do rzeczy mniej delikatnie niż doktor Petit Kersael, młodzieniec szlacheckiego rodu, marniał w lochu od sześciu miesięcy w oczekiwaniu na tę męczarnię. Fatma, młoda i urodziwa niewiasta, była jego Lukrecją i oskarżycielką. Łączyła ich niegdyś największa zażyłość: wszyscy o tym wiedzieli, a że wyrozumiały mąż Fatmy nie zgłaszał żadnych zastrzeżeń, przeto nikomu nie przyszłoby do głowy mieszać się do ich spraw.

Po dwóch latach spokojnego związku Kersael, czy to z niestałości, czy z przesytu, wdał się w miłośćkę z operową tancerką i zaczął zaniedbywać

Z

Fatmę, nie zrywając z nią jednak otwarcie. Chciał odejść w przyzwoity sposób i na razie odwiedzał jeszcze jej dom. Fatma, rozwścieczona tym zanikiem uczuć, przemyśliwała nad zemstą i skorzystała z resztek uwagi niewiernego kochanka, aby go zgubić.

Pewnego dnia, gdy pobłażliwy mąż zostawił ich samych, a Kersael, odpasawszy miecz, starał się uspić podejrzenia Fatmy owymi zapewnieniami, które nic nie kosztują kochankę, ale i nie zmylą zaniepokojonej kobiety – ona, patrząc błędnym wzrokiem i czyniąc kilkoma ruchami dłoni nieład w swoim stroju, jęła wydawać straszne krzyki i wzywać na pomoc męża oraz służbę; a kiedy ci przybiegli, stali się świadkami zniewagi, którą wedle słów Fatmy wyrządził jej Kersael, na dowód czego pokazywała miecz, mówiąc, że “nikczemnik z dziesięć razy wznosił go nad moją głową, aby mnie zmusić do poddania się jego żądzom”.

Młodzieniec, zaskoczony podłością oskarżenia, nie miał siły ani na odpowiedź, ani na ucieczkę. Pochwycono go, wtrącono do więzienia i wydano sprawiedliwości kadiego.

Prawo wymagało, żeby Fatma została zbadana. Uczyniono to i orzeczenie matron okazało się nader niekorzystne dla oskarżonego. Miały one spis tego, po czym się poznaje kobietę zgwałconą i wszystkie wymagane warunki przemawiały przeciw Kersaelowi. Sędziowie przesłuchali go, nastąpiła konfrontacja z Fatmą, zabrali głos świadkowie. Na próżno zapewniał o swej niewinności, przeczył wszystkiemu i dowodził, że związek, który utrzy

mywał ze swoją oskarżycielką od ponad dwóch lat, pozwalał mniemać, iż nie jest to kobieta, którą zamierzałby gwałcić: porzucony miecz, spotkanie w cztery oczy, krzyki Fatmy, konfuzja Kersaela na widok małżonka i służby – wszystkie te okoliczności tworzyły, zdaniem sędziów, wielce obciążające domniemania. Co więcej, Fatma nie tylko nie przyznała się do łask, jakimi obdarzała kochanka, ale twierdziła wręcz, że nie dała mu nawet cienia nadziei i że ślepe oddanie powinności, którego się nigdy nie wyzbyła, popchnęło zapewne Kersaela do wydarcia jej siłą tego, co zdało mu się nieosiągalne drogą zwyczajnych umizgów. Protokół matron był jeszcze jednym strasznym dowodem: wystarczyło rzucić nań okiem i zestawić go z przepisami kodeksu karnego, żeby wyczytać wyrok na nieszczęsnego Kersaela. Nie oczekiwał już wybawienia ani od obrońców, ani od rodziny, zaś sędziowie zapowiedzieli ostateczne rozstrzygnięcie procesu na trzynasty dzień księżycy Regeb. Obwieśczone to nawet ludowi przy dźwiękach trąb, zgodnie ze zwyczajem.

Owo zdarzenie było przedmiotem licznych rozmów i przez długi czas dzieliło opinię świata. Kilka starych świętoszek, które nigdy nie musiały obawiać się gwałtu, głosiło wszem i wobec, "że zbrodnia Kersaela jest potworna, że jeśli nie uczyni się | niej odstraszającego przykładu, to niewinność będzie żyła w twodze, a przyzwoita niewiasta będzie narażona na zniewagę nawet przy ołtarzu". Za czym przytaczały wypadki, gdy jacyś zuchwalcy śmieli porwać się na cnotę kilku szacownych dam,

i szczegóły owych opowieści nie pozostawiały żadnych wątpliwości, iż cnotliwymi damami, o których mówiły, były one same. A wszystkie te uwagi wymieniano w trakcie budujących rozmów, które prowadzili bramini bardziej winni od Kersaela z dewotkami równie cnotliwymi jak Fatma.

Inne było zdanie światowców i fircyków, a nawet kilku światowych kobiet. Twierdzili, że gwałt jest chimerą, albowiem oddanie się nie jest nigdy zwykłą kapitulacją, i jakkolwiek słaba byłaby obrona pozycji, nie sposób zdobyć jej samą siłą. W ślad za wywodami szły przykłady: kobiety znały takowe, fircyki musiały je wymyślać. I w nieskończoność przywoływano imiona niewiast, których nikt naprawdę nie zgwałcił. "Biedny Kersael! – mówiono. – Dlaczego, do czarta, przyszło mu do głowy wiązać się z małą Bimbrelczką (tak zwała się tancerka)? Czemu nie pozostał przy Fatmie? Żyli sobie zgodnie, mąż nie wtrącał się do niczego: toż to było błogosławieństwo losu... Te czarownice ma- trony – dodawano – chyba źle nałożyły okulary i niczego nie widziały. Któż zresztą może tu cokolwiek widzieć wyraźnie? A teraz panowie sędziowie pozbawią go jego radości za to, że wyważył otwarte drzwi. Biedny chłopiec umrze od tego na pewno. I zobaczycie rychło, na co sobie będą pozwalać niezadowolone z mężczyzn kobiety..."

– Jeśli dojdzie do tej egzekucji – powiedział ktoś – zostaję frankmasonem.

Mirzoza, z natury litościwa, zwróciła uwagę Mangogulowi – który żartował sobie z przysłego losu Kersaela – że nawet jeśli prawo przemawiało

przeciw niemu, to zdrowy rozsądek świadczył przeciw Fatmie.

– To zresztą niesłychane – dodała – żeby mądra władza przywiązywała taką wagę do samej litery prawa i żeby zwykłe oświadczenie oskarżycielki wystarczyło, by narazić na niebezpieczeństwo życie obywatela. Fakt gwałtu musi być stwierdzony ponad wszelką wątpliwość i przyznasz, panie, że twój pierścień jest co najmniej równie mocen o tym orzekać, jak twoi sędziowie. Byłoby zaiste rzeczą osobliwą, żeby matrony wiedziały w tej materii więcej niż same klejnoty. Do dzisiaj twój pierścień, księżę, służył niemal wyłącznie do zaspokajania twojej ciekawości. Ale czy geniusz, który ci go podarował, nie przeznaczał go do ważniejszych celów? Gdybyś go użył do odkrycia prawdy i gwoli szczęśliwości twych poddanych, zali sądzisz, iż byłoby to zniewagą dla Kukufy? Spróbuj. Masz w ręku niezawodny sposób, aby uzyskać od Fatmy albo wyznanie zbrodni, albo dowód jej niewinności.

– Masz rację – rzekł Mangogul jgjl i stanie się tak, jak sobie życzysz.

Sułtan oddalił się natychmiast. Nie było czasu do stracenia, albowiem działo się to wieczorem dwunastego dnia księżyca Regeb, a senat miał wydać wyrok trzynastego. Fatma położyła się właśnie. Zastony jej łoża były rozchylone. Świeca rzucała ponure blaski na jej twarz. Wydała się piękna sułtanowi, mimo że gwałtowne wzburzenie zniekształcało jej rysy. Współczucie i nienawiść, ból i żądza zemsty, zuchwałość i wstyd odbijały się w jej

oczach, w miarę jak rodziły się w sercu. Wydawała głębokie westchnienia, lała łzy, ocierała je, znów płakała, trwała przez kilka chwil ze zwieszoną głową i wbitymi w ziemię oczyma, po czym wznosiła naraz wzrok ku niebu i rzucała wściekłe spojrzenia. Cóż robił w tym czasie Mangogul? Mówił do siebie w duchu: "Oto wszelkie objawy rozpaczy. Jej dawna tkliwość dla Kersaela obudziła się z całą mocą. Zapomniała o zniewadze, którą jej zadano i myśli tylko o mękach przeznaczonych dla kochanka." Mówiąc te słowa, zwrócił na Fatmę fatalny pierścień i wówczas jej klejnot zakrzyknął żywo:

– Jeszcze dwanaście godzin i będziemy pomszczeni! Zginie ów zdrajca, niewdzięcznik, a jego krew...

Fatma, przestraszona niezwykłym uczuciem i zaskoczona głuchym głosem klejnotu, zakryła go obiema dłońmi i usiłowała przerwać jego wymowę. Lecz nie pozwoliło na to potężne działanie pierścienia i niesforny klejnocik, przewyciężywszy przeszkody, ciągnął tak:

– Tak, będziemy pomszczeni. Giń, ty, co mnie zdradziłeś, nieszczęsny Kersaelu; ty zaś, Bimbrel-loczko, kobieto, dla której mnie porzucił, pograż się w rozpaczy... Jeszcze dwanaście godzin! Jakże czas będzie mi się dłużył. Nadchodźcie słodkie chwile, w których ujrzę, jak spod noża kata płynie krew wiarołomnego, niewdzięcznego Kersaela... Ach, co mówię, nieszczęsny!... Miałbym patrzeć bez drżenia na utratę rzeczy, którą najbardziej ukochałem? Miałbym patrzeć, jak wznosi się straszliwy nóż... Oddalmy tę okrutną myśl... Jestem mu

nienawistny, to prawda; porzucił mnie dla Bimbreloczki; ale być może kiedyś... Być może? Nie! Miłość sprowadzi go do mnie na pewno. Mała Bimbreloczka to kaprys, który mu przejdzie. Prędzej czy później przyzna, jak krzywdząca była jego niestałość i jak śmieszna jego nowa skłonność. Pociesz się, Fatmo, ujrysz znów swego Kersaela. Tak, ujrysz go. Tylko wstań, szybko, biegnij, pędź, aby odwrócić odeń straszną groźbę, co nad nim zawisała. Czy nie lękasz się, że przybędziesz za późno?... Gdzież jednak biec, gdy się jest takim tchórzem? Zali wzgarda Kersaela nie świadczy o tym, że porzucił mnie na zawsze? Należy do Bimbreloczki – i dla niej miałbym ratować mu życie? Ach, niech raczej zginie po tysiackroć! Jeśli nie może żyć dla mnie, cóż mnie obchodzi, że umrze?... Tak, czuję to, mój gniew jest słuszny. Przewrotny Kersael zasłużył na mą nienawiść. Nie żałuję już niczego. Zrobiłem wszystko, żeby go zatrzymać; zrobię wszystko, żeby go zgubić. Gdybyśmy czekali choćby dzień dłużej, uniknęłyby zemsty. Jego zły los wydał go w moje ręce właśnie w chwili, gdy mi się próbował wymknąć. Wpadł w pułapkę, którą nań zastawiłem. I trzymam go w niej. Schadzka, na którą zdołałem cię zwabić, Kersaelu, miała być ostatnią, którą chciałeś mnie zaszczyścić: ale nieprędko o niej zapomnisz... Och, Fatmo, jak zręcznie wiodłaś go tam, gdzie chciałaś! Jak kunsztowny był nieład twego stroju! Twoje krzyki, rozpacz, łzy, konfuzja, nawet twoje milczenie – wszystko oskarżało Kersaela. Nic już nie może go uchronić od przeznaczenia, które go

czeka. Kersael umarł... Ty płaczesz, nieszczęsna? Kochał inną – po cóż ci żywy?

Ta przemowa napełniła wstrętem Mangogula. Odwrócił pierścień i kiedy Fatma przychodziła do siebie, pomknął z powrotem do sułtanki.

– Cóż więc, panie? – spytała. – Co usłyszałeś? Czy Kersael jest dalej winny, a cnotliwa Fatma...

– Nie każ mi, proszę – przerwał sułtan – powtarzać niegodziwości, które właśnie słyszałem! Jakże trzeba się obawiać zranionej kobiety! Kto by pomyślał, że ciało stworzone przez Grację kryje w sobie niekiedy serce ulepione przez Furie? Lecz nim jutro zajdzie słońce nad moją ziemią, uwolnię ją od potwora groźniejszego od tych, co rodzą się na pustyniach.

Sułtan kazał wezwać zaraz wielkiego seneszala i polecił mu zatrzymać Fatmę, przenieść Kersaela do jednego z pomieszczeń seraju i obwieścić senatowi, że Jego Wysokość zastrzega sobie rozpoznanie tej sprawy. Jego rozkazy zostały wykonane jeszcze tej nocy.

Nazajutrz o świtaniu sułtan, w towarzystwie seneszala i jednego efendi, udał się do komnat Mirzozy i kazał tam przyprowadzić Fatmę. Nieszczęsna rzuciła się do stóp Mangogula, wyznała swoją zbrodnię z wszystkimi jej okolicznościami i błagała Mirzozę, by się za nią wstawiła. W tej chwili wprowadzono Kersaela. Jedyne, czego się spodziewał, to śmierci: a jednak wszedł ze śmiałą miną, jaka bierze się tylko z niewinności. Kilku wesołków orzekło, iż byłby bardziej przerażony, gdyby to, co miał stracić, było warte uwagi. Damy

zaciekawily się tą kwestią. Tymczasem on uklęknął z szacunkiem przed sułtanem. Mangogul dał mu znać, żeby wstał, i wyciągając do niego dłoń, powiedział:

– Jesteś niewinny. Zwracam ci wolność. Złóż dzięki Brahmie za to wybawienie. Aby ci wynagrodzić cierpienia, na które zostałeś narażony, przyznaję ci dwa tysiące cekinów pensji z mojej szkatuły i obiecuję pierwszą wolną komandorię Orderu Krokodyla.

Im więcej łask spadało na Kersaela, tym większych nieszczęść obawiała się Fatma. Wielki seneszał był za karą śmierci, zgodnie z prawem: *si foe- mina ff. de vi C. calumniatrx*. Sułtan skłaniał się ku dożywociu. Mirzoza, uważając pierwszy wyrok za nazbyt surowy, a drugi na zbyt łagodny, skazała klejnot Fatmy na zamknięcie kłódką. Florencki przyrząd został jej nałożony publicznie na szafocie, na którym miała się odbyć egzekucja Kersaela. Stamtąd zaprowadzono ją do więzienia, wraz z matronami, które orzekły były w tej sprawie z taką bystrością.

## ROZDZIAŁ XXIX •• METAFIZYKA MIRZOZY

### DUSZE

Podczas gdy Mangogul wypytywał klejnoty Harii, wdówek oraz Fatmy, Mirzoza przygotowywała swoją lekcję filozofii. I Pewnego wieczoru, gdy Manimonbanda oddawała się modłom, nie zaprosiwszy swego kóleczka ani na wieczerzę, ani do gry, faworyta, prawie pewna odwiedzin sułtana, wzięła dwie czarne spódnice, z których jedną włożyła w zwykły sposób, drugą zaś naciągnęła na ramiona, wsuwając ręce w rozcięcia, po czym wsadziła na głowę perukę seneszala i biret kapelana, i tak przebrana sądziła, że wygląda jak filozof, choć wyglądała jak nietoperz.

W tym stroju chodziła wzdłuż i wszerz po swoich komnatach, niczym profesor królewskiego Kolegium oczekujący słuchaczy. Przybrała nawet mroczną i zamyśloną minę mędrca, który medytuje. Mirzoza nie zachowała jednak długo tej wymuszonej marsowości. Wszedł sułtan z kilkoma dworzanami i złożył uniżony ukłon nowemu filozofowi, którego powaga rozproszyła zaraz powagę audytorium i wnet się zachwiała od wybuchów śmiechu, jakie wzbudziła.

– Pani – powiedział Mangogul – czy nie czerpałaś dość chluby z zalet umysłu i urody, by

nie musieć szukać nowych w przebraniu? I bez niego twoje słowa miałyby całą wagę, jaką pragnęłabyś im nadać.

– Zdaje mi się, panie – odparła Mirzoza – że niezbyt szanujesz tę szatę i że uczeń winien okazywać więcej względów temu, co jest bodaj połową chwały mistrza.

– Widzę – rzekł sułtan – iż przejęłaś już pani ducha i ton twojej nowej profesji. I nie wątpię teraz, że twoja biegłość w przedmiocie będzie odpowiadała godności stroju. Czekam więc niecierpliwie, byś mi tego dowiodła...

– Twojej woli stanie się rychło zadość – powiedziała Mirzoza, siadając pośrodku dużej sofy.

Sułtan i dworzanie usiedli wokół niej, a ona zaczęła tak:

– Czy filozofowie z Monoemugi, którzy czuwali nad edukacją Waszej Wysokości, nie mówili ci nigdy, panie, o naturze duszy?

– Och, bardzo często! – odparł Mangogul. – Lecz wszystkie ich systemy przyniosły mi jeno mętne o niej wyobrażenia. I gdybym nie miał wewnętrznego przekonania, że jest to jakowaś substancja różna od materii, albo bym nie wierzył w jej istnienie, albo bym ją uznał za tożsamą z ciałem. Zali zamierzasz pani rozplątać nam ów galimatias?

– Broń Boże! I wyznam, że nie zaszłam tu dalej niż twoi nauczyciele. Jedyna różnica między nimi a mną polega na tym, że ja zakładam istnienie substancji różnej od materii, zaś oni uznają je za dowiedzione. Lecz ta substancja, jeżeli istnieje,

musi gdzieś mieć swoje siedlisko. Czy nie mówili ci na ten temat różnych nedorzecznosci?

–Nie – rzekł Mangogul – wszyscy przyjmowali dość zgodnie, że dusza znajduje się w głowie i ten pogląd zdał mi się prawdopodobny. To przecież głowa myśli, snuje wyobrażenia, medytuje, osądza, postanawia, rozkazuje, i powszechnie mawia się o człeku, co nie myśli, że ma mały mózdzek albo że stracił głowę.

–Taki więc jest owoc – spytała sułtanka – twoich długich studiów i całej twojej filozofii: założyć istnienie faktu i oprzeć to założenie na ludowych przysłowiach? Co byś powiedział, książę, o twoim pierwszym geografie, gdyby sporządzając mapę państwa Waszej Wysokości, pomylił wschód z zachodem lub północ z południem?

–To błąd nazbyt gruby – odparł Mangogul – i nigdy żaden geograf takiego nie popełnił.

– Możliwe – ciągnęła faworyta – ale w takim razie twoi filozofowie byli bardziej nieudolni niż najbardziej nieudolny geograf. Ich zadaniem nie było utrwalenie na papierze kształtów rozległego państwa ani wykreślenie granic czterech części świata. Chodziło tylko o to, aby wniknęli w samych siebie i ustalili prawdziwe siedlisko duszy. Tymczasem pomylili właśnie wschód z zachodem i południe z północą. Orzekli, że dusza jest w głowie, a przecież większość ludzi umiera, nie mając jej w tym miejscu – albowiem jej pierwotną siedzibą są nogi.

–Nogi! – przerwał sułtan. – Oto najbardziej nedorzeczny pomysł, z jakim się spotkałem.

– Tak, nogi – podjęła Mirzoza – i ów sąd, co zdaje ci się tak szalony, trzeba jeno zgłębić, aby stał się dorzeczny – w odróżnieniu od tych, które ty, panie, przyjmujesz za prawdziwe i które trzeba uznać za fałszywe po ich zgłębieniu. Wasza Wyso? kość zgodził się ze mną przed chwilą, że istnienie duszy opiera się wyłącznie na wewnętrznym tego istnienia świadectwie, jakie sama sobie daje. Wykażę teraz, że wszelkie możliwe dowody, biorące się z naszych odczuć, wskazują, iż miejscem duszy jest to, które wskazałam.

– Czekamy właśnie, iż to wykażesz – powiedział Mangogul.

– Nie domagam się od was wyrozumiałości – ciągnęła – i proszę wszystkich o wyrażanie zastrzeżeń. Powiedziałam tedy, że pierwotną siedzibą duszy są nogi: tu zaczyna się jej istnienie i stąd będzie wędrować po innych częściach ciała. Odwołam się do doświadczenia i tym samym ustanowię być może pierwsze podstawy metafizyki eksperymentalnej.

Wszyscyśmy doświadczyli w dzieciństwie, że uśpiona dusza pozostaje przez całe miesiące w stanie odrętwienia. Oczy są otwarte, ale nic nie widzą, usta nie mówią, uszy nie słyszą. Gdzie indziej bowiem dusza szuka dla się ujścia, gdzie indziej się budzi ze snu; w innych członkach objawia swoje pierwsze czynności. Nogami właśnie dziecko zapowiada swój przyszły kształt. Jego tułów, głowa i ręce są nieruchome w łonie matki, lecz nogi wydłużają się, zginają, dają świadectwo jego istnienia, jego potrzeb może. Cóż stałoby się z głową, tułowem

wiem i rękami w chwili narodzin, gdyby nie pomagały im nogi? Nie wyszłyby nigdy z więzienia, w którym tkwią. Nogi są tu najważniejsze: to one wypychają całe ciało. Taki jest porządek natury. Jeśli jaka inna część korpusu próbuje grać tę pierwszą rolę – jeśli na przykład głowa zajmuje miejsce nóg wówczas wszystko dzieje się na opak i Bóg jeden wie, czym się to często kończy dla matki i dla dziecka.

A kiedy dziecko przyjdzie już na świat, znów nogi ruszają się najczęściej. Trzeba nawet kiełznać te ruchy, i to nie bez trudu – tak są nieposłuszne. Głowa jest bryłą, z którą robi się to, co się chce, natomiast nogi, kiedy czują jarzmo, chcą je strząsnąć i zdają się bronić wolności, którą się im odbiera.

Gdy dziecko może wstawać, nogi czynią tysiące wysiłków, pobudzają wszystko, kierują innymi członkami; zaś ręce słuchają, wspierają się o ściany albo wyciągają do przodu, ażeby zapobiec upadkom i ułatwić nogom wszelkie ruchy.

A ku czemu biegną myśli dziecka i jakie są jego uciechy, kiedy, mocno już stojąc na nogach, czuje wreszcie, że ich ruchy są wprawne? Toż stara się rychło swoje kończyny wypróbować, chodzić tam i sam, biegać, skakać, podrygiwać. Lubimy tę żywość, bo jest ona dla nas znamieniem rozwoju umysłu, i dlatego, widząc dziecko gnuśne i posępne, przewidujemy, że wyrośnie zeń głuptak. Chcecie wpędzić w smutek czteroletnie dziecko? Kaźcie mu siedzieć przez kwadrans albo ogrodźcie czterema krzesłami: zaraz złość i kaprys wezmą je we władanie,

bo też nie tylko nogom odbieracie swobodę – jego duszę trzymacie w niewoli.

Dusza pozostaje w stopach do wieku dwóch lub trzech lat, przenosi się wyżej w wieku lat czterech, by sięgnąć kolan i ud u piętnastolatków. Wtedy podobają się tańce, szermierka, turnieje i inne wyczyny z krzepkością ciała związane. To główna namiętność u młodzieży, to wręcz szaleństwo u niektórych. Czy to nie znaczy, że dusza spoczywa w miejscach, gdzie się najpierwej objawia i gdzie doświadcza najmilszych pobudzeń? I jeśli zmienia ona swą siedzibę między dzieciństwem a wiekiem młodzieńczym, czemuż nie miałaby jej zmieniać przez całe życie?

Mirzoza wygłosiła tę przemowę tak szybko, że się zadyszała. Nim nabrała tchu, Selim", jeden z faworytów sułtana, skorzystał z okazji i powiedział:

– Pani, pozwolę sobie użyć przywileju, który nam przyznałaś, i wyrażę wątpliwość. Twój system jest zmyślny i przedstawiłaś go w sposób równie wdzięczny, jak jasny. Wszelako nie przekonał mnie na tyle, abym go uznał za dowiedziony. Zdaje mi się, iż można by ci odpowiedzieć, że nawet w dzieciństwie to głowa jednak rządzi nogami, z niej biegają fluidy życiowe, które, rozchodząc się poprzez nerwy we wszystkich częściach ciała, wprawiają je w ruch bądź zatrzymują wedle poleceń duszy spoczywającej w szyszynce – tak jak z Najwyższej Porty biegają rozkazy Waszej Wysokości, które poruszają poddanymi.

– Być może – rzekła Mirzoza. – Lecz taka wątpliwość wydaje mi się dość niejasna i odpo

wiem na nią przykładem z doświadczenia. Nie mamy żadnej pewności, że w dzieciństwie głowa myśli. Ty sam, panie, który masz głowę tak tęgą i który uchodziłeś od najwcześniejszej młodości za cud rozumu, zali przypominasz sobie, żeś wtedy myślał? Natomiast mógłbyś stwierdzić, że gdy biegałeś i skakałeś jak mały demon, doprowadzając do rozpaczy piastunki, wówczas twoje nogi rządziły głową.

– To niczego nie dowodzi – powiedział sułtan. – Selim był żywym dzieckiem jak tysiące innych. I dzieci myślą, choć nie zastanawiają się: lecz czas płynie, wspomnienia się zacierają i w końcu zapominają, że myślały.

– Ale czym myślały? – spytała Mirzoza. – Tu przecież tkwi sedno sporu.

– Głową – odparł Selim.

– Ech, wciąż ta głowa, która niczego nie wyjaśnia. Zostawcie wreszcie tę ślepą latarnię: widzicie w niej światło, które ukazuje się tylko temu, co ją niesie. Zawierzcie memu doświadczeniu i przekonajcie się o prawdziwości mojej hipotezy. To, że dusza zaczyna swoją wędrówkę w ciele od nóg, potwierdza fakt, że istnieją mężczyźni i kobiety, u których nigdy nie wspięła się wyżej. Podziwiałeś pan nieraz lekkość i skoki tancerek – Nini i Saligo. Rzeknij mi szczerze: czy sądzisz naprawdę, że dusza tych istot spoczywa w innym miejscu niż w nogach? Czy nie zauważyłeś, patrząc na Volucera i Zelindora, że ich głowa jest posłuszna nogom? Spoglądanie na nogi to ustawiczna pokusa tancerza. Uważne oko śledzi każdy krok, każdy

ruch stopy, i głowa chyli się z szacunkiem ku nogom, tak jak kłaniają się Waszej Wysokości jego niezwyciężeni baszowie.

– Zgadza się z tym spostrzeżeniem – powiedział Selim – wątpię jednak, że jest ono powszechną prawdą.

– Toteż nie uważam wcale – odrzekła Mirzoza – że dusza spoczywa zawsze w nogach; porusza się, wędruje, opuszcza jakąś część ciała, wraca do niej, by znów się od niej oddalić. Twierdzą wszelako, że inne członki są zawsze zależne od tego, w którym ona zamieszkuje. Zmienia się to wedle wieku, temperamentu, warunków i stąd bierze się różnorodność zamiłowań, skłonności, charakterów. Czyż nie podziwiacie, jak płodne jest moje założenie? I czyż mnogość zjawisk, które tłumaczy, nie dowodzi, że jest prawdziwe?

– Pani – rzekł Selim – gdybyś zechciała pokazać, jak się do różnych zjawisk stosuje, mielibyśmy może nieco więcej przekonania niż obecnie.

– Bardzo chętnie – odparła Mirzoza, która zaczynała już odczuwać swą przewagę. – Stanie się zadość waszemu życzeniu; idźcie jeno za tokiem moich myśli. Nie zamierzam sadzić się na mądre argumenta; mówię za głosem uczucia: to nasza niewieścia filozofia, ale wy, mężczyźni, pojmujecie ją niemal równie dobrze jak my. Jest dość prawdopodobne – ciągnęła – że dusza pozostaje w stopach i nogach aż do wieku ośmiu czy dziesięciu lat. Wówczas jednak, a nawet nieco później, opuszcza to miejsce – niesiona swym własnym

ruchem albo zmuszona siłą. Przymus zachodzi wtedy, gdy bakałarz używa odpowiednich instrumentów, aby wypędzić ją z rodzinnych stron i zagnać do mózgu, gdzie zazwyczaj przeobraża się w pamięć, prawie nigdy zaś w rozsądek: to los dzieci w szkole. Podobnie, gdy jaka durna guwernantka, usiłując wykształcić młodą pannę, napycha jej głowę wiedzą, a zaniedbuje serce i obyczaje, dusza szybko wlatuje ku głowie, sadowi się na języku lub w oczach, i uczennica staje się albo nudną papłą, albo zalotnicą. I dalej:

Kobieta zmysłowa to ta, której dusza mieści się w klejnocie i nigdy go nie opuszcza.

Kobieta rozwiązła – ta, która ma duszę już to w klejnocie, już to w oczach.

Kobieta czuła 9 ta, która ma zwykle duszę w sercu, ale niekiedy również w klejnocie.

Kobieta cnodiwa – ta, której dusza mieszka raz w głowie, raz w sercu, lecz nigdy gdzie indziej.

Jeśli dusza zatrzyma się w sercu, wykształci charaktery wrażliwe, współczujące, rzetelne, wspaniałomyślne. Jeśli zaś opuści serce bezpowrotnie i osiedli się w głowie, stworzy ludzi, których nazywamy oschłymi, niewdzięcznymi, podłymi i okrutnymi.

Wreszcie, liczna jest grupa tych, u których dusza odwiedza głowę od czasu do czasu, niczym dom na wsi, gdzie nigdy długo nie przebywa. Należą do owej grupy światowcy i fircyki, kokietki, muzycy, poeci, powieściopisarze, dworacy i damy uznane w świecie za ładne. Przysłuchajcie się ich rozmowom,

a zaraz poznacie dusze wędrujące, pełne wspomnień o różnych stronach, które zamieszkują.

– Jeśli tak jest – powiedział Selim – to natura stworzyła wiele rzeczy niepotrzebnych. Wszelako nasi mędracy utrzymują, że nie stworzyła niczego na próżno.

– Zostawmy mędrców i ich wielkie słowa – r odrzekła Mirzoza – a co się tyczy natury, patrzmy na nią zawsze oczyma doświadczenia. Przekonamy się wówczas, że umieściła duszę w ciele człowieka niczym w wielkim pałacu, gdzie ona nie zawsze zamieszkuje najpiękniejszą komnatę. Głowa i serce to jej główne miejsce przeznaczenia jako ośrodek cnót i siedziba prawdy, ale najczęściej zatrzymuje się gdzieś po drodze i woli jakąś norę, poddasze, nędzną gospodę, gdzie usypia w wiecznym zamroczeniu. Ach, gdybyż mi było dane choć na jeden dzień urządzić świat podług mej fantazji, ucieszyłabym was wielce osobliwym widokiem: w jednej chwili odjęłabym każdej duszy te części jej mieszkania, które są jej zbędne, a wówczas ujrzelibyście każdą osobę zmienioną w to, co pozostało. Tancerze zostaliby pomniejszeni do dwóch stóp, najwyżej do dwóch nóg, śpiewacy – do gardła, większość kobiet – do klejnotu, bohaterzy i zbroje – do zbrojnej ręki, niektórzy uczeni – do czerepu bez mózgu; kartografcy zostałyby tylko dwie dłonie poruszające ustawicznie kartami, łakomczuchowi – dwie żujące ciągle szczęki, kokietce – dwoje oczu; z rozpustnika zostałby jeno instrument jego żądz, zaś z głupców i leniwych nie zostałyby nic.

– Jakkolwiek niewielu kobietom pozostawiłabyś ręce – przerwał sułtan – ci, których byś pomniejszyła do instrumentu ich żądz, mieliby niemałe wzięcie. Byłoby to zabawne polowanie i gdyby wszędzie uganiało się za tymi ptaszkami tak ochoczo jak w Kongo, wkrótce ich gatunek by wyginął.

– Ale cóż byś zostawiła, pani – spytał faworytę Selim – osobom tkliwym i wrażliwym, stałym i wiernym kochankom?

– Serce – odpowiedziała Mirzoza. – I dobrze wiem – dodała patrząc czule na Mangogula – z którym moje pragnęłoby się złączyć.

Sułtan nie mógł się oprzeć tym słowom: porwał się z fotela i podbiegł do ukochanej. Dworzanie zniknęli, a katedra nowego filozofa stała się tea- trum rozkoszy. Mangogul dowiódł faworycie po kilkakroć, że jest nie mniej oczarowany jej uczuciem niż mową, co spowodowało, iż filozoficzny strój znalazł się w nieładzie. Mirzoza zwróciła pokojowym czarne spódnice, odesłała seneszałowi jego ogromną perukę, a biret kapelanowi wraz z zapewnieniem, że znajdzie się na liście najbliższych nominacji. Do czegoż by nie doszedł ów księżulo, gdyby był pięknoduchem! Mógłby się spodziewać przynajmniej miejsca w Akademii; na nieszczęście jednak znał tylko dwieście lub trzysta słów, z których nigdy nie zdołał złożyć najmniejszego rymu.

## CIĄG DALSZY POPRZEDNIEJ ROZMOWY

Mangogul wysłuchał lekcji filozofii Mirzo-

Milady nie przerywając jej wątku. A że często zwykł się być sprzeciwiać, zdumiało ją to niepomiarowo.

– Czyżby sułtan godził się z moim systemem od początku do końca? – pytała się w duchu. – Nie, to mało prawdopodobne. Czy uznał go za tak zły, że nawet nie raczył się sprzeczać? Możliwe. Moje pomysły nie są może najlepsze w porównaniu z tym, co wymyślono do tej pory, ale sądzę, że nie są też najgorsze, albowiem wymyślano do tej pory znacznie gorsze rzeczy.

Ażeby pozbyć się tej wątpliwości, faworyta postanowiła wypytać Mangogula.

– Cóż więc, księżę? – rzekła. – Co myślisz o moim systemie?

– Jest wspaniały – odparł sułtan. – Ma tylko jedną wadę.

- Jaka?

– Taką, że jest fałszywy w całej rozciągłości – powiedział Mangogul. – Idąc za twoją myślą, należałoby przyjąć, że każdy ma duszę. Owóż, rozkoszy mego serca, nierozsądne to przypuszczenie. "Mam duszę. A oto inne stworzenie, które zachowuje się jak człowiek."

wuje się zwykle tak, jakby jej nie miało; a może nawet jej nie ma, choć czasem zachowuje się tak, jakby ją miało. Lecz ma taki sam nos jak ja, a ja czuję, że mam duszę i myślę: przeto owo stworzenie też ma duszę i myśli." Od tysiąca lat rozumuje się w ten sposób i od tysiąca lat jest to rozumowanie niedorzeczne.

–Przyznaję – rzekła faworyta – iż nie zawsze jest oczywiste, że inni ludzie myślą.

–Dodaj – powiedział Mangogul – że w większości przypadków jest oczywiste, że nie myślą.

–Wydaje mi się jednak – odparła Mirzoza – że byłoby rzeczą zbyt pochopną wnosić z tego, iż nigdy nie myśleli i że nigdy myśleć nie będą. Nie jest się na zawsze głupcem tylko z tego powodu, że bywało się nim niekiedy. I Wasza Wysokość...

Tu, bojąc się urazić sułtana, Mirzoza nagle zamilkła.

–Dokończ, pani, rozumiem: czyż Moja Wysokość nigdy nie zachowywała się jak głupiec? Czy to chciałaś powiedzieć? Odpowiem, że istotnie tak bywało i że nawet wybaczałem tym, którzy mnie wówczas za głupca uważali. Bo domyślasz się przecie, iż tak właśnie sądzili, choć nie śmieli mi tego powiedzieć...

–Ach, książę! – zakrzyknęła faworyta. – Jeśliby ludzie nie widzieli duszy u największego monarchy świata, u kogóż mieliby jej szukać?

–Skończmy z komplementami – powiedział sułtan. – Odkładam na chwilę berło i koronę. Przestałem być sułtanem, żeby stać się filozofem, mogę tedy słuchać prawdy i mówić prawdę. Do

wiodłem ci, jak sędzę, tego pierwszego, słuchając cię uważnie. Dałaś mi, pani, do zrozumienia, nie obrażając mnie tym zresztą i z całą swobodą, że zachowywałem się czasem jak stworzenie bezro- zumne. Pozwól teraz, że i ja spełnię do końca obowiązki wynikające z mojej nowej roli. Otóż daleki jestem od tego, by zgodzić się z tobą, iż wszyscy, którzy mają nogi, ręce, oczy i uszy jak ja, mają również duszę jak ja. Wprost przeciwnie: jestem przekonany i nigdy od tego przekonania nie odstąpię, że trzy czwarte mężczyzn i wszystkie kobiety są bezmyślnymi kukłami.

– Jest wielce prawdopodobne – odparła faworyta – że to, co mówisz, panie, zawiera tyleż prawdy co grzeczności.

– O! – zawołał sułtan. – Wielmożna pani się obraża! Po cóż więc, do czarta, zabierasz się do filozofowania, jeśli nie chcesz, żeby ci mówiono prawdę? Czy w nauce należy szukać grzeczności? Dałem ci pole do popisu, daj mi i ty wolną rękę, jeśli łaska. Mówiłem więc, że jesteście wszystkie jak zwierzęta.

– Tak, książę – rzekła Mirzoza. – Pozostaje ci tylko to udowodnić.

– To rzecz najłatwiejsza – powiedział sułtan.

Za czym jał wygłaszać wszystkie grubiaństwa, które tylekroć mówiono i powtarzano, obrzucał nimi bez nijakiego dowcipu ni lekkości płeć, która posiada te dwa przymioty w najwyższym stopniu. Nigdy jeszcze cierpliwość Mirzozy nie była wystawiona na tak ciężką próbę. Gdybym wam przytoczył wszystkie wywody Mangogula, zanudziłbym

was na śmierć. Ów władca, któremu nie brakowało przecież zdrowego rozsądku, plótł tego dnia niewyobrażalne androny. Zaraz się o tym przekonacie.

– Tam do kata – mówił – jest dla mnie tak oczywiste, iż kobieta jest tylko zwierzęciem, że gotów przyjąć taki zakład: zwrócę pierścień Kukufy na moją klacz i sprawię, że przemówi jak kobieta.

– Jest to bez wątpienia – odrzekła Mirzoza – najmocniejszy argument, jaki kiedykolwiek został, bądź zostanie, przeciw nam użyty.

Co powiedziawszy, zaczęła się śmiać jak szalona. Mangogul, rozgniewany jej nie kończącym się śmiechem, wyszedł nagle, postanowiwszy przeprowadzić dziwaczne doświadczenie, które mu przyszło do głowy.

TRZYNASTA PRÓBA PIERŚCIENIA  
KLACZ SUŁTANA

Jestem mistrzem w kreśleniu portretów. Oszczędziłem czytelnikowi opisu sułtańskiej faworyty, lecz nigdy bym sobie nie darował, gdybym mu nie przedstawił portretu sułtańskiej klaczy. Była średniej wysokości i całkiem zgrabnej postury; można jej było zarzucić tylko to, że nazbyt pochylała łeb. Maść miała jasną, oczy niebieskie, drobne kopytka, szczupłe nogi, mocne pęciny, gibki zad. Długo uczono ją tańczyć i umiała się kłaniać niczym prezes parlamentu podczas czerwonej mszy.<sup>28</sup> Było to więc dość ładne, a zwłaszcza łagodne stworzenie. Dosiadało się jej bez trudności, lecz trzeba było być doskonałym jeźdźcem, żeby nie zostać nagle zrzuconym z siodła. Należała niegdyś do senatora Aarona, ale oto pewnego pięknego wieczoru narowisty konik ponosi, zrzuca imć pana sędziego na ziemię i ucieka pędem do stajni sułtana wraz z siodłem, munsztukiem, uprzężą, derką i drogocennym czaprakiem, które tak dobrze do niego pasowały, że nie uznano za potrzebne odsyłać ich właścicielowi. Mangogul zszedł do stajni w towarzystwie swego pierwszego sekretarza Zygzaga.

– Słuchaj waść uważnie – rzekł mu – i pisz...

W tejże chwili obrócił pierścień na klaczkę, która zaczęła podskakiwać, wiercić się, wierzgać, kręcić się w kółko, podczas gdy spod jej ogona dochodziło rżenie...

– O czym dumasz? – powiedział sułtan do sekretarza. ^-.Piszże...

– Panie – odparł Zygzag – czekam, aż Wasza Wysokość zacznie dyktować...

– Tym razem podyktuje ci moja klacz. Pisz.

Zygzag, który uznał, że taki rozkaz nazbyt go upokarza, pozwolił sobie oświadczyć sułtanowi, iż nadal będzie się czuł zaszczycony jako jego sekretarz, ale niejako sekretarz jego klaczy...

– Pisz, mówię – powtórzył sułtan.

– Nie mogę, panie. Nie znam pisowni tego rodzaju słów...

– Mimo to pisz! – rozkazał raz jeszcze sułtan.

– Jestem zrozpaczony – powiedział Zygzag – że nie mogę być posłusznym Waszej Wysokości, ale...

– Jesteś durniem – przerwał Mangogul, rozdrażniony tak niestosowną odmową. – Opuść mój pałac i nigdy do niego nie wracaj.

Biedny Zygzag zniknął więc, przekonawszy się z doświadczenia, że uczciwy i odważny człek nie powinien przyjmować służb u większości możnych tego świata, albo też, przyjmując je, musi zostawić swoją godność pod drzwiami. Wezwano jego zastępcę. Był to szczerzy Prowansalczyk, poczciwy, a zwłaszcza niewymagający. Przybiegł zaraz, prze-

czuwając, że wzywa go nie tylko obowiązek, ale i głos fortuny, złożył uniżony ukłon sułtanowi, jeszcze uniżeńszy jego klaczy i spisał wszystko, co kobyła zechciała podyktować.

Jeśli czytelnicy pozwolą, odeślę tych, którzy są ciekawi tej przemowy, do archiwów Konga. Sułtan kazał natychmiast rozdać jej kopie wszystkim swoim tłumaczom i profesorom cudzoziemskich języków, starożytnych i współczesnych. Jeden z nich oświadczył, że jest to scena z jakiejś dawnej tragedii greckiej, bardzo ponoć wzruszająca. Drugi zdołał odkryć, wysilając mózg, że to ważny fragment tyczący teologii Egipcjan. Inny utrzymywał, że jest to początek mowy pogrzebowej Hannibala w języku kartagińskim. Inny jeszcze zapewniał, że rzecz jest napisana po chińsku i że chodzi o nader żarliwą modlitwę do Konfucjusza.

Sułtan wysłuchiwał ze zniecierpliwieniem mądrych domysłów swoich uczonych i wówczas przypomniał sobie o podróżach Guliwera. Zdało mu się oczywiste, że człowiek, który tak długo jak ów Anglik przebywał na wyspie, gdzie rządzą konie, mające swoje prawa, władców, bogów, kapłanów, religię, świątynie i ołtarze, i który tak doskonale poznał ich zwyczaje, musi również doskonale rozumieć ich język. Istotnie Guliwer przeczytał i przetłumaczył to, co powiedziała klacz, mimo błędów w pisowni, od których się roiło.<sup>89</sup> Jest to zresztą jedyne dobre tłumaczenie w całym Kongo. Mangogul dowiedział się tedy, ku swemu zadowoleniu i ku chwale jego systemu, że jest to krótka historia

amorów pewnego starego baszy z ową klaczką, którą przed nim pokrywały niezliczone zastępy osłów. Ta osobliwa opowieść rychło przestała być tajemnicą: oprócz sułtana znali ją wszyscy na dworze, w całej Banzie, a wreszcie w całym państwie.

ROZDZIAŁ XXXII  
NAJLEPSZY CHYBA W TEJ KSIĄŻCE I NAJRZADZIEJ CZYTANY  
SEN MANGOGULA,  
CZYLI PODRÓŻ DO KRAINY HIPOTEZ

rzekł Mangogul, ziewając i trąc oczy. – Boli mnie głowa. Niech mi już nikt nie mówi o filozofii. Takie rozmowy są szkodliwe dla zdrowia. Położyłem się wczoraj z głową pełną urojeń i zamiast zasnąć od razu, mój mózg wymyślił więcej, niż mózgi moich ministrów wymyślają przez rok. Śmiejesz się, pani; ale żeby się zemścić za źle przespaną noc, którą zawdzięczam twoim roztrząsaniom, zmuszę cię do wysłuchania mego snu od początku do końca.

Już ogarniała mnie senność, a moja imaginacja budziła się do życia, kiedy ujrzałem naraz przy sobie osobliwe zwierzę. Miało głowę orła, łapy gryfona, korpus konia i ogon lwa. Mimo że kręciło się i podskakiwało, przytrzymałem je i, chwyciwszy za grzywę, wskoczyłem mu lekko na grzbiet. W tejże chwili ów stwór rozpostarł długie skrzydła, które wyrastały mu z boków, i uczułem, że unoszę się w powietrze z niesłychaną prędkością.

Lecieliśmy bardzo długo, aż wreszcie ujrzałem gdzieś w przestworzach budowlę, zawieszoną w próżni jakby mocą czarów. Była rozległa. Nie mogę powiedzieć, czy miała słabe fundamenty, ponieważ

nie spoczywała na niczym. Jej kolumny, grube ledwie na pół stopy, wznosiły się niebotycznie i gubiły gdzieś w górze, podtrzymując sklepienia, które można było dostrzec jedynie dzięki symetrycznym otworom, przez które przenikało światło.

Mój wierzchołek zatrzymał się u wejścia do tej budowli. Wahałem się zrazu, czy zejść z niego, albowiem mniej mi się zdawało hazardowym fruwać na hipogryfie, niżli znaleźć się pod owym portykiem. Wszelako, zachęcony widokiem wielu ludzi, którzy się tam znajdowali, oraz spokojem, jaki panował na ich twarzach, zsiadam w końcu, podchodzę, rzucam się w tłum i przyglądam się tym, z których się składał.

Byli to starcy o ciałach wiotkich lub obrzękłych, lecz pozbawionych najwyraźniej siły i wigoru. Niemal wszyscy byli ułomni. Jeden miał za małą głowę, drugi za krótkie ramiona. Ten miał krzywy tułów, tamten koślawe nogi. Większość z nich nie miała stóp i chodziła o kulach. Przewracał ich byle podmuch i leżeli tak, aż jakiemu przechodniowi przyszła ochota ich podnieść. Mimo tych ułomności mogli się podobać na pierwszy rzut oka. W ich obliczu było coś pociągającego i śmiałego. Prawie wszyscy byli nadzy, jako że jedynym ich odzieniem był łachman okrywający ledwo setną część ciała.

Przedzieram się dalej przez tłum i docieram do podium, któremu za baldachim służyła wielka pajęczyna. Ta konstrukcja była tak niepewna jak cała budowla. Zdało mi się, że owa trybuna zachowuje równowagę, spoczywając jakby na czub

ku igły, zląkłem się więc niepomrotnie, by coś się nie stało osobie, która na niej stała. Był to starzec z długą brodą, wychudły jak jego słuchacze, lecz jeszcze większą od nich świecący golizną. Zanurzał w pucharze z eterycznym płynem słomkę, którą podnosił do ust i wydmuchiwał bańki ku zgromadzonym wokół niego spektatorom, ci zaś starali się je pochwycić i unieść w przestworza.

“– Gdzie ja jestem? – pytałem sam siebie. – Co to znaczy: ów wydmuchiwacz baniek i te zgrzybiałe dzieci, które się nimi bawią? Kto mi to wyjaśni?...” Uderzyły mnie znów strzępy sukna, w które byli ubrani, i zauważyłem, że im były większe, tym mniej ich właściciele interesowali się bańkami. To spostrzeżenie sprawiło, że podszedłem do człeka, który był najmniej obnażony.

Nosił wprawdzie na ramionach łachmany, lecz tak kunsztownie ułożone, że nie było widać szwów. Przechadzał się pośród tłumu, nie zwracając prawie uwagi na to, co się wokół niego dzieje. Spodobały mi się jego ujmująca powierzchowność, uśmiech, szlachetna postura, łagodne wejrzenie, więc zagadnąłem go bez wstępów:

– Kim jesteś, panie? I gdzie ja jestem? Kim są ci wszyscy ludzie?

– Nazywam się Platon – odpowiedział. – Znajdujesz się w krainie hipotez, a ci ludzie to systematycy.

– Lecz jakim zrzędzeniem losu – spytałem – boski Platon znalazł się tutaj? I cóż robi pośród tych szaleńców?...

– Werbuję uczniów. Z dala od tego gmachu

mam małe sanktuarium, dokąd prowadzę tych, którzy wyleczyli się z systemów.

– I czegoż ich nauczasz?

– Jak poznać człowieka, jak ćwiczyć cnotę, jak podziwiać piękno.

– To piękne zajęcie. Ale co oznaczają owe łachmany, które czynią was podobnymi raczej żebrakom niż filozofom?

– Czy musisz zadawać tak bolesne pytania? – odparł wzdychając. – Czy wiesz, jakie wspomnienie we mnie budzisz? Ta świątynia była niegdyś świątynią filozofii. Niestety! Jak to miejsce się zmieniło! Trybuna Sokratesa była właśnie tutaj...

– Jakże! – przerwałem. – Sokrates też wydmuchiwał bańki ze słomki?...

–Ależ nie – rzekł Platon – nie za to przecież bogowie dali mu imię największego mędrca wśród ludzi. Całe życie poświęcił formowaniu umysłów i serc. Ale sekret tej wiedzy został pogrzebany wraz z nim. Sokrates umarł i minął złoty wiek filozofii. Łachmany, które ci systematycy noszą ze czcią, to strzępy jego odzienia. Zaledwie zamknął oczy, a już ci, co ubiegali się o tytuł filozofa, rzucili się na jego szatę i rozdarli na kawałki.

– Rozumiem – powiedziałem – i te strzępy stały się szyldem dla nich i dla ich długotrwałej potomności...

– Kto je połączy? – ciągnął Platon. – Kto nam przywróci szatę Sokratesa?

Gdy zadawał owo wzniosłe pytanie, dostrzegłem w dali dziecięcą postać idącą ku nam wolnym, lecz pewnym krokiem. Miała małą główkę, drobne

ciało, wątłe ręce i krótkie nóżki. Ale w miarę jak się zbliżała, wszystkie jej członki wydłużały się i krzepły. I kiedy tak powiększała się z każdą chwilą, poczęła mi się jawić pod różnymi postaciami: ujrzałem, jak kieruje ku niebu długi teleskop, bada za pomocą wahadła spadanie ciał, mierzy za pomocą rurki z rtęcią ciężar powietrza, bierze do ręki pryzmat, by rozszczepić światło.<sup>30</sup> Teraz był to już kolos: jego głowa sięgała firmamentu, stopy ginęły w otchłani, ramiona mogły objąć obydwie bieguny. W prawej dłoni dzierżył pochodnię, której blask rozchodził się daleko w przestworzach, roz- świadał głębiny wód i przenikał do wnętrza ziemi.

– Co to za gigant zbliża się ku nam? jji! spytałem Platona.

– To Doświadczenie we własnej osobie.

Ledwie mi dał tę krótką odpowiedź, gdy ujrzałem, jak Doświadczenie podchodzi do budowli i wówczas kolumny portyku hipotez zachwiały się, sklepienia jęły się giąć, a bruk zapadał się nam pod nogami.

– Uciekajmy, uciekajmy – rzekł mi Platon. – Ten budynek przetrwa jeszcze najwyżej chwilkę.

Co rzekłszy, umyka; poszedłem w jego ślady. Kolos uderza w portyk, wszystko się wali ze strasznym hukiem, a ja się budzę.

– Ach, książę! – zawołała Mirzoza. – Umiesz śnić jak mało kto. Byłabym kontenta, gdybyś spędził spokojną noc. Ale teraz, gdy już znam twój sen, byłabym zmartwiona, gdyby ci się nie przyśnił.

– Pani – powiedział Mangogul – znam lepsze sposoby spędzania nocy niż poświęcanie jej na ów sen, co ci się tak podoba. Gdybym mógł wówczas podróżować gdzie chcę, nie spodziewając się znaleźć ciebie w krainie hipotez, wedle wszelkiego prawdopodobieństwa skierowałbym swoje kroki gdzie indziej. Nie miałbym teraz bólu głowy, który mnie męczy, lub przynajmniej miałbym możliwość wynagrodzić go sobie.

– Księżę – odrzekła Mirzoza – miejmy nadzieję, że to nic poważnego i że jedna lub dwie próby twego pierścienia całkiem cię wyleczą.

– Zobaczymy – powiedział Mangogul.

Ich rozmowa trwała jeszcze przez jakiś czas. Sułtan rozstał się z Mirzozą dopiero o jedenastej, by zająć się tym, co przeczytamy w następnym rozdziale.

## CZTERNASTA PRÓBA PIERŚCIENIA

### KLEJNOT NIEMOWA

Pośród wszystkich kobiet, które błyszczały na sułtańskim dworze, żadna nie miała więcej wdzięku i dowcipu niż Aglaja, żona wielkiego podczaszego Jego Wysokości. Uczestniczyła we wszystkich rozrywkach Mangogula, który lubił jej polot i subtelność. Była również ozdobą przyjęć u wielmożów z jego dworu, jakby nie można sobie było wyobrazić uciech i zabawy tam, gdzie brakuje Aglai. Wszędzie ją zapraszano i wszędzie ją można było spotkać: na balach, w teatrze, na ucztach i intymnych wieczerniach, na polowaniach i przy karcianym stoliku. Zdawało się, że dzięki zamiłowaniu do rozrywek rozmnażała się wedle życzenia tych, co szukali jej towarzystwa. Nie muszę więc mówić, że nie było podówczas niewiasty częściej niż ona zapraszanej i bardziej niż ona się udzielającej.

Aglaja była zawsze otoczona tłumem wielbicieli i utarło się powszechne mniemanie, że nie zawsze dawała im kosza. Czy brało się to z nieuwagi, czy z prostoty charakteru, jej zwykłe uprzejmości wyglądały często jak szczególne względy i ci, co usiłowali zyskać jej łaskę, dopatrywali się czasem uczucia w spojrzeniach, które wyrażały jeno przychylność.

Obce jej były złośliwość i obmowa: jeśli otwierała usta, to po to, żeby mówić rzeczy pochlebne, a czyniła to z takim przejęciem i żywością, iż niekiedy jej pochwały rodziły podejrzenie, że potwierdza już jakiś swój wybór. Wszystko to oznacza, że ów świat, którego Aglaja była ozdobą i radością, nie był jej godny.

Można by sądzić, iż kobieta, która grzeszyła chyba tylko nadmiarem życzliwości, nie powinna mieć wrogów. Miała ich jednak, i to nieubłaganych. Dewotki Banzy uznały, że zachowuje się zbyt swobodnie, że ma coś rozwiązłego w wyglądzie; dostrzegły w jej postępowaniu szaleństwo epoki goniącej za uciechami; wreszcie doszły do wniosku, że jej obyczaje są co najmniej dwuznaczne i życzliwie to podszeptały wszystkim wokół.

Damy z dworu nie potraktowały jej lepiej. Rozprawiały o jej rzekomych związkach, przypisywały kochanków, zaszczyty ją nawet udziałem w kilku głośnych awanturkach, twierdziły, że w czymś się przyczyniła do innych. Wiedziano o szczegółach, powoływano się na świadków.

–No cóż – szeptano sobie na ucho – zdy- bano ją sam na sam z Melraimem w jednym | zagajników wielkiego parku. Co prawda Aglai nie brakuje dowcipu, ale Melraim ma go zbyt wiele, by tracić czas na wystuchiwanie jej o dziesiątej wieczorem w parku...

– Mylicie się – rzekł jakiś fircyk. – Ze sto razy przechadzałem się z nią o zmierzchu i zupełnie dobrze się bawiłem. Ale, ale, czy wiadomo wam, że Zulemar jest stale obecny przy jej toalecie?...

– Wiemy o tym, oczywiście, jak również o tym, że Aglaja robi toaletę wtedy, gdy jej mąż pełni służbę u sułtana...

– Biedny Celebi – podjęła inna dama – jego żona wystawia go naprawdę na pośmiewisko, strojąc się w egretę i kolczyki, które jej podarował basza Ismael...

– Czy to prawda, pani?

– Najczystsza prawda: dowiedziałam się tego od niej samej. Ale, w imię Brahmy, niech nikt prócz nas się o tym nie dowie. Aglaja jest moją przyjaciółką i byłabym niepokieszona, gdyby...

– Niestety! – zakrzyknęła z bólem trzecia. – Ta biedna istota gubi się sama całkiem lekkomyślnie. To wielka szkoda. Ale też mieć dwadzieścia miłostek naraz, to chyba przesada.

Fircyki również jej nie oszczędzali. Jeden opowiadał o polowaniu, podczas którego on i Aglaja zabłądzili w lesie. Drugi wzbraniał się wyznać, przez szacunek dla płci, jaki był dalszy ciąg nader żywej rozmowy, którą nawiązał z nią w przebraniu na balu. Ów wychwalał jej bystrość i wdzięk, pokazując na koniec jej portret, który – jak twierdził – otrzymał z pierwszej ręki. “Ten portret – zauważył inny – jest wierniejszy od tego, który podarowała Jenakiemu.”

Te plotki doszły do uszu małżonka. Celebi kochał żonę, lecz bez ostentacji, tak że nikt go o to nie podejrzewał. Nie uwierzył zrazu pierwszym doniesieniom, lecz zdwojono wysiłki i to z tylu stron, że uznał w końcu, iż jego przyjaciele widzą lepiej niż on. Im więcej dawał był swobody Aglai,

tym większe zaczynał żywić podejrzenie, iż jej nadużyła. Zazdrość wkradła się do jego duszy. Zaczął pilnować żony. Aglaja zносиła tę zmianę w traktowaniu jej ze zniecierpliwieniem, tym bardziej że czuła się niewinna. Jej porywczoność oraz rady dobrych przyjaciółek sprawiły, że uczyniła kilka nierozważnych kroków, które zwróciły przeciw niej wszystkie pozory i o mało nie kosztowały jej życia. Gwałtowny Celebi roztrząsał przez jakiś czas różne formy zemsty – myślał o mieczu, truciznie, sznurze – aż wreszcie postanowił zadać mękę najpowolniejszą i najbardziej okrutną: odosobnienie w jego posiadłościach. Jest to prawdziwa śmierć dla kobiety z dworu. Od razu wydano rozkazy i pewnego wieczoru Aglaja dowiaduje się o swym losie. Nikogo nie wzruszają jej łzy, nikt już nie słucha jej racji i oto zostaje zesłana do starego zamku, osiemdziesiąt mil od Banzy, gdzie ma za jedyne towarzystwo dwie służebne i czterech czarnych eunuchów strzegących jej nieustannie.

Zaledwie wyjechała, stała się dla wszystkich niewinna. Dworacy zapomnieli o jej przygodach, damy wybaczyły jej dowcip i powaby i wszyscy jęli się nad nią użalać. Mangogul dowiedział się z ust samego Celebiego o powodach, dla których uciekł się do tak strasznej kary wobec żony i był zgoła jedynym, który to pochwalał.

Już prawie pół roku nieszczęsna Aglaja męczyła się na wygnaniu, gdy wybuchł skandal z Kersae-lem. Mirzoza życzyła sobie jej niewinności, ale nie śmiała w nią wierzyć. Wszelako rzekła pewnego dnia do sułtana:

– Czy twój pierścień, panie, który właśnie uratował życie Kersaelowi, nie mógłby położyć kresu wygnaniu Aglai? Lecz co ja mówię... Trzeba by przecież spytać jej klejnotu, a biedaczka usycha z nudów aż osiemdziesiąt mil stąd...

– Zali bardzo cię, pani, obchodzi jej los? – zapytał Mangogul.

– Tak, książę, zwłaszcza jeżeli jest niewinna – odparła Mirzoza.

– Dowiesz się czegoś w tej materii, nim minie godzina – powiedział sułtan. – Czyżbyś zapomniała o właściwościach mego pierścienia?

Wyrzekłszy te słowa, przeszedł z komnaty do ogrodów, przekręcił pierścień na palcu i w niecały kwadrans znalazł się w parku zamczyska, w którym zamieszkiwała Aglaja.

Znalazł ją tam samotną i pogrążoną w bóleści. Wspierała głowę na dłoni, wymawiała czule imię małżonka i zraszała łzami murawę, na której spoczywała. Mangogul zbliżył się do niej, obracając pierścień, i wówczas klejnot Aglai rzekł smutno: "Kocham Ciebiego." Sułtan czekał na dalszy ciąg, ale ten nie nastąpił, więc pomyślał, że to wina pierścienia: potarł go kilkakrotnie o swój kapelusz, zanim znów go zwrócił na Aglaję. Daremnie się trudził. Klejnot powtórzył: "Kocham Ciebiego" i zamilkł.

– Zaiste – rzekł do siebie sułtan – klejnot to wielce dyskretny. Spróbujmy jeszcze raz i przyciśnijmy go mocniej.

Co mówiąc, usiłował obdarzyć pierścień największą siłą i znów obrócił go zniechęca na Aglaję.

Lecz jej klejnot pozostawał niemy. Wciąż trwał w milczeniu, które przerywał tylko po to, by powtarzać żałośnie: "Kocham Celebiego i nigdy nikogo innego nie kochałem."

Mangogul zaprzestał prób i w piętnaście minut później powrócił do Mirzozy.

– Cóż to, panie – rzekła – już jesteś z powrotem? No więc, czego się dowiedziałeś? Czy przynosisz coś nowego w przedmiocie, który nas zajmuje?

– Nic nie przynoszę – odpowiedział sułtan.

– Jak to? Nic?

–Zupełnie nic. Nigdy nie spotkałem tak małomównego klejnotu i jedyne, co mogłem od niego usłyszeć, to te słowa: "Kocham Celebiego i nigdy nikogo innego nie kochałem."

– Ach, książę! -r- rzekła żywo Mirzoza. – Cóż mi mówisz? Jaka pomyslna wieść! Nareszcie więc znalazłeś cnotliwą kobietę. Zali dopuścisz, aby dalej była nieszczęśliwa?

–Nie – odparł Mangogul – wróci z wygnania; nie obawiasz się jednak, że ze szkodą dla swej cnoty? Mówisz, że Aglaja jest cnotliwa. Ale zważ, rozkoszy mego serca, czego ode mnie wymagasz: mam ją sprowadzić znów na dwór, iżby dalej nią była. Spełnię wszakże twoje życzenie.

Sułtan zavezwał natychmiast Celebiego i oświadczył mu, że należycie rozważywszy pogłoski, które krążyły na temat Aglai, uznał je za kłamliwe i oszczercze, i że rozkazuje, by sprowadził ją na dwór. Celebi usłuchał i przywiódł żonę przed oblicze Mangogula! Chciała się rzucić do nóg Jego Wysokości, lecz sułtan powstrzymał ją, mówiąc:

– Pani, podziękuj Mirzozie. Jej przyjaźń do ciebie skłoniła mnie do szukania prawdy co do postępów, które ci zarzucano. Bądź dalej ozdobą mego dworu, ale pamiętaj, że ładnej kobiecie nieostrożność przynosi czasem taką samą szkodę jak miłości.

Już nazajutrz Aglaja pokazała się u Manimon- bandy, która przyjęła ją z uśmiechem. Fircyki jęli ją obiegać i komplementować, damy rzuciły się, by ją uściskać, wieszować jej, za czym znów nikt nie zostawił na niej suchej nitki.

## CZY MANGOGUL MIAŁ RACJI?

S dkad Mangogul otrzymał od Kukufy i fatalny podarunek, śmieszności i przywary płci pięknej stały się wiecznym tematem jego żartów: mógł mówić o tym bez końca, co często raziło faworytę. Zaś owo niezadowolenie prowadziło u Mirzozy – jak u wielu innych kobiet – do dwóch przykrych skutków: wprawiało ją w bardzo zły humor i siało zgryźli- wość w jej słowach. Biada wówczas tym, którzy się do niej zbliżali! Nie darowała nikomu, nawet samemu sułtanowi.

[0] Panie – rzekła mu pewnego dnia, właśnie w jednej z tym niemiłych chwil – ty, który tyle wiesz, nie znasz pewnie nowiny dnia...

– Jakaż to nowina? – spytał Mangogul.

– Mówi się, że każdego ranka uczysz się na pamięć trzech stron z Brantôme'a lub z d'Ouvil- le'a: nie ma tylko pewności, którego z tych dwóch głębokich pisarzy wolisz.

– Pomyłono się, pani odparł Mangogul. Jeśli już, to Crebillona, ponieważ...

– Och, nie wypieraj się tej lektury – przerwała faworyta. – Złośliwości, które się o nas kobietach dzisiaj wygaduje, są tak mdłe, że warto odgrzać

kilka starych. U tego Brantóme'a można znaleźć naprawdę ciekawe rzeczy. A gdybyś dodał do jego opowiadań trzy lub cztery rozdziały z Bayle'a, zyskałbyś, panie, od razu sam tyle konceptu, ile mają markiz D'... i kawaler de Mouhy<sup>32</sup> razem wzięci. Nadałoby to twoim słowom zdumiewającą różnorodność. A kiedy byś już obmówił kobiety we wszelkiej materii, zacząłbyś obmawiać bogów; od bogów zaś znów wróciłbyś do kobiet. Zaiste brakuje ci tylko małego florilegium bezbożności, abys stał się całkiem zabawny.

–Masz rację, pani – odpowiedział Mangogul. – Postaram się w takowe zaopatrzyć. Jeśli ktoś nie chce być wystrychniętym na dudka zarówno na tym świecie, jak na tamtym, powinien strzec się jak może potęgi bogów, szlachetności mężczyzn i mądrości kobiet.

–Bo owa mądrość, twoim zdaniem, jest wielce podejrzana? – spytała Mirzoza.

–Bardziej niż ci się wydaje, pani – rzekł Mangogul.

–Księżę – podjęła Mirzoza – setki razy mówiłeś mi o swoich ministrach jak o najuczciwszych ludziach w Kongo. Tyle razy musiałam wysłuchiwać pochwał dotyczących twego senesza, gubernatorów twoich prowincji, twoich sekretarzy, twego skarbnika, wszystkich twoich dostojników, że jestem w stanie powtórzyć ci je słowo w słowo. Dziwne, że jedynie przedmiot twoich uczuć nie zasługuje na dobre mniemanie, które powziąłeś o tych, co mają zaszczyt należeć do twego otoczenia.

–A któż ci powiedział, że tak jest? –I spytał suł

tan. – Zważ, pani, że słowa, które wygłaszam o kobietach, prawdziwe lub fałszywe, w niczym cię nie dotyczą, chyba że pragniesz przedstawiać sobą całą twoją pleć...

– Nie radziłbym tego pani – wtrącił Selim, obecny przy rozmowie. – Straciłabyś, pani, na tym niepomernie.

– Nie chcę wysłuchiwać kosztem bliźnich – odrzekła Mirzoza – komplementów, które są kierowane pod moim adresem. Jeśli kto chce mnie chwalić, niech to czyni bez szkody dla innych. Przeważnie dworne słówka, które się nam prawi, są jak owe wystawne zabawy, które baszowie Waszej Wysokości przygotowują na twoją cześć; wszyscy za nie płacą.

– Zostawmy to – powiedział Mangogul. – Ale mówiąc szczerze: czy nie jesteś przekonana, że cnota niewiast w Kongo jest jeno chimera? Spójrz, rozkoszy mego serca, na czym dziś polega wychowanie, jaki przykład dają córkom matki, jak wmawia się ładnej kobiecie przesąd, że trzeba zamknąć się w domu, dbać o gospodarstwo i zadowalać się mężem: to znaczy prowadzić ponury żywot, usychać z nudów i pogrzebać się za życia. A przy tym my, mężczyźni, jesteśmy tak zuchwali, zaś młoda osóbka bez doświadczenia jest tak rada, gdy się staje przedmiotem zuchwałości. Powiedziałem, iż kobiety rozsądne spotyka się rzadko, bardzo rzadko. Nie tylko nie zmieniłem zdania, ale dodam, że dziwię się, iż jest ich aż tyle. Spytaj pani Selima, co o tym myśli.

– Książę – rzekła Mirzoza – Selim zbyt wiele zawdzięcza naszej płci, aby ją niecznie obmawiać.

– Pani – powiedział Selim. – Jego Wysokości nie było dane spotkać kobiet, które by mu się oparły, toteż musi mieć o wszystkich takie mniemanie. Ty zaś, będąc tak łaskawą, by sądzić o innych według siebie, nie możesz mieć innych przekonań niż te, których bronisz. Wyznam jednak, iż jestem skłonny sądzić, że istnieją kobiety rozważne, które poznały z doświadczenia korzyści płynące z cnoty i które, zastanowiwszy się należycie, pojęły dotkliwe skutki występku – kobiety urodzone pod szczęśliwą gwiazdą, właściwie wychowane, te, które nauczyły się rozumieć swoją powinność, lubią ją i nigdy od niej nie odstępują.

–Ażeby nie tracić czasu na wywody – dodała faworyta || weźcie przykład Aglai. Uroczą, powabną, bystrą: czyż nie jest zarazem wzorem cnoty? Nie możesz, książę, w to wątpić i cała Banza dowiedziała się o tym z twoich ust. Owóż jeśli istnieje jedna cnotliwa kobieta, może ich istnieć tysiąc.

– Och, co do możliwości – rzekł Mangogul – nie będę się spierał.

– Lecz jeżeli przyznajesz, że mogą istnieć, skąd bierzesz pewność, że nie istnieją?

– Z tego tylko, co mówią ich klejnoty – odpowiedział sułtan. – Zgadza się wszakże, iż to świadectwo nie przekonuje tak mocno jak twoje argumenta. Niech się zamienię w kreta, jeśli ich nie wzięłaś od jakiegoś bramina. Wezwij kapelana Manimonbandy, a powie ci niechybnie, że do

wiodłaś istnienia cnotliwych kobiet mniej więcej tak, jak się dowodzi istnienia Brahmy w bramino- logii. Czy przypadkiem nie pobierałaś nauk w tej znakomitej szkole, zanim się znalazłaś w seraju?

– Dość niewczesnych żartów – rzekła Mirzoza. – Nie opieram się tylko na możliwości, ale na fakcie, na doświadczeniu.

– Tak – odparł Mangogul – na fakcie zniekształconym, na odosobnionym doświadczeniu, za mną zaś przemawia wielka ilość prób, które dobrze znasz. Nie chcę jednak przeciwstawiać ci się dalej, abyś nie popadła w jeszcze gorszy humor.

– Jakie szczęście – powiedziała Mirzoza rozżalonym tonem – że po dwóch godzinach znudziło ci się mnie dręczyć.

– Jeśli dopuściłem się tej winy, postaram się ją naprawić. Porzucam teraz, pani, wszystkie moje przewagi w dyspucie, i jeżeli dalsze próby, które mam zamiar podjąć, sprawią, że spotkam jedną niewiastę naprawdę i stale cnotliwą...

– Cóż zrobisz, panie? – spytała żywo Mirzoza.

– Ogłoszę wszem i wobec, jeśli ci się tak podoba, że przekonuje mnie bez reszty twoje rozumowanie dowodzące istnienia cnotliwych. Wesprę twą logikę całą moją władzą i podaruję ci mój pałac w Amarze z saską porcelaną, która się w nim znajduje, nie wyłączając emaliowanej małpki i innych drogocennych błyskotek, które otrzymałem ze zbiorów pani de Verue.

– Książę – powiedziała Mirzoza – zadowolę się porcelaną, pałacem i małpką.

– Zgoda – odparł Mangogul. – Niechaj Selim

będzie arbitrem. Potrzebuję tylko trochę czasu, żeby wypytać klejnot Aglai. Albowiem rzecz musi nieco potrwać, aby odniosły skutek podniety dworu i zazdrość męża.

Mirzoza dała miesiąc sułtanowi: było to o połowę więcej niż żądał; za czym rozstali się, obydwój spodziewając się wygranej. Zapewne cała Ban za czyniłaby zakłady za i przeciw, gdyby rozgłoszono obietnicę sułtana. Lecz Selim zachował sekret, a Mangogul postanowił nie zdradzać się przed nikim z owym zamiarem, co miał mu przynieść sukces lub porażkę. Opuszczał już pokoje faworyty, gdy krzyknęła mu jeszcze z głębi swego saloniku:

- Obiecujesz też małpkę, panie?
- Obiecuję też małpkę – odrzekł Mangogul oddalając się.

Udawał się bowiem niezwłocznie do pałacyku pewnego senatora. Podążymy tam za nim.

## PIĘTNASTA PRÓBA PIERŚCIENIA

ALFANA

Sułtan wiedział, że wszyscy młodzi szlachcice z jego dworu mieli ustronne pałacyki przeznaczone do schadzek; teraz dowiadywał się również, że i kilku senatorów korzystało z podobnych wygód. Zdziwiło go to. "Cóż oni tam robią? – pytał się w duchu (albowiem w tym tomie zachowa ów zwyczaj mówienia do siebie, który posiadał był w pierwszym). – Zdaje mi się, iż człowiek, któremu powierzam pieczę nad spokojem, szczęściem, wolnością i życiem mego ludu, nie powinien mieć takiego domku. Ale może domek senatora to co innego niż domek lekkoducha... Czyżby sędzia, przed którym roztrząsa się najbardziej żywotne interesy moich poddanych i w którego rękach spoczywa fatalna urna rozstrzygająca o losach wdów, zapomniał o godności swego stanu, o wadze urzędu? Czyżby mógł się zastanawiać nad tym, jakie frywolne sceny mają zdobić ściany tego siedliska sekretnej rozpusty, gdy Cochin<sup>35</sup> na darmo się wysiła, by doszły jego uszu skargi sierot?... To niemożliwe... Przekonajmy się jednak."

Mówiąc to rusza do Alcanto. Tu właśnie się znajduje pałacyk senatora Hippomanesa. Wchodzi,

przemierza komnaty, ogląda meble. Zdaje mu się, że wszystko tu tchnie zalotnym zbytkiem. Wcale nie lepiej był urządzony domek Agezila, najbardziej wykwintnego i największego miłośnika spośród dworzan. Chciał już wyjść, nie wiedząc co myśleć – bo obejrzawszy wszystkie te łoża, alkowy z lustrami, miękkie otomany, salonik pełen oparów pachnideł, miał przed sobą jeno nieme świadectwo tego, czego się chciał dowiedzieć – kiedy ujrzał na sofie otyłą niewieścią postać, pogrążoną w głębokim śnie. Sułtan obrócił na nią pierścień i wydobyl z jej klejnotu następującą opowiastkę: Alfana jest córką sędziego. Gdyby jej matka krócej żyła, nie byłbym tutaj. Ogromne dobra rodziny ulotniły się w rękach tej starej wariatki. Nic prawie nie zostawiła czworgu dzieciom – trzem chłopcom i pannie, do której należą. Cóż, dobrze mi tak za moje grzechy! Ileż zniewag wycierpiałem i ile będę musiał jeszcze wycierpieć! Powiadano w świecie, że zważywszy na majątek i urodę mojej pani, odpowiednim dla niej miejscem byłby klasztor. Ja jednak czułem, że mnie wcale by nie odpowiadał: przedłożyłem sztukę wojskową nad stan zakonny i odbyłem swoje pierwsze kampanie pod komendą emira Azalafa. Udoskonaliłem rzemiosło pod wielkim Nangazakim, lecz uciążliwości wojennej służby odsunęły mnie od niego. Porzuciłem tedy szlachecki miecz dla urzędniczej togi i oto teraz będę należał do tego durnia senatorzyny, co nadyma się cały, mówiąc o swych talentach, o swojej mądrości, urodzie, karocy i przodkach. Czekam na niego od dwóch godzin. Przyjdzie pewnie,

skoro jego intendent uprzedził mnie, iż jego pan ma nałóg spóźniania się w takich razach.

Klejnot Alfany był w tym miejscu swego opowiadania, kiedy przybył Hippomanes. Na odgłos zajeżdżającej karocy, a także od pieśczoł ulubionej charciczki, Alfana zbudziła się.

– Jesteś więc wreszcie, moja królowo – rzekł do niej mały senator. – Bardzo trudno się z tobą spotkać. Powiedz no: jak znajdujesz mój domek? Prawda, że nie gorszy od innych?

Alfana, udając naiwną, nieśmiałą i zropaczoną (jak byśmy nigdy nie widzieli takich domków – mówił jej klejnot – i jak bym nigdy nie uczestniczył w jej przygodach), zakrzyknęła boleśnie:

– Panie prezydencie, czynię dla pana rzecz zaiste zdumiewającą! Musi mną chyba kierować straszliwa namiętność, skoro jestem ślepa na niebezpieczeństwa, na które się narażam. Albowiem co by powiedziano, gdyby sądzono, że się tu znajduję?

– Ma pani rację – powiedział Hippomanes. – Twój krok jest dwuznaczny. Możesz jednak liczyć na moją dyskrecję.

– Liczę również – odparła Alfana – na pański rozsądek.

– Och, jeśli o to chodzi – rzekł Hippomanes drwiąco – będę bardzo rozsądny. Jakże nie być świętym niczym anioł, gdy się jest w ustronnym domku? Słowo daję, masz pani doprawdy cudowną pierś...

– Niechże pan przestanie. Już nie dotrzymuje pan przyrzeczenia.

– Owszem, dotrzymuję. Ale nie odpowiedziałas mi: jak ci się widzą te meble?  
Potem zwrócił się do charcicy:

– Chodź tu, Faworciu, daj łapę, moja mała. Dobra dziewczynka z tej Faworci...  
Czy pani może chce przejść się po ogrodzie? Pójdźmy na mój taras: jest prześliczny.  
Pałacyki kilku sąsiadów stoją nieco wyżej, ale może nikt pani nie rozpozna...

jH Panie prezydencie, nie jestem ciekawa ogrodu – powiedziała Alfana urażonym tonem. – Myślę, że lepiej zostać tutaj.

– Jak pani sobie życzy – odrzekł Hippomanes. – Jeśli jesteś zmęczona, oto łożo. Nawet gdybyś nie miała ochoty, radzę je wypróbować. Asteria i młoda Fenicja, które znają się na tym, ręczyły mi, że jest doskonałe.

Mówiąc Alfanie te grubiańskie słowa, Hippomanes ściągał z niej suknię, odpinał spódniczki, rozsznurowywał gorset i uwalniał dwie wielkie stopy z dwóch małych pantofelków.

Kiedy Alfana była już prawie naga, spostrzegła, że Hippomanes ją rozbiera...

– Co pan robi? – zawołała zdumiona. – Gości senatorze, opamiętaj się pan, bo się rozgniewam na dobre.

– Ach, moja królowo! – odpowiedział Hippomanes. – Gniewać się na kogoś, kto cię kocha jak ja, byłoby niedorzecznością, do której nie jesteś zdolna. Czy wolno mi prosić, abys raczyła przenieść się na to łożo?

– Na to łożo? – zdziwiła się Alfana. – Ach,

panie prezydencie, nadużywasz pan mego uczucia. Miałabym pójść do łożka, ja – do łożka!

– Ależ nie, moja królowo – odrzekł jej Hippomanes. – Źle mnie zrozumiałaś: dlaczego miałabyś pójść sama? Trzeba jednak, byś pozwoliła się doń doprowadzić, albowiem rozumiesz chyba, że mając taką posturę, nie możesz liczyć na to, że cię na nie zaniosę...

Objął ją jednak w pól i czynił jakoweś wysiłki, mówiąc:

– Co za ciężar! Moje dziecko, jeśli nie pomożesz, nigdy się stąd nie ruszymy.

Alfana uznała, że Hippomanes mówi prawdę, pomogła mu, dając się podnieść, za czym jęła iść ku owemu łożu, co ją tak przeraziło, po trosze sama, po trosze wisząc na ramieniu senatora, któremu mamrotała do ucha, mizdrząc się nieustannie:

– Zaprawdę, jestem chyba szalona, przychodząc tutaj. Liczyłam na pański rozsądek, pan zaś zachowuje się z tak niesłychanym tupetem...

– Ależ nie – odrzekł senator – wcale nie. Widzi przecież pani, że wszystko, co robię, jest przyzwoite, bardzo przyzwoite.

Mniemam, iż prawili sobie jeszcze wiele innych grzeczności, ale sułtan nie uznał za stosowne słuchać, więcej ich rozmowy, toteż będą stracone dla przyszłych pokoleń. A szkoda!

..... ROZDZIAŁ XXXVI .  
SZESNASTA PRÓBA PIERŚCIENIA  
FIRCYKI

Dwa razy w tygodniu zbierało się kółeczko u faworyty. W przeddzień wyznaczała kobiety, które chciała w nim widzieć, sułtan zaś ogłaszał listę mężczyzn. Wszyscy przychodzili w pysznych strojach. Rozmowa była bądź ogólna, bądź dzieliła się pośród uczestników. Kiedy historia miłosna dworu nie dostarczała już zabawnych przygód, wymyślano je lub odważano się opowiadać liche bajki, zowiąc je dalszym ciągiem baśni Tysiąca i jednej nocy. Mężczyźni mieli tu przywilej wygłaszania wszelkich dziwactw, jakie im przychodziły do głowy, kobiety zaś – przywilej zajmowania się robótką, podczas gdy oni mówili. Sułtan i faworyta siedzieli pośród swych poddanych: nie przeszkadzali swoją obecnością mówić o rzeczach, które mogą bawić i rzadko się zdarzało, by się tam nudzono. Mangogul już dawno zrozumiał, że przyjemności należy szukać u podnóża tronu, toteż nikt nigdy nie zstępował z niego z większą chęcią niż on, nikt tak jak on nie umiał w odpowiedniej chwili porzucać majestatu.

Podczas gdy przemierzał pałacyk senatora Hip- pomanesa, Mirzoza oczekiwała go w różowym

salonie wraz z młodą Zaidą, wesołą Leokrydą, żywą Seriką, Aminą i Benzairą – żonami dwóch emirów, nabożną Orfizą i wielką seneszałową Vetulą, doczesną opiekunką wszystkich braminów. Zjawił się niebawem w towarzystwie hrabiego Chrząszczyka i kawalera Fadaesa. Za nimi postępowali stary rozpustnik Alcyfenor i jego młody uczeń Marmolin, a w dwie minuty później przybyli basza Grisgrif, aga Fortimbek oraz emir Chowaj- -pazur. Były to pierwsze fircyki dworu. Mangogul zebrał ich umyślnie. Nasłuchawszy się opowieści o ich miłosnych wyczynach, postanowił przekonać się o wszystkim sam i rozwiać wszelkie wątpliwości. 'i^A więc, panowie – rzekł do nich – wy, którzy wiecie wszystko, co się dzieje w królestwie miłostek, powiedzcie nam, co w nim nowego? Na co się jeszcze odważyły mówiące klejnoty?

Panie – odparł Alcyfenor -|»toż to zgiełk, który z każdą chwilą staje się głośniejszy: jeśli tak dalej pójdzie, wkrótce nikt nikogo nie będzie mógł słyszeć. Ale, ale: nic pociesniejszego od niedyskrecji klejnotu Zobejdy. Wyliczył jej mężowi wszystkie przygody.

– To nadzwyczajne – podjął Marmolin. §| Mówi się o pięciu agaci, dwudziestu dowódcach, prawie całej kompanii janczarów i dwunastu braminach; mówi się też, że i o mnie wspomniał, ale to kiepski żart.

– Najzabawniejsze – powiedział Grisgrif – że przerażony mąż uciekł, zatykając sobie uszy.

– Toż to potworne! – rzekła Mirzoza.

- Tak, pani – przerwał Fortimbek – potworne, straszne, ohydne!
- Jeśli pan chcesz wiedzieć – powiedziała faworyta – na jeszcze gorsze słowa zasługuje hańbienie kobiety za pomocą plotki.
- Ależ pani, tak właśnie było – odezwał się Chowaj-pazur. – Marmolin nie dodał ani słowa od siebie.
- To niezbity fakt – rzekł Grisgrif.
- No właśnie – dorzucił Chrząszczyk – krąży już epigram temu poświęcony, a epigramów nie układa się bez powodu. Co do Marmolina, to dlaczegoż by nie miał być ofiarą gadaniny klejnotów? Klejnocik Cynarii też postanowił przemówić i wymienić mnie wraz z ludźmi, którzy wcale mi nie odpowiadają. Jakże jednak temu zapobiec?
- Lepiej już się tym pocieszać – zauważył Chowaj-pazur.
- Ma pan rację – powiedział Chrząszczyk i naraz zaśpiewał: Moje szczęście było tak wielkie, że z trudem w to uwierzyć mogę.
- Hrabio – rzekł Mangogul – byłeś więc blisko z Cynarią?
- Wasza Wysokość – powiedział Chowaj-pazur – któż w to wątpi? Pokazywał się z nią wszędzie przez ponad miesiąc. Kpiono sobie z nich w piosenkach. I trwałoby to do dziś, gdyby wreszcie nie spostrzegł, że nie jest ładna i że ma za szerokie usta.
- Zgoda – odparł Chrząszczyk – ale mogłem sobie powetować ów mankament pewnym dość niezwykłym powabem.

- Czy dużo czasu upłynęło od tej przygody? – spytała pobożna Orfiza.
- Pani – odpowiedział Chrząszczyk – nie pamiętam już, kiedy to było. Trzeba by spojrzeć na tablice chronologiczne moich podbojów: wówczas zobaczylibyśmy, o jaki dzień i jaką chwilę chodzi. Ale to gruba księga, nad którą chichoczą moi lokaje w przedpokoju.
- Chwileczkę – rzekł Alcyfenor – przypominam sobie, że to było w rok po tym, jak Grisgrif poróżnił się z wielmożną seneszalową. Ona zaś, mając tak wyborną pamięć, nie omieszka wyjawić nam...
- Ze nie ma nic bardziej fałszywego niż pańska data – odparła z powagą seneszalowa. – Wiadomo przecież, iż nigdy nie gustowałam w wartogłowach.
- A jednak, pani – podjął Alcyfenor – nie przekonasz nas, że Marmolin zachowywał się powściągliwie, kiedy wprowadzano go do twych komnat ukrytymi schodami, za każdym razem, gdy Jego Wysokość wzywał wielmożnego seneszała na radę.
- Nie ma dla mnie większej niedorzeczności – dodał Chowaj-pazur – niż wchodzić ukradkiem do niewieściej alkowy, wiedząc, że się to nie zda na nic: bo przecież uważano te odwiedziny za to, czym były naprawdę, skoro pani cieszyła się już wtedy ową reputacją cnotliwej, którą to sławę tak dobrze umiała utrzymać do dziś.
- Ależ to się działo ze sto lat temu – powiedział Fadaes. – Mniej więcej wtedy, gdy Zulika

wystrychnęła na dudka emira, który był na jej służbach, aby zająć się Grisgrifem, którego porzuciła w pół roku później. Teraz przyszła kolej na Fortim- beka. Nie zazdroścę memu przyjacielowi nowej zdobyczy, bo widzę, jak ona wygląda; nie mogę wyjść z podziwu, mówię całkiem szczerze.

A jednak – odezwała się faworyta – Zulika jest kobietą godną miłości: ma dowcip, smak i coś pociągającego w obliczu, coś, co ja przedkładam nad wdzięki.

–Przyznaję – odparł Fadaes. – Ale jest chuda, pozbawiona biustu, a uda ma tak suche, że aż litość bierze.

–Pewnie wiesz pan coś o tym |j| - zauważyła sułtanka.

–Ach, pani, takie rzeczy łatwo odgadnąć – powiedział Chrząszczyk. fi- Mało miałem do czynienia z Zuliką, a jednak wiem o tym tyle, co Fadaes.

– Chętnie w to wierzę ii rzekła faworyta.

- Ale skoro o tym mowa ||| powiedział emir – zali nie można by spytać Grisgrifa, czy na długo przywłaszczył sobie Zyrfile? To się nazywa piękna kobieta; ma wspaniałe ciało.

B Ech, któż mógłby w to wątpić? – odparł Marmolin.

– Jakże szczęśliwym człkiem jest emir! – dorzucił swoje Fadaes.

– A ja wam mówię – przerwał emir – iż Fadaes to galant najlepiej spośród dworzan zaopatrzony: wiem, że związany jest teraz z żoną wezyra, z dwiema najładniejszymi aktorkami z Opery oraz

Z czarującą szwaczką, którą umieścił w ustronnym domku.

– Oddałbym – rzekł Fadaes – i żonę wezyra, i obydwie aktorki, i szwaczkę za jedno spojrzenie pewnej damy, z którą emir jest w dość dobrej komitywie, a która się nawet nie domyśla, że wszyscy o tym wiedzą.

Co rzekłszy, podszedł do Leokrydy ze słowami:

– Pani, doprawdy w tych kolorach jest ci nadzwyczaj do twarzy...

– Jakiś czas temu – powiedział Marmolin – Chrząszczyk wahał się ustawicznie między Melissą a Fatimą: obydwie są czarujące. Jednego dnia wolał jasnowłosą Melisę, nazajutrz brunetkę Fatimę.

– Oto człek w wielkim kłopotcie – podjął Fadaes. – Czemu nie wziął obydwu?

– Tak właśnie zrobił – rzekł Alcyfenor.

Nasze fircyki były, jak widać, na dobrej drodze, by ciągnąć rozmowę w tym tonie, ale oto oznajmiono Zobejdę, Cynarię, Zulikę, Melisę, Fatimę i Zyrfile. Ta nieoczekiwana wizyta zbiła ich nieco z tropu, ale rychło przyszli do siebie i jęli obmawiać inne kobiety, które tylko dlatego dotąd oszczędzali, że nie zdążyli jeszcze ostrzyć sobie na nich zębów.

Mirzoza, zniecierpliwiona ich słowami, powiedziała:

– Panowie, znając wasze zalety, a zwłaszcza uczciwość, którą każdy musi w was zauważyć, nie można wątpić w to, żeście istotnie mieli wszystkie przygody, którymi się chwalicie. Wyznam wam jednak, że bardzo bym chciała wysłuchać zdania

klejnotów tych dam, i że dziękowałabym Brahmie z całego serca, gdyby zechciał oddać sprawiedliwość prawdzie, używając tego właśnie głosu.

– To znaczy – odezwał się Chrząszczyk – że chciałabyś pani usłyszeć dwa razy to samo? Cóż, powtórzmy ci to zatem.

Tymczasem Mangogul obracał swoim pierścieniem wedle starszeństwa. Zaczął od seneszałowej, której klejnot kaszlnął trzy razy i przemówił słabym, drżącym głosem:

– Początki miłosnych rozkoszy zawdzięczam wielkiemu seneszałowi. Ale zaledwie w pół roku po tym, jak stałem się jego własnością, pewien młody bramin dał do zrozumienia mojej pani, że nie uchybia się mężowi, kiedy się myśli o braminie.

Zasmakowałem w jego moralności i uznałem ze spokojnym sumieniem, że mogę przyjąć kolejno służby senatora, potem radcy stanu, potem kapłana, potem ze dwóch urzędników, potem muzyka...

– A Marmolin? – spytał Fadaes.

– Marmolin? Nie znam takiego. Chyba że to ten młody wartogłów, którego moja pani kazała wypędzić z pałacu za jakoweś zuchwałości, co mi już uleciały z pamięci...

Na to zabrał głos klejnot Cynarii:

– Pytacie o Alcyfenora, Fadaesa, Grisgrifa? Miałem dość rozległe stosunki w świecie, ale po raz pierwszy słyszę te imiona. Lecz dowiem się o nich czegoś od emira Amaleka, Finansisty Tene- lora lub wezyra Abdirama, którzy znają wszystkich i należą do moich przyjaciół.

–Klejnot Cynarii jest nader dyskretny – powiedział Chrząszczyk. Ij Pomija milczeniem Zara- fisa, Ahirama, starego Trebistera, młodego Mah- muda, który przecież na zapomnienie nie zasługuje, i nie przyznaje się do .żadnego bramina, choć już od dziesięciu czy dwunastu lat odwiedza monastery.

–Przyjąłem w swoim życiu kilka odwiedzin – ozwał się klejnocik Melissy – ale nigdy Grisgrifa i Foitimbeka, a już tym bardziej Chrząszczyka.

–Klejnocie, serce moje, mylisz się – odpowiedział Grisgrif. – Możesz się wypierać Forum- beka i mnie, ile tylko zechcesz, lecz co się tyczy Chrząszczyka, to jest on z tobą w nieco lepszej komitywie, niż twierdzisz. Wspomniał mi coś o tym, a jest to najszczęsny chłopiec w całym Kongo, więcej wart niż wszyscy, których poznałeś, i zdamy jeszcze do tego, by dać klejnotowi należyta reputację.

–Jemu natomiast, jak i jego druhowi Fadae- sowi, nie brak reputacji oszczercy – rzekł łkając klejnot Fatimy. – Cóż uczyniłem tym potworom, żeby mnie tak zniesławiali? Syn cesarza Abisynii przybył na dwór Ergebzeda; spodobałem mu się, jął się ubiegać o moje względy. Ale z pewnością poniósłby porażkę, a ja pozostałbym wierny mężowi, który był mi tak drogi, gdyby zdrajca Chowaj- -pazur i jego podły wspólnik Fadaes nie przekupili służebnych, aby wprowadzić młodego księcia do mych łazienek.

Klejnoty Zyrfili i Zuliki, które chciały bronić tej samej sprawy, przemówiły jednocześnie, ale tak

szybko, że z największym trudem można było odróżnić, które słowa do kogo należą:

– Ja miałbym obdarzać łaskami! – krzyczał jeden.

– Kogo? Chowaj-pazura! – mówił drugi.

–Zgoda, jeśli chodzi o Zinzima..., Cerbelona..., Benengela..., Agariasa..., francuskiego niewolnika Rikelego..., młodego Etiopczyka Tezakę..., ale ów mdły Chowaj-pazur..., bezczelny Fadaes..., klnę się na Brahme..., przysięgam na wielkie bóstwo i geniusza Kukufę..., nie znam ich wcale..., nie miałem z nimi nigdy nic wspólnego...

Zyrfila i Zulika mówiłyby dalej, gdyby Mangogul nie odwrócił pierścienia. Kiedy cudowne oczko przestało na nie działać, ich klejnoty nagle zamilkły i głęboka cisza nastąpiła po ich paplaninie. Wówczas sułtan wstał i rzucając na naszych młodych trzpiotów wściekle spojrzenia, rzekł:

–Wielka jest wasza czelność, skoro oczerniacie kobiety, które nigdy nie zaszczyliły was swymi względami i ledwie was znają z imienia. Skąd u was takie zuchwalstwo, aby łąać w mojej przytomności? Drżycie, nieszczęśni!

Mówiąc te słowa, sięgnął do swego bułata, lecz przerażone kobiety wydały okrzyk, który go powstrzymał.

– Chciałem już – powiedział – zadać wam śmierć, na którą żeście zasłużyli. Ale teraz niech o waszym losie rozstrzygną niewiasty, które znieważyliście. Od nich, nikczemne robaki, zależeć będzie, czy zostanieie rozdeptani, czy też pozwoli się wam żyć. Mówcie, panie, co rozkazujecie?

- Niech zostaną przy życiu – rzekła Mirzoza – i niech milczą, jeśli to możliwe.  
– Możecie żyć – powiedział sułtan. – Te damy zezwalają na to; ale jeśli kiedy zapomnicie, pod jakim warunkiem, to, przysięgam na duszę mego ojca...

Mangogul nie dokończył przysięgi. Przerwał mu jeden z szambelanów, aby go uprzedzić, że aktorzy są gotowi. Sułtan zaś przyjął był jako zasadę, by nigdy nie opóźniać przedstawień.

– Niech zaczynają – rozkazał i zaraz podał ramię faworycie, której towarzyszył do samej łoży.

..... ROZDZIAŁ XXXVII  
SIEDEMNASTA PRÓBA PIERŚCIENIA  
TEATR

Gdy publiczność Konga gustowała w sztuce dobrej recytacji, obeszlaby się pewnie bez wielu ówczesnych komediantów. Wśród trzydziestu osób tworzących trupę, można było wskazać ledwie jednego wielkiego aktora i ze dwie znośne aktorki. Talent pisarzy musiał się naginać do miernoty większości wykonawców, a przeto nie można było się spodziewać powodzenia sztuki, jeśli jej bohaterowie nie zostali sformowani podług wad aktorów. Oto co w moich czasach nazywało się teatralnym doświadczeniem. Niegdyś aktorzy byli dla sztuk, potem zaczęto pisać sztuki dla aktorów. Owszem, gdyście przedkładali jakieś dzieło, rozważano, czy jego treść jest zajmująca, czy intryga dobrze zawiązana, czy postaci trwałe, czy wymowa czysta i płynna; ale jeśli nie było w nim roli dla Roscusa czy Amiany, odrzucano je bez wahania.

Nadintendent rozrywek sułtańskich Agasi wezwał więc taką trupę, jaka była, i w jej wykonaniu ujrano tego dnia w seraju pierwsze przedstawienie pewnej tragedii. Napisał ją współczesny autor, którego oklaskiwano już od tak dawna, że nawet gdyby jego sztuka była stekiem niedorzeczności,

klaskano by dalej z przyzwyczajenia. Ale tym razem nie sprzeniewierzył się swojej sławie. Jego utwór był dobrze napisany: sceny zjawiały się w kunsztownym porządku, zdarzenia były zręcznie przygotowane, zaciekawienie rosło wraz z rozwojem uczuć bohaterów, powiązanie zaś aktów było tak naturalne i tak były one wypełnione, że widz trwał w napięciu, myśląc o tym, co ma nastąpić, oraz był kontent z tego, co już widział. Ale oto, w środku czwartego aktu owegoż arcydzieła, gdy odgrywano nader czułą scenę, która przygotowywała kolejną, jeszcze bardziej przejmującą, Mangogul nie chcąc się ośmieszać wrażliwością na wzruszenia, dobył szkieł i z udaną obojętnością jął lustrować łożę. Po chwili zauważył na galerii wielce podnieconą damę, ale zdało mu się, że to podniecenie jest całkiem nie na miejscu i ma niewiele wspólnego z treścią sztuki. Natychmiast skierował na nią swój pierścień, po czym usłyszano, w trakcie bardzo wzniosłej sceny pojednania, zdyszany głos klejnotu, który zwracał się do aktora tymi słowy:

– Ach!... AaaL. Dość już, mój Orgogli... Zbyt mnie roztkliwiasz... Och!... OooL. Nie mogę się powstrzymać...

Wszyscy nastawili ucha i starali się dojrzeć miejsce, skąd dobiegał ów głosik. Wśród publiczności parteru wnet rozeszła się wieść, że znów mówił jakiś klejnot "Który? – pytano. – I co powiedział?" Czekając aż rzecz się wyjaśni, widzowie nieprzerwanie klaskali i krzyczeli: "Bis! Bis!" Tymczasem autor, który stał za kulisami i obawiał się, by ten wypadek nie przerwał przedstawienia,

pienił się ze złości i posyłał wszystkie klejnoty do diabła. Uczynił się wielki gwar, który trwał dłuższą chwilę. Gdyby nie respekt, jaki żywiono dla sułtana, sztuka skończyłaby się w tym miejscu. Jednakże Mangogul dał znak, by wszyscy zamilkli, za czym aktorzy podjęli swoje role i odegrali je do końca.

Sułtan był ciekaw następstw owej publicznej deklaracji i kazał śledzić klejnot, który ją złożył. Niebawem doniesiono mu, że aktor ma się udać do Eryfilii. Dzięki mocy swego pierścienia Mangogul przybył do niej wcześniej i znajdował się już w komnacie, gdy oznajmiono Orgoglego.

Eryfilla była pod bronią, to znaczy leżała w leniwej pozie na otomanie, cała w zalotnym negliżu. Nasz komediant wszedł z miną zarazem nadętą, zwycięską, pewną siebie i próżną. Jego lewa ręka machała kapeluszem, zaś palcami prawej gładził sobie wierzch nosa, co było teatralnym gestem, ogromnie cenionym przez znawców. Zjawiwszy się, złożył hardy ukłon i wygłosił poufale komplement

– Och, królowo moja! – zakrzyknął mizdrząc się i pochylając ku Eryfilii. – Jakże wspaniale wyglądasz! Zali wiesz, że w tym negliżu jesteś urocza?...

Ton, jakim przemawiał ten chłystek, wstrząsnął Mangogulem. Ale ów władca był młody i mógł nie znać jeszcze światowych zwyczajów...

- Czy naprawdę sądzisz, mój drogi, że ładnie wyglądam?
- Zachwycająco, zapewniam cię, pani...
- Bardzo z tego rada. Ale teraz chciałabym,

żebyś mi powtórzył scenę, która tak mnie wzruszyła dziś wieczorem. Tak... tę... tę właśnie... Ależ hultaj jest pociągający!... Mów dalej, proszę; osobliwe to we mnie budzi emocje...

Wypowiadając te słowa, Eryfila rzuciła swemu bohaterowi spojrzenia, które mówiły wszystko, i podawała mu dłoń, którą bezczelny Orgogli całował tak, jakby to on robił jej łaskę. Bardziej dumny ze swego talentu niżli z nowej zdobyczy, recytował z emfazą; dama zaś, mocno zmieszana, raz zaklinała go, by grał dalej, to znów błagała, by przestał. Mangogul, poznawszy z miny, którą przybrała, że jej klejnot chętnie zagrałby jakąś rolę w tym przedstawieniu, wołał odgadnąć resztę sceny niż być jej świadkiem. Oddalił się więc i pomknął do faworyty, która go oczekiwała.

Kiedy sułtan opowiedział jej tę przygodę, zawołała:

–Co mówisz, panie? Kobiety upadły więc na samo dno hańby! Komediant! Niewolnik publiczności! Błazen! Gdyby jeszcze przeciw tym ludziom przemawiał jeno ich stan; ale większość z nich żyje bezwstydnie, wyzbyta prawdziwych uczuć. Ów Orgogli to tylko automat: nigdy naprawdę nie myślał i gdyby nie wyuczył się swoich ról, pewnie by nie mówił.

– Rozkoszy mego serca – odrzekł Mangogul – nie wiesz chyba, co mówisz, kiedy tak lamentujesz. Czyżbyś zapomniała sforę Harii? Zdaje mi się, do kata, że komediant tyle samo przynajmniej wart, co pekińczyk.

–Masz rację, książę – powiedziała faworyta.

– Chybam szalona, turbując się o istoty, które nie są tego warte. Co mnie obchodzi, że Palabria bałwochwalczo wielbi swoje bóstwa, że Salika leczy wapory przy pomocy Farfadięgo, wedle własnej receptury, że Haria żyje i umrze pośród zwierzaków, że Eryfila oddaje się wszystkim błaznom Konga? Cóż ryzykuję? Najwyżej nie dostanę pałacu. Trzeba porzucić myśl o nagrodzie, już to postanowiłam...

– Żegnaj więc, emaliowana małpko – powiedział Mangogul.

– Żegnaj, małpko – rzekła Mirzoza – i dobra opinio, którą miałam o mojej płci. Nigdy już jej nie odzyskam. Pozwolisz, panie, że nie będę zapraszać do siebie kobiet przez co najmniej dwa tygodnie.

– Trzeba jednak mieć jakieś towarzystwo – odparł sułtan.

– Będę cieszyć się twoim albo będę na cię oczekiwać; gdyby zaś mi zbywało na wolnych chwilach, poświęcę je Rikarykowi i Selimowi, którzy są mi oddani i z którymi lubię przestawać. Kiedy mnie znuży głęboka wiedza mego lektora, twój dworzanin rozbawi mnie wspomnieniem przygód swojej młodości.

## ROZMOWA O LITERATURZE

Faworyta lubiła pięknoduchów, choć sama wcale do tej rodziny nie należała. Na jej toalecie, pośród diamentów i pomponów, leżały ówczesne powieści i ulotne poezje, które to utwory osądzała z wybornym znawstwem. Grając w faraona czy w tryktraka, potrafiła, bez zmiany miejsca, wdać się nagle w dysputę z akademikiem lub uczonym, i wszyscy ci rozmówcy przyznawali, że samo subtelne wyczucie odkrywa przed nią w tych dziełach zalety i wady, umykające niekiedy ich własnej wiedzy. Mirzoza zdumiewała ich przenikliwością, wprawiała w zakłopotanie swymi pytaniami, ale nigdy nie nadużywała przewag, które jej dawały bystrość umysłu i uroda. Nikt tedy nie czuł się urażony, gdy przegrał z nią jakiś spór.

Pewnego późnego popołudnia, które spędzała z Mangogulem, zjawił się u niej Selim; zaraz też kazała wezwać Rikaryka. Afrykański autor gdzie indziej przedstawia czytelnikowi Selima. W tym miejscu natomiast dowiadujemy się, że Rikaryk był członkiem akademii kongijskiej; że erudycja nie zabiła w nim polotu; że najlepiej poznał minione stulecie; że miał drobiazgowy szacunek dla daw

nych reguł, które przytaczał w nieskończoność; że był maszyną do głoszenia przepisów; że nie było gorliwszego od niego zwolennika pierwszych pisarzy Konga, a zwłaszcza niejakiego Mirufli, który napisał przed około trzema tysiącami i czterdziestoma laty wzniosły poemat w języku Kafrów o podboju wielkiej puszczy, skąd Kafrowie wypędzili małpy, zamieszkujące ją od niepamiętnych czasów.<sup>36</sup> Rikaryk przetłumaczył go na kongijski i wydał bardzo pięknie, iście po benedyktyńsku, z przypisami, scholiami, odmianami i wszelkimi ozdobami. Był również autorem dwóch lichych tragedii, ułożonych zgodnie z wszystkimi regułami, pochwały krokodyli oraz kilku oper.

– Przynoszę ci, pani – rzekł Rikaryk z ukłonem – powieść, którą przypisują markizie Tamazi, choć na nieszczęście można tu rozpoznać rękę Mulazena. Przynoszę również odpowiedź naszego spowiednika Lambadaga na przemowę poety Tu-ksigrafa, któregośmy wczoraj przyjęli do Akademii, oraz Tamerlana, dzieło tego ostatniego.

– Czy to nie cudowne? – powiedział Mangogul. – Drukarnie pracują bez ustanku i gdyby mężowie w Kongo czynili swoją powinność tak dobrze jak autorzy, mógłbym w niecałe dziesięć lat wystawić z półtora miliona żołnierzy i pokusić się o podbój Monoemugi. Przeczytamy powieść przy innej sposobności. Zobaczmy teraz o rację, a w niej to zwłaszcza, co mnie dotyczy.

Rikaryk przebiegł papier oczyma i wybrał ten ustęp:

“Przodkowie, naszego dostojnego władcy niewątpliwie wsławili się swoimi czynami. Ale Mangogul, wyżej od nich stojąc, pozostawił przyszłym stuleciom wiele innych godnych podziwu dokonań. Co mówię: godnych podziwu? Powiedzmy lepiej: dokonań nie do wiary. Jeśli nasi dziadowie mieli rację, mówiąc, że potomność uzna za bajdy cuda z czasów panowania Kanoglu, to o ileż więcej racji mamy my, sądząc, iż nasze wnuki nie uwierzą w dziwy mądrości i męstwa, których teraz jesteśmy świadkami!”

– Mój biedny Lambadago – rzekł sułtan – potrafisz jeno recytować frazesy. Albowiem co do mnie, to mam powody mniemać, że twoi następcy przyćmią moją sławę wobec sławy mego syna, tak jak ty usunąłeś w cień mojego ojca, mnie wychwalając; i będzie się tak działo zawsze, dopokąd będą istnieć akademicy. Cóż na to powiesz, Rikaryku?

– Panie, mogę powiedzieć jeno tyle, że ustęp, który przeczytałem Waszej Wysokości, bardzo przypadł do gustu słuchaczom.

– Tym gorzej – odparł Mangogul. – Czyżby zatraciło się w Kongo upodobanie do sztuki wymowy? Nie w ten sposób znamienity Homilogo wychwalał wielkiego Abena.

– Książę – podjął Rikaryk – prawdziwe kra- somówstwo to nic innego jak sztuka przemawiania w sposób podniosły, a zarazem wdzięczny i przekonujący.

– Dodaj, że i rozsądny – powiedział sułtan. – Osądź teraz wedle tego prawidła twojego przyja-

cielą Lambadaga. Z całym szacunkiem, jaki żywię dla współczesnych krasomówców, jest on tylko nieszczerym deklamatorem.

– Wasza Wysokość pozwoli jednak – odrzekł Rikaryk – że nie odstępując również od szacunku, jaki tobie, panie, winienem, ośmielę się...

– Oto, na co ci pozwalam – przerwał żywo Mangogul. – Szanować zdrowy rozsądek pierwiej niżli Moją Wysokość i powiedzieć mi zaraz wyraźnie, czy orator może być od okazywania go zwolniony.

– Nie, panie – odparł Rikaryk.

I miał już w długiej tyradzie przytoczyć wszystkie autorytety i wymienić retorów Afryki, Arabii i Chin, ażeby udowodnić rzecz najbardziej oczywistą pod słońcem, kiedy odezwał się Selim.

– Wszyscy autorzy, na których może się pan powołać – rzekł dworzanin – nie zmieniają faktu, że mowy imć Lambadaga są bardzo niezręczne i niestosowne. Wybacz mi te słowa, Rikaryku. Poważam pana nadzwyczajnie, ale czy nie przyznasz wraz z nami, jeśli odłożysz na bok solidarność profesji, że panujący sułtan – sprawiedliwy, łaskawy, miłosierny, sławny wojennik – nie potrzebuje szczudeł w postaci twych retorów, aby okazać się tak wielkim, jak jego przodkowie? Czy nie sądzisz również, że syn, którego się wynosi pod niebiosa, pomniejszając zasługi jego ojca i dziada, byłby śmieszny w swej próżności, gdyby nie umiał pojąć, że w ten sposób upiększa się jego wizerunek jedną ręką, a zeszpecą drugą? Czy twoim zdaniem trzeba odłupać głowę pomnikom Ergebzeda i Kanoglu,

aby pokazać, że Mangogul sięga wyżej niż którykolwiek z jego poprzedników?

– Mości Rikaryku – powiedziała Mirzoza – Selim ma rację. Pozostawmy każdemu to, co mu się należy i nie pozwólmy, żeby ktoś mógł podejrzewać, iż nasze pochwały są zwykłym szachrajstwem wobec pamięci naszych ojców: przekaż to ode mnie całej Akademii na najbliższym posiedzeniu.

– Już od tak dawna – odparł Selim – wszyscy stroją swoje mowy na złą nutę, że trudno się spodziewać, aby pani rada przyniosła jaki dobry skutek.

– Sądzę, że się pan myli – rzekł Rikaryk do Selima. – Akademia jest wciąż jeszcze sanktuarium dobrego smaku i nawet czasy jej największego rozkwitu nie dostarczają nam przykładów takich filozofów czy poetów, z którymi nie mogliby się równać dzisiejsi. Nasz teatr uchodził i wciąż uchodzi za pierwszy teatr Afryki! Cóż za dzieło, ów Tamerlan Tuksigrafa! To patos Euryzopa i wzniosłość Azofa!<sup>37</sup> To starożytność w najczystszej postaci.

– Byłam na pierwszym przedstawieniu Tatner- lana – powiedziała faworyta – i zdało mi się, tak jak panu, że utwór dobrze jest ułożony, że dialog bardzo zgrabny i że reguła dobrego tonu należycie przestrzegana.

– Jakaż różnica, pani – przerwał jej Rikaryk – pomiędzy autorem takim jak Tuksigraf, wychowanym na dziełach starożytnych, a większością naszych współczesnych!

– Lecz ci współcześni – powiedział Selim –

na których tu wyrzekasz do woli, nie są chyba tak godni pogardy, jak twierdzisz. Cóż to! Czyżbyś nie znajdował w ich dziełach talentu, wyobraźni, pasji, stosownych szczegółów, przekonujących postaci, wielkich tyrad? Co mnie obchodzą reguły, jeśli coś mi się podoba? Z pewnością to nie uwagi roztropnego Almudira i przemądrzałego Abaldoka, ani też poetyka uczonego Fakardina, której nigdy nie czytałem, skłaniają mnie do podziwiania sztuk Abulkazema, Mubardara, Albabukra i tylu innych Saracenów! Zali istnieje inna reguła niż naśladowanie natury? Zali nie mamy takich samych oczu jak ci, co naturę zgłębili?

– Natura – odrzekł Rikaryk – w każdej chwili pokazuje nam różne oblicza. Wszystkie są prawdziwe, ale nie wszystkie są jednako piękne. Trzeba się więc nauczyć wybierać spośród tych dzieł, do których, jak się zdaje, nie przywiązuje pan wielkiej wagi. Chodzi o takie, gdzie znaleźć można zbiór doświadczeń autorów oraz doświadczeń zgromadzonych przed nimi. Jakkolwiek chłonny bowiem byłby nasz umysł, nie możemy postrzegać różnych zjawisk inaczej jak kolejno, jedno po drugim; i jeden człowiek nie może się spodziewać, że w czasie swego krótkiego życia dojrzy wszystko, co odkryły poprzednie stulecia. Gdyby tak nie było, można by twierdzić, że jakaś nauka zawdzięcza swoje narodziny, swój postęp i swoją doskonałość jednej głowie – temu zaś przeczy doświadczenie.

– Drogi Rikaryku – powiedział Selim – z twojego rozumowania płynie więc wniosek, że współcześni, czerpiąc ze skarbnicy pozostawionej przez

czasy minione, muszą być bogatsi od starożytnych; albo też, jeśli ta przenośnia ci się nie podoba, powiedzmy, że stojąc na ramionach owych olbrzymów, muszą sięgać od nich dalej spojrzeniem. Istotnie, czymże w porównaniu z naszymi w tych dziedzinach osiągnięciami jest ich fizyka, astronomia, żegluga, mechanika, matematyka? I dlaczego nasza sztuka wymowy i nasza poezja nie miałyby również stać wyżej od tamtych?

g=| Selimie – odezwała się sułtanka –| Rikaryk wyłoży ci któregoś dnia, na czym zasadza się ta różnica i powie ci, dlaczego nasze tragedie są gorsze od tragedii starożytnych. Ale ja już dzisiaj chętnie dowiodę, że tak właśnie rzeczy się mają. Nie podejrzewam waeści o to, żeś nie czytał starożytnych. Masz umysł zbyt kształcony, aby ich teatr był ci nie znany. Owóż jeśli odłożysz na bok, co się wiąże z ich nawykami, obyczajami i wiarą i co cię razi tylko dlatego, że czasy się zmieniły, przyznasz wówczas, że tematy ich sztuk są podniosłe, dobrze wybrane, zajmujące; że akcja rozwija się jakby samodzielnie; że dialogi są proste i bliskie naturalnych; że rozwiązania nie są sztuczne; że zaciekawienie widza nie rozprasza się na uboczne wątki, a intryga nie jest przeładowana epizodami. Przenieś się wyobraźnią na wyspę Alindala, przyjrzyj się wszystkiemu, co się tam dzieje, wysłuchaj wszystkiego, co się mówi, od chwili gdy młody Ibrahim i przebiegły Forfanty na niej wylądowali; zbliż się do groty nieszczęsnego Polipsyla, nie uroń ani słowa z jego skarg i rzeknij mi na koniec, czy coś zakłóca pełną złudę.<sup>38</sup> Wskaż mi współ

czesną sztukę, która mogłaby sprostać takiej próbie i osiągnąć taki stopień doskonałości, a uznam się za pokonaną.

– Na miłość Brahmy! – zawołał sułtan ziewając. – Toż uraczyłaś nas pani rozprawą akademicką!

– Nie rozumiem reguł – ciągnęła faworyta – ani tym bardziej uczonych słów, którymi się je określa. Wiem natomiast, że tylko prawda podoba się i wzrusza. Wiem również, że przedstawienie wtedy jest najlepsze, gdy akcja tak wiernie naśladuje rzeczywistość, że widz, choć bez przerwy karmiony ułudą, wyobraża sobie, iż w tych zdarzeniach uczestniczy. Czy dostrzegasz, Selimie, coś podobnego w tragediach, które nam zachwalasz? Czy naprawdę podziwiasz w nich układ zdarzeń? Zwykle jest tak zawikłany, że cud chyba jeno może wytłumaczyć, iż wydarzyło się tyle rzeczy w tak krótkim czasie. Upadek lub uratowanie państwa, ślub królowej, śmierć króla – wszystko to dzieje się w mgnieniu oka. Kiedy akcja przedstawia spisek, jego zarys widać w pierwszym akcie, w drugim zawiązuje się i utrwała, w trzecim wszystkie przygotowania są już poczynione, przeszkody usunięte, role rozdzielone między spiskowców: za chwilę nastąpi bunt, walka, może nawet regularna bitwa. I waść chciałbyś w tym widzieć umiejętność układania zdarzeń, budzenia ciekawości, pasję, prawdopodobieństwo! Nigdy bym ci tego nie wybaczyła, bo wiesz przecież, ile niekiedy trzeba wysiłków, by doprowadzić do końca najmarniejszą intrygę, ile pochłania czasu najdrobniejsza sprawa polityczna,

wymagająca zawsze zabiegów, rozmów i deliberacji

– Zgadzam się, pani – odparł Selim – że nasze sztuki są nieco przeciążone zdarzeniami. Ale to zło konieczne: bez obfitości epizodów widz nudziłby się śmiertelnie.

– To znaczy, że aby tchnąć życie w obraz jakiegoś zdarzenia, nie należy go pokazywać ani takim, jakie jest, ani takim, jakim być powinno? Toż to śmieszne. Jedno chyba tylko jest jeszcze większą niedorzecznością: kazać skrzypcom grać wesołe aryjki i skoczne sonaty, wtedy gdy wszyscy są przejęci losem władcy, który lada chwila straci ukochaną, tron i życie.

– Ma pani rację – powiedział Mangogul – na takie okazje trzeba ponurych melodii. Zaraz rozkażę, żeby ci kilka zagrano.

Co rzekłszy, wstał i wyszedł, a rozmowa toczyła się dalej między Selimem, Rikaiykiem i faworytą.

– Ale przynajmniej nie zaprzeczysz pani – mówił Selim – że, jeśli nawet nadmiar epizodów szkodzi iluzji, to służy jej dialog. Nie widzę nikogo, kto by się na nim rozumiał lepiej niż dzisiejsi tragediopisarze.

– Nie rozumie się więc na nim nikt – odrzekła Mirzoza. – Górnolotność, sztuczny dowcip i blichtr, które się weń wkłada, stoją jak najdalej od natury. Na próżno autor stara się ukryć: mój wzrok przenika głębiej i dostrzega go nieustannie pod postaciami bohaterów. Przez usta Cynny, Sertoriusa, Maksyma, Emilii w każdej chwili przemawia Corneille. Nie tak wyglądają rozmowy u naszych

starożytnych Saracenów. Jeśli pan zechcesz, Rikaryk przetłumaczy ci kilka urywków, a wówczas usłyszysz czysty głos natury. Dałabym chętnie naszym współczesnym taką radę: "Panowie, miast silić się co krok na dowcip, którym obdarzacie waszych bohaterów, umieśćcie ich w okolicznościach, w których mógłby naprawdę się zrodzić."

– Po tym, co pani powiedziała o akcji i dialogach w naszych sztukach – rzekł Selim – nie można się zapewne spodziewać, abyś była łaskawsza dla rozwiązań.

– Istotnie fi podjęła faworyta. – Na jedno dobre przypada sto złych. Raz nie wynika ono wcale z poprzednich wątków, innym razem wspiera się na cudzie. Jeśli pisarzowi sprawia kłopot postać, którą przepychał od sceny do sceny przez pięć aktów, wyprawia ją na tamten świat jednym ciosem sztyletu: publiczność zalewa się łzami, a ja śmieję się jak szalona. Wreszcie – czy kiedykolwiek mówiono tak jak nasi deklamatorzy? Czy księżęta i królowie chodzą inaczej niż człowiek, który chodzi normalnie? Czy ktokolwiek widział, żeby gestykulowali niczym opętani lub furiaci? Czy księżniczki syczą przenikliwie, kiedy mówią? Wyo- obrażamy sobie, że podnieśliśmy tragedię do stopnia doskonałości. Ja zaś uważam za rzecz niemal dowiedzioną, iż spośród, wszystkich rodzajów dzieł literackich, które Afrykanie tworzyli w ostatnich stuleciach, ten jest najbardziej niedoskonały.

Faworyta wypowiadała właśnie słowa owej diatryby przeciw naszemu teatrowi, kiedy powrócił Mangogul.

–Pani – powiedział – będę ci wdzięczny, jeśli zechcesz mówić dalej. Mam, jak wiesz, sposoby, żeby skrócić wykład poetyki, kiedy wydaje mi się zbyt długi.

–Wyobraźmy sobie ~ > ciągnęła faworyta – przybysza z Angoty, który nie wie, co to teatr, ale któremu nie brakuje ani obycia, ani zdrowego rozsądku. Ma on również niejaki pojęcie o dworach królewskich, o intrygach dworzan, o zawiściach ministrów i kłótniach kobiet. Owóż mówię mu w zaufaniu tak: “Przyjacielu, straszne rzeczy dzieją się w seraju. Nasz władca patrzy złym okiem na swego syna, którego podejrzewa o miłość do Manimonbandy, i zanosi się na to, że zemści się na obojgu w najokrutniejszy sposób. Należy się tedy spodziewać bardzo bolesnych następstw tej sytuacji. Jeśli chcesz, możesz być świadkiem tego, co się będzie działo.” Przybysz godzi się, więc prowadzę go do okratowanej loży, skąd widać scenę, którą on bierze za pałac sułtański. Czy sądzicie, że mimo całej powagi, jaką bym udawała, złudzenie tego człowieka trwałoby choć jedną chwilę? Czy nie wydaje się wam, że – na odwrót – będzie zaskoczony napuszonym zachowaniem aktorów, cudacznością ich strojów, dziwactwem gestów, emfazą osobliwej mowy, rymowanej i rytmicznej, oraz tysiącem innych dysonansów? Ze wobec tego roześmieje mi się w nos już na początku pierwszej sceny i oświadczy, iż albo kpię sobie z niego, albo władca i cały dwór postradali zmysły?

– Przyznaję – odparł Selim że ten obraz

robi na mnie wrażenie. Wszelako, jeśli pozwolisz, pani, pragnąłbym zauważyć, iż każdy idzie do teatru z przekonaniem, że ujrzy imitację zdarzeń, a nie same zdarzenia.

– Ale czy owo przekonanie – rzekła Mirzoza – ma stać na przeszkodzie, aby przedstawiać jakieś zdarzenie w sposób najbardziej naturalny?

– A zatem, pani – przerwał Mangogul – stoisz teraz na czele krytyków.

– I jeśli pani wierzyć – dodał Selim – państwu naszemu grozi zwyrodnienie dobrego smaku, odrodzenie barbarzyństwa i, być może, powrót do ciemnoty czasów Mamurry i Orondada.

– Księżę, czegoś podobnego się nie obawiaj. Nie znoszę zgryźliwców i nie zamierzam powiększyć ich liczby. Zresztą chwała Waszej Wysokości jest mi zbyt droga, abym kiedykolwiek próbowała przyćmić splendor twego panowania. Ale gdyby wszyscy byli naszego zdania, literatura błyszczałaby może jeszcze jaśniejszym blaskiem, nieprawdaż Rikaryku?

– Cóż to! – powiedział Mangogul. – Czyżbyście już napisali jakowyś memoriał w tej sprawie dla mego seneszała?

– Nie, panie – odparł Rikaryk. – Ale dziękując Waszej Wysokości w imieniu ludzi pióra za wyznaczenie im nowego inspektora, chciałbym móc oświadczyć z całą pokorą twojemu seneszałowi, że dobór uczonych odpowiedzialnych za przeglądanie manuskryptów jest rzeczą wielce delikatną; że powierza się to zadanie ludziom, którzy mi się wydają całkiem do niego niezdatni; że rodzi

to mnóstwo złych skutków, takich jak okaleczanie dobrych dzieł, zmuszanie do milczenia najtęższych twórców, którzy nie mogą swobodnie pisać wedle swojej chęci, albo nie piszą wcale, albo przekazują swe książki za granicę i pozwalają je tam sprzedawać za wielkie sumy, takich wreszcie jak wydawanie złej opinii o tematach, które zabrania się poruszać. Płyną stąd jeszcze setki innych niedogodności, których wyliczanie ci, książę, zajęłoby zbyt wiele czasu. Radziłbym mu też odebrać pensje owym pijawkom literackim, które bez ustanku i bez racji domagają się więcej grosza. Mówię o tych wszystkich glosatorach, starożytnikach, komentatorach i innych z tego plemienia, którzy byłiby zapewne bardzo pożyteczni, gdyby dobrze wykonywali swój fach, a którzy mają nieszczęsny zwyczaj opuszczania miejsc niezrozumiałych i objaśniania całkiem jasnych. Pragnąłbym, aby niemal całkowicie zabronił wydawać utwory pośmiertne i nigdy nie pozwolił, aby pamięć o wielkim pisarzu doznała uszczerbku z powodu chciwości księgarza, co zbiera i ogłasza w długi czas po śmierci autora dzieła, które ten skazał za życia na zapomnienie.

– Ja zaś – podjęła faworyta – wskazałabym mu kilku wybitnych ludzi, takich jak imć Rikaryk, których powinien obsypać dobrodziejstwami Waszej Wysokości. Czy nie jest dziwne, że biedaczek nie ma grosza przy duszy, gdy pięknoduch chiro- manta Manimonbandy pobiera co roku tysiąc cekinów z sułtańskiego skarbcza?

– Dobrze, pani – rzekł Mangogul – przyznaję Rikarykowi taką samą pensję z mojej kiesy w

dowód uznania za jego wspaniałe talenta, które przede mną odkryłaś.

– Mości Rikaryku – powiedziała Mirzoza – trzeba, żebym i ja coś dla ciebie zrobiła. Owóż ze względu na ciebie porzucam myśl o mej zdraśniętej miłości własnej i zapominam, w zamian za nagrodę, którą ci przyznał Mangogul za twe zasługi, zniewagę, którą mi wyrządził.

– Czy wolno panią spytać, jaka to zniewaga? – zagadnął Mangogul.

– Tak, panie, zaraz się dowiesz. Sam wdajesz się z nami w rozmowę o literaturze i rozpoczynasz ją uwagami, nie najwyższego zresztą lotu, o współczesnym krasomówstwie. I kiedy, aby uczynić zadość twemu życzeniu, chcemy podjąć smętny temat, który narzuciłeś, ogarnia cię nuda: zaczynasz ziewać, cierpisz męki w swoim fotelu, kręcisz się, sto razy zmieniając pozycję; wreszcie, nie mogąc dłużej sprostać kiepskiej roli, jaką odgrywałeś, decydujesz się: wstajesz i wychodzisz. Dokąd? Pewnie słuchać zwierzeń jakiegoś klejnotu.

– Potwierdzam fakty, pani, ale nie widzę w nich nic obraźliwego. Jeśli kogoś nudzi rozmowa o pięknych rzeczach, a bawią dyrdymały, tym gorzej dla niego. Ow niewłaściwy wybór nie umniejsza zalet tego, czego nie chciał słuchać: taki człowiek daje tylko dowód złego osądu. Dodam jeszcze, pani, że podczas gdy ty byłaś zajęta rozmową z Selimem, ja starałem się, niemal równie bezowocnie, abyś mogła dostać obiecany pałac. Wreszcie, skoro orzekłaś, że tak czy owak jestem winny,

oświadczam ci, iż bardzo szybko zostałaś pomszczona.

– W jaki sposób? – spytała faworyta.

– W taki: aby się trochę rozerwać po akademickiej dyspucie, której musiałem wysłuchać, postanowiłem się oddalić i porozmawiać z kilkoma klejnotami.

– No i, książę?...

–i No i... nigdy dotąd nie słuchałem tak smętnych i nieciekawych, jak owe dwa, na które natrafiłem.

– Nie posiadam się z radości – rzekła faworyta.

– Jeden i drugi przemawiały językiem całkiem niezrozumiałym. Pamiętam dobrze wszystko, co mówiły, ale niech szczenę, jeśli pojmuje z tego choć słowo.

ROZDZIAŁ XXXIX ..... •

OSIEMNASTA I DZIEWIĘTNASTA

PRÓBA PIERŚCIENIA

SFEROIDA I GIRGIRO POPŁATAMEC. CZYLI NIECH KAŻDY ROZUMIE

JAK UMIE

To rzecz osobliwa – podjęła Mirzoza. Wyobrażałam sobie dotąd, że jeśli moż- jna coś zarzucić klejnotom, to wyrażanie w sposób zbyt jasny.

– Ech, do kata – odparł Mangogul – zapewniam cię, pani, że te dwa nie są takie. Niech je rozumie, kto może. Owóż znasz zapewne tę małą, okrągłutką niewiastę, co ma głowę wciśniętą w ramiona, ręce ledwie oddzielone od tułowia, nogi tak krótkie i brzuch tak wydęty, że można by ją wziąć za chińskiego bożka lub za wielkiego nie rozwiniętego embriona. Przewano ją Sferoidą, a ona ubrdała sobie, że Brahma przeznaczył ją do studiów nad geometrią i dlatego ją obdarzył kulistym kształtem. Równie dobrze mogłaby się poświęcić artylerii, bo wyszła z łona natury na podobieństwo kuli wylatującej z armaty.

Chciałem dowiedzieć się czegoś od jej klejnotu i próbowałem go wypytać. Lecz ów zwolennik wi- rowców przemawiał wyłącznie słowami wziętymi z geometrii, toteż nie zrozumiałem go wcale, a być może i on sam siebie nie rozumiał. Mówił o liniach prostych, powierzchniach wklęsłych, o danych, o długości, szerokości i wysokości, o bryłach,

o siłach czynnych i biernych, stożkach, walcach, przekrojach stożków, o krzywych stożkowych, o krzywych otwartych, zamkniętych...

– Niech Wasza Wysokość daruje mi resztę! – zakrzyknęła boleśnie faworyta. – Masz okrutnie dokładną pamięć. Toż to śmiertelne. Czuję, że będę miała migrenę przez tydzień. Czy przypadkiem drugi klejnocik był równie zabawny?

– Sama się o tym przekonasz. Klnę się na wielki palec Brahmy, że dokonałem cudu. Zapamiętałem oto słowo w słowo jego poplątaną gadaninę, choć Sensu i jasności nie ma w niej za grosz. Gdybyś zresztą była tak łaskawa i raczyła dać do tego równie subtelną co krytyczną glose, zrobiłabyś mi, pani, arcymiłą przysługę.

– Jak powiedziałaś, książę? – spytała Mirzoza. – Niech umrę, jeśli nie pożyczyles od kogoś tego zdania.

– Nie wiem, jak to się stało – odpowiedział Mangogul – albowiem te dwa klejnoty to jedyne osoby, którym dziś dałem posłuchanie. Gdy zwróciłem pierścień na drugi, ów milczał przez chwilę, po czym zaczął przemawiać tak, jakby się zwracał do wielu słuchaczy.<sup>39</sup>

– Panowie! Daruję sobie, nie dbając o reputację mego rozumu, przytaczanie wzorów myśli i wymowy. Jeśli powiem coś nowego, to nie dlatego, żeby wydać się oryginalnym, ale dlatego, że podsunie mi to sam temat; jeśli zdarzy się, że powtórzę, co zostało już powiedziane, znaczyć to będzie, że myślę tak jak inni.

Niechaj ironiści nie ośmieszają zbyt szybko

powyższego wstępu i nie oskarżają mnie, że nic nie czytałem albo że czytałem bez żadnej korzyści; klejnot taki jak ja nie jest stworzony ani do tego, żeby czytać, ani żeby wynieść z czytania jakiś profit, ani żeby oczekiwać zarzutów, ani do tego, żeby na nie odpowiadać.

Nie mogę odmówić sobie przyjemności okraszenia mego tematu kilkoma stosownymi doń uwagami i ozdobami, zwłaszcza iż jego nadzwyczajna skąpość nie pozwala, aby były one zbyt liczne i zbyt błyskotliwe. Ale też będę unikał zagłębiania się w owe drobne i nie znaczące szczegóły, których pełno w jałowych oracjach. Byłbym w rozpacz, gdyby mnie o taką przywarę posądzono.

Skoro już was uprzedziłem, panowie, czego win- niście się spodziewać po moich odkryciach i moim sposobie mówienia, pozwólcie, iż nakreślę kilkoma ruchami pędzla swój charakter.

Wiecie, panowie, równie dobrze jak ja, że istnieją dwa rodzaje klejnotów: zarozumiałe i skromne. Pierwsze chcą wszędzie dzierżyć prym i od wszystkich zbierać poklask. Drugie, przeciwnie, udają uległość i bez ostentacji są wszystkim powolne. Te rozbieżne cechy widać najlepiej wtedy, gdy zamiar przeradza się w czyn, każdy bowiem klejnot zachowuje się zgodnie z duchem, który nim porusza. Przywiązany do przesądów wczesnego wychowania, uznałem, że wstąpię na bezpieczniejszą, łatwiejszą i wdzięczniejszą drogę, jeśli przedłożę pokorę nad pychę, za czym ofiarowałem siebie, z

dziecinną wstydlivością i zachęcającymi prośbami, wszystkim, których miałem szczęście spotkać.

Lecz w jakże nieszczęsnych żyjemy czasach'. Po wszystkich "ależ", "jeśli", "jak to", powtarzanych tyle razy, że mogłoby to zniecierpliwic najmniej zajęty z klejnotów, przyjęto w końcu moje służby. Nietety, nie na długo: ten, co pierwszy mnie posiadł", porzucił mnie, gdy nadarzyła się kusząca sposobność do nowej i świetnej konkiety; znowu więc popadłem w beczynność.

Pokazało się jednak, że utraciłem prawdziwy skarb i nie łudziłem się, że los mi to kiedyś wynagrodzi. W rzeczy samej, wolne miejsce zostało zajęte, lecz nie wypełnione, przez sześćdziesięciolatka, któremu brakowało nie tyle dobrej woli, ile środków, by ją wprowadzić w czyn. Starał się ze wszystkich sił, bym zapomniał o swoim byłym szczęściu. Świadczył mi nawet owe miłe grzeczności, co są uważane za pokarm zastępczy wobec tych, do których przywykłem. Lecz jego wysiłki nie ukoily żalu. Jeśli bowiem przemyślność, która – jak mówią [f] jest w tej materii niewyczerpana, pozwoliła mu znaleźć w skarbnicy impulsów naturalnych sposoby na pewne uśmierzenie mego bólu, to jednak owo zadośćuczynienie zdało mi się niewystarczające, a moja imaginacja trudziła się na próżno, aby znaleźć dla siebie nową, solidniejszą podporę lub wręcz ją wymyślić.

Taka jest moc pierwszych doświadczeń, że od razu chwytny różnicę i stawiamy opór wszystkiemu, co się nam później jawi w innym kształcie. I

laka jest – czy mam to rzec ku naszemu wstydowi? – niewdzięczna natura klejnotów, że dla nich dobra wola nigdy nie dorównuje reputacją faktom.

Myśl ta zdaje mi się tak naturalna, że choć nie pożyczyłem jej od nikogo, nie sądzę, żebym był jedynym, któremu się nasunęła. Lecz jeśli kogoś już przede mną poruszyła, to przynajmniej, panowie, będę pierwszym, który przedsięwziął, objawiając ją w ten właśnie sposób, okazanie na waszych oczach jej słuszności.

Jestem daleki od wytykania tym, którzy zabierali głos do tej pory, iż owa prawda umknęła ich uwagi. Moja miłość własna jest aż nadto syta, skoro mogę, po tylu świetnych mówcach, przedstawić to spostrzeżenie jako coś nowego...

– Ach, panie! – przerwała żywo Mirzoza. – Zdaje mi się, że słyszę chiromantę Manimon- bandy. Zwróć się do niego, a otrzymasz niechybnie subtelną i krytyczną głosę, której to arcymilej przysługi daremnie byś oczekiwał od kogoś innego.

Afrykański autor powiada w tym miejscu, że Mangogul uśmiechnął się i mówił dalej. "Ani myślę jednak – dodaje – przytaczać reszty przemowy." Jeśli początek nie był tak zabawny jak pierwsze stronicie wróżki Kreci, koniec byłby tak nudny jak ostatnie strony wróżki Wąsatki.<sup>40</sup>

## SEN MIRZOZY

Gdy Mangogul wygłosił do końca akademicką orację Girgiro Poplątańca, zrobiła się noc i wszyscy poszli spać. Faworyta spodziewała się, że tej nocy będzie spała doskonale, ale oto powróciły do niej we śnie echa rozmowy z poprzedniego dnia. Tamte myśli zmieszały się z nowymi, a skutkiem był dziwaczny sen, którego nie omieszkała opowiedzieć sułtanowi.

– Ledwie zaczęłam drzemać, kiedy spostrzegłam, że znajduję się w ogromnej galerii, całej wypełnionej książkami. Nie umiem powiedzieć, jakimi. Były one dla mnie tym, czym są dla wielu ludzi na jawie: nie spojrzałam nawet na jeden tytuł; bardziej uderzający widok przykuł całą moją uwagę.

W miejscach pomiędzy szafami z książkami wznosiły się postumenty, na których spoczywały marmurowe i spiżowe popiersia wielkiej urody. Ząb czasu oszczędził je widocznie i poza kilkoma drobnymi uszkodzeniami były całe i doskonale w kształcie. Nosiły na sobie znamię owej szlachetności i owego wykwintu, które starożytność umiała nadawać swym dziełom. Większość z nich miała

długie brody, wysokie czoła, podobne twojemu, i interesujące oblicza.

Pilno mi było poznać ich imiona i zasługi. Naraz spomiędzy okiennych framug wyszła jakowaś niewiasta i podeszła do mnie: była słusznej postury, szła majestatycznym krokiem, poruszała się z dostojeństwem. W jej spojrzeniu słodycz mieszała się z dumą, a w głosie był jakiś czar, który przenikał do głębi. Hełm, pancerz i powłóczysta szata były jej całym odzieniem.<sup>41</sup>

– Rozumiem twoje zdziwienie i zaspokoję twą ciekawość – powiedziała. – Mężowie, na których popiersia zwróciłaś uwagę, byli moimi ulubieńcami. Poświęcali dni i noce na doskonalenie sztuk pięknych, których ja jestem wynalazczynią. Żyli w najbardziej oświeconych krainach na ziemi, a ich dzieła, którymi rozkoszowali się ich współcześni, są też przedmiotem podziwu dzisiejszych czasów. Zbliź się, a ujrzysz na postumentach płaskorzeźby obrazujące sceny, co cię zaciekawia i pozwolą ci pojąć choć trochę naturę utworów owych pisarzy.

Pierwszy posąg, któremu się przyjrzałam, przedstawiał starca o szlachetnych rysach.<sup>42</sup> Wyglądał na ślepcę. Należało mniemać, że opiewał wielkie boje, takie bowiem sceny widniały po obu stronach postumentu. Natomiast front zdobiła jedna tylko postać: młodego bohatera wspierającego dłoń na rękojeści miecza; nad nim widać było kobiece ramię, które trzymało go za włosy i zdawało się kiełznać jego gniew.

Naprzeciwko tego popiersia stał posąg młodzieńca, będącego ucieleśnieniem skromności.<sup>43</sup>

jego oczy zwrócone były na starca i patrzyły nań z wyraźną atencją. On również opiewał wojnę i bitewne zapasy, lecz nie był to jedyny przedmiot, który go zajmował: z poświęconych mu płaskorzeźb najważniejsza przedstawiała z jednej strony oraczy pochylonych nad pługiem i zajętych uprawą ziemi, z drugiej – pasterzy leżących na murawie i grających na fujarce pośród owiec i psów.

Posąg stojący pod popiersiem starca, i po tej samej co ono stronie, miał przestraszony wzrok i zdawał się nim ścigać jakiś przedmiot, co mu umykał.<sup>44</sup> Pod spodem wyrzeźbiono porzuconą lirę, rozproszone wawrzyny, roztrzaskane rydwany i rozhukane konie, uciekające po rozległej równinie.

Na wprost niego ujrzałam podobiznę, która szczególnie mnie zaciekawiła.<sup>45</sup> Wydaje mi się, że widzę ją jeszcze: ów mąż miał subtelną fizjonomię, nos orli i spiczasty, nieruchome spojrzenie i przebiegły uśmiech. Na płaskorzeźbach, którymi ozdobiono postument, wyobrażono tak wiele rzeczy, iż mówiłabym pewnie w nieskończoność, gdybym się podjęła ich opisu.

Obejrzawszy kilka innych pomników, jęłam wypytywać moją przewodniczkę.

–Kim jest ten, co zdaje się nosić prawdę na ustach i uczciwość na obliczu?

– Był on – odrzekła – przyjacielem i ofiarą jednej i drugiej. Przez całe życie starał się uczynić swych współobywateli światłymi i prawymi, a oni, niewdzięczni, to życie mu odebrali.

–A ten posąg pod nim?

– Który? Ten, co jakby się wspiera na ramionach Gracji, które wyrzeźbiono na postumencie?

– Tak, właśnie ten.

– To uczeń i spadkobierca rozumu i zasad owego cnotliwego nieszczęśnika, o którym mówiłam.

– A ów pyzaty wesolek, którego czoło ozdobiono winoroślą i mirtem?

– To pełen wdzięku filozof, który z opiewania i smakowania rozkoszy uczynił jedyne swe zajęcie, i umarł w objęciach Wenery.<sup>48</sup>

– A ten drugi ślepiec?...

– To...

Lecz nie czekałam odpowiedzi. Wydało mi się teraz, że widzę bardziej znajome oblicza. Zbliżyłam się spieszenie do popiersia stojącego naprzeciwko ślepca.<sup>49</sup> Spoczywało na rzeźbionym trofeum, na które się składały różne atrybuty nauk i sztuk: między nimi figlowały wesole Amory. Z jednego boku postumentu spoglądały geniusze polityki, historii i filozofii. Na drugim widać było dwie armie uszykowane do bitwy: zdumienie i zgroza malowały się na wszystkich twarzach; znać było na nich również ślady podziwu i litości. Uczucia te powstały pewnie na widok scen, które wyobrażono poniżej. Oto młodzieniec, który kona, a obok starszy odeń wojownik, co zwraca swą broń przeciw sobie: wszystko w tych postaciach było nieskończenie piękne – i śmiertelna niemoc jednego, i rozpacz drugiego. Podeszłam i przeczytałam pod spodem napis, ryty złotymi literami:

... Niestety! Syn to był jego!<sup>50</sup> Oto rozwścieczony

sułtan, który zatapia sztylet w piersiach młodej niewiasty na oczach liczego tłumu, gdy jedni odwracają wzrok, a drudzy toną w łzach. Wokół płaskorzeźby wyryto te słowa:

Tyżeś to, Nerestanie?<sup>51</sup> ...

Miałam się przyjrzeć, innym popiersiom, kiedy nagły hałas kazał mi odwrócić głowę. Czyniła go gromada mężów odzianych w długie czarne szaty, którzy tłumnie wtargnęli do galerii. Jedni nieśli kadzidła, z których dobywały się duszne opary, drudzy – girlandy z aksamitek i innych kwiatów, dobranych bez ładu i smaku. Otoczyli popiersia i jęli je okadzać, wyśpiewując hymny w dwóch nie znanych mi językach. Dym z kadzideł spowijał całkiem pomniki, zaś wieńce nadawały im śmieszny wygląd. Wkrótce jednak starożytni znów ukazali swe oblicze, a girlandy zwiędły i opadły zeschnięte na ziemię. I wywiązał się między owymi barbarzyńcami spór, w którym jedni twierdzili, że drudzy nie dość nisko ugięli kolan, kłaniając się posągom. Miało już dojść do rękoczynów, gdy moja przewodniczka rozpedziła ich jednym spojrzeniem i przywróciła spokój swojej siedzibie.<sup>58</sup>

Zaledwie zniknęli, gdy ujrzałam, jak przeciwległymi drzwiami wkracza długi rząd Pigmajów. Te karły nie miały nawet dwóch łokci wzrostu, za to bardzo ostre zęby i długie pazury. Ludzie ci wnet rozdzielili się na kilka grup i jęli się tłoczyć wokół posągów. Jedni próbowali drapać po płaskorzeźbach i podłoga była usiana kawałkami ich paznokci; inni, bardziej zuchwali, stawali na ramionach kompanów, by sięgnąć głowy popiersia i dać

jej prztyczka. Lecz rozbawiło mnie niezmiernie to, że owe prztyczki, miast dosięgnąć nosów posągów, lądowały na nosach Pigmejów. Toteż przyglądając się im z bliska, spostrzegłam, iż prawie wszyscy są płaskonosi.

[p] Zważ – rzekła mi przewodniczka – na zuchwałość tych liliputów i na karę, co ich spotyka. Ta wojna trwa już od dawna i zawsze w niej przegrywają. Postępuję z nimi łagodniej niż z czarnymi sukniami, bowiem ich kadzidła mogłyby oszpecić popiersia, natomiast wysiłki Pigmejów prawie zawsze przydają w końcu więcej blasku moim posągom. Chcę ci teraz pokazać coś innego, jako że nie będzie ci dane pozostać tu dłużej niż godzinę lub dwie.

Odsłoniła się wówczas wielka kurtyna i ujrzałam pracownię, gdzie znajdowali się inni Pigmeje: nie mieli zębów ni pazurów, ale za to byli uzbrojeni w brzytwy i nożyce. W rękach trzymali głowy, które ruszały się jak żywe i którym już to obcinali włosy, już to wrywali nos i uszy, już to wylupywali prawe lub lewe oko; wszystkie zaś prawie poddawali sekcji. A dokonawszy na nich tych pięknych operacji, oglądali je z zadowoleniem, jakby były najpiękniejszą rzeczą na świecie. Biedne głowy na próżno wydawały gromkie krzyki: zwykle nie raczyli im nawet odpowiedzieć. Usłyszałam, jak jedna z nich domaga się, by jej przywrócono nos w poprzedniej postaci, twierdząc, że nie będzie się mogła pokazać bez tego organu.

– Ech, moja główko miła – odrzekł Pigmej – chybaś szalona. Ów nos, którego żałujesz, szpecił

cię niepomieranie. Był tak długi... Z takim nigdy byś nie została wybranką fortuny, zaś odkąd ci go skrócono i przycięto, jesteś doprawdy czarująca i teraz dopiero będziesz miała powodzenie.

Los tych głów przepelniał mnie litością. Ale oto spostrzegłam dalej jeszcze innych Pigmejów, bardziej miłosiernych, którzy czołgali się po podłodze, wpatrując się w nią przez okulary. Zbierali oni nosy i uszy, po czym przylepiali je do kilku starych głów, które zaż czasu tak okaleczył. Niewielu jednak się to udawało; większość umieszczała nos na miejscu ucha lub ucho na miejscu nosa, i głowy stawały się od tego jeszcze szpetniejsze.

Spieszno mi było dowiedzieć się, co to wszystko znaczy, spytałam więc przewodniczkę. Już otwierała usta, by odpowiedzieć, gdy nagle się obudziłam.

– Wielka szkoda – rzekł Mangogul – albowiem ta niewiasta odkryłaby zapewne przed tobą wiele tajemnic. Ale skoro ona nie może nam pomóc, jestem zdania, że powinniśmy się zwrócić do mego kuglarza Bloculocusa.

–Do kogo? igi powiedziała faworyta. B Do tego głuptaka, któremu przyznałeś wyłączny przywilej pokazywania na twym dworze latami magicznej?

– Do niego właśnie — odparł sułtan. — Jeśli on nam twojego snu nie objaśni, nikt tego zrobić nie zdoła. Niechaj zavezwą Bloculocusa.

DWUDZIESTA PIERWSZA I DWUDZIESTA DRUGA

PRÓBA PIERŚCIENIA"

FRYKAMONA I KALLIPIGA

Afrykański Autor nie mam co robił

Mangogul czekając aż nadejdzie bloculolus. Wedle wszelkiego prawdopodobieństwa wyszedł, porozmawiał z kilkoma klejnotami i zadowolony z tego, co usłyszał, powrócił do faworyty, wydając okrzyki radości, od których zaczyna się ten rozdział.

– Zwycięstwo! Zwycięstwo! – wołał. – Pani, możesz triumfować, i pałac, i porcelana, i małpka należą do ciebie.

– To pewnie Aglaja?... – spytała faworyta.

– Nie, pani, nie, to nie Aglaja – przerwał sułtan. – To ktoś inny.

– Ach, księżę, nie zazdrość mi już więcej tego, że znam owe rzadkie przypadki, i wyjaw...

– Otóż jest to... lecz któż by sądził?...

– A więc, to...

– Frykamona – rzekł Mangogul.

– Frykamona! Nie widzę w tym nic nieprawdopodobnego. Ta kobieta spędziła w klasztorze wiele lat swojej młodości, a odkąd go opuściła, żyła nader przykładnie i na uboczu. Noga żadnego mężczyzny nie przestąpiła jej progów. Stała się jakby przeoryszą stadka młodych dewotek, które  
ijąc aż nadejdzie Blocu- rszelkiego prawdopodobo-

wychowuje wręcz doskonale i których wciąż pełno w jej domu. Nie było to nigdy miejsce, w którym wy, panowie, mielibyście cokolwiek do roboty – dodała faworyta, uśmiechając się i kręcąc głową.

– Ma pani rację – powiedział Mangogul. – Zapytałem jej klejnot: nic nie odpowiedział. Wzmogłem działanie pierścienia, pocierając go kilkakrotnie: na próżno. “Ów klejnot – mówiłem sobie w duchu – musi być głuchy.” I już miałem odejść, zostawiając Frykamonę na sofie, na której ją byłem zastałem, gdy naraz zaczęła mówić – ustami, ma się rozumieć.

– Droga Akarido – zakrzyknęła – jakże jestem szczęśliwa w owych chwilach, kiedy mogę się pozbyć natrętów i oddać się myślom o tobie. Są to, po tych, które spędzam w twoich ramionach, najśłodsze chwile mego życia... Nic mnie nie rozprasza. Wokół mnie panuje cisza. Kotary w oknach są ledwo odsłonięte, wpuszczają jeno tyle światła, ile trzeba, by zbudziła się we mnie tkliwość i zjawił twój obraz. Pomagam jak mogę wyobraźni, która cię przywołuje, i zaraz cię widzę... Miła Akarido! Jakże mi się wydajesz piękna!... Tak, poznaję twoje oczy, twój uśmiech, twoje usta... Nie kryj przede mną tej piersi, co niedawno rozkwitła. Pozwól, że ją ucałuję... Nie dość się jej napatrzyłam... Chcę jeszcze raz ją ucałować!... Ach, niechaj umrę na tym łonie... Jakaż namiętność mnie rozpala! Akarido, droga Akarido, gdzie jesteś?... Przybądź tu, najmiłsza... Och, przysięgam, droga i czuła przyjaciółko, nie znane dotąd uczucia zawładnęły moją duszą. Przepęlniają ją, zdumiewają, nie mogą się w

niej pomieścić... Płyńcie, rozkoszne łyżki; płyńcie i dajcie upust żarowi, co mnie trawi... Nie, Akarido droga, ów Alizali, którego nade mnie przedkładasz, nie kocha cię tak jak ja... Lecz słyszę jakiś hałas... Ach, to pewnie Akarida... Wejź, moje serce, wejź, proszę...

– Frykamona nie myliła się – ciągnął Mangogul. – Była to istotnie Akarida. Zostawiłem je, gdy zaczęły rozmowę, i całkiem przekonany, że klejnot Frykamony w dalszym ciągu zachowa milczenie, przybiegłem co rychlej powiadomić cię, iż przegrałem.

– Wszelako S rzekła sułtanka – nic nie rozumiem z zachowania Frykamony. Musi być szalona albo cierpi na okrutne wapory. Nie, panie, nie: jestem uczciwsza, niż ci się wydaje. Nie mam wprawdzie powodów, by podać w wątpliwość tę próbę, ale mam wrażenie, że jest tu coś, co mi nie pozwala czuć się zwyciężcą. Toteż żadnym zwycięstwem nie zamierzam się szczycić. Tak postanowiłam i nie chcę ani pałacu, ani porcelany, jeśli nie będą mi się należeć na podstawie wyraźniejszych dowodów.

– Nie pojmuję cię, pani – odparł Mangogul. – Masz wymagania, które przechodzą ludzki rozum. Widocznie nie przyjrzałaś się emaliowanej małpce.

– Dobrze ją obejrzałam, książę – powiedziała Mirzoza. – Jest cudna. Ale podejrzewam, że doświadczenie z Frykamoną nie oznacza mej wygranej. Jeśli pragniesz, aby małpka była kiedyś moja, skieruj swe próby gdzie indziej.

– Na honor, pani – rzekł sułtan, zastanowiwszy się przez dłuższą chwilę – widzę, że chyba tylko kochanka imć Mirola może ci zapewnić wygraną.

– Chyba nie wiesz, co mówisz, książę – odparła faworyta. – Nie znam owego Mirola, ale kimkolwiek jest, fakt, że ma kochankę, chyba o czymś świadczy.

–Ma pani rację, jako żywo. Mimo to założyłbym się, że klejnot Kallipigi nie wie nic a nic.

Zdecyduj się, panie; jedno z dwojga: albo klejnot Kallipigi... Lecz po cóż się wdaję w te śmieszne wywody... Czyń, panie, co ci się podoba. Wypytaj klejnot Kallipigi: jeżeli będzie milczał, tym gorzej dla Mirola i tym lepiej dla mnie.

Mangogul odszedł więc i w jednej chwili znalazł się obok sofy koloru żonkili, haftowanej srebrem, na której wypoczywała Kallipiga. Zaledwie zwrócił pierścień na tę damę, gdy posłyszał stłumiony głos, który mruczał następujące słowa:

–Co chcesz wiedzieć? Nic nie rozumiem z twoich pytań. Nikt o mnie nie dba. A wydaje mi się, że jestem wart tyle, co kto inny. To prawda, że Mirola przebywa często blisko moich progów, ale...

(W tym miejscu następuje w rękopisie pokaźna luka. Rzeczpospolita literacka byłaby z pewnością ogromnie wdzięczna temu, kto by odtworzył całą mowę klejnotu Kallipigi, jako że zostały z niej ledwie dwa ostatnie zdania. Zachęcamy uczonych, aby się nad nimi zastanowili i orzekli, czy ustęp nie jest umyślnie opuszczony przez autora, który

Jbył niezadowolony z tego, co napisał, i nie wiedział, jak napisać lepiej.)

...Powiadają, że mojemu rywalowi wzniesiono ołtarze po drugiej stronie Alp. Niestety! Gdyby nie Mirolo, ja miałbym swoje na całej ziemi.

Mangogul powrócił natychmiast do seraju i powtórzył faworycie słowo w słowo skargę klejnotu Kallipigi; pamięć miał bowiem wyborną.

– Pani – powiedział – nie ma tu nic, co by podawało w wątpliwość twoją wygraną. Daję ci wszystko, co przyrzekłem, zaś Kallipidze podziękujesz, kiedy uznasz za stosowne.

– Wasza Wysokość – odparła z powagą Mirzoza – pragnę zawdzięczać zwycięstwo cnotcie całkiem dowiedzionej, a nie...

– Ależ, pani – przerwał sułtan – nie znam cnoty lepiej dowiedzonej niż ta, co tak blisko zetknęła się z nieprzyjacielem.

– Ja jednak, księżę – rzekła faworyta – obstaję przy swoim. Ale oto Selim i Bloculocus: oni rzecz osądzą.

Kiedy Selim i Bloculocus weszli, Mangogul powiadomił ich zaraz, o co szedł spór, a oni rozstrzygnęli go obaj na korzyść Mirzozy.

## Objaśnianie SNÓW

JPanie rzekła faworyta do Bioculocusa

chciałabym, żebyś mi oddał jeszcze jedną przysługę. Ostatniej nocy przewinał się przez moją głowę stek nieprawdopodobieństw. To był sen. Ale Bóg jeden wie, co miał oznaczać! Zapewniono mnie, że ty właśnie umiesz najlepiej w całym Kongo odczytywać sny. Powiedz mi więc szybko, o co chodzi w moim.

Za czym opowiedziała mu, co się jej przyśniło.

– Wierzaj mi, pani – odparł Bloculocus – że jestem dość lichym oniologiem...

– Och, oszczędź mi waść fachowych terminów – zawołała faworyta. – Zostaw w pokoju naukę i przemawiaj do mnie zgodnie z rozsądkiem.

– ..... Dobrze więc – rzekł Bloculocus – uczynię zadość twemu życzeniu. Mam w tym przedmiocie kilka osobliwych poglądów i to pewnie im wyłącznie zawdzięczam zaszczyt rozmowy z panią oraz przydomek zgłębiacza snów. Wyłożę ci je tedy najjaśniej, jak będę umiał. Wiadomo ci, pani – ciągnął – co filozofowie i większość ludzi mówią na ten temat Według nich to, co nas uderzyło w dzień, zajmuje naszą duszę w nocy. Ślady, które się odcisnęły we włóknach mózgowych na jawie,

I pozostają. Pierwiastki życiowe, nawykłe do przebywania w pewnych miejscach, zmierzają do nich drogą, którą najlepiej znają. Stąd biorą się owe mimowolne wyobrażenia, co nas smucają bądź radują. Zgodnie z tym systemem należałoby mniemać, że szczęśliwy kochanek również we śnie powinien mieć powody do szczęścia. Tymczasem często się zdarza, iż osoba, która nie czyni mu wstrętów na jawie, traktuje go we śnie jak niewolnika, albo że zamiast uroczej kobiety trzyma w ramionach ohydneho potworka.

– To właśnie zdarzyło mi się ostatniej nocy – przerwał Mangogul. – Śnię bowiem prawie co noc. To choroba rodzinna. Śnimy z ojca na syna, od czasów sułtana Togruła, który zaczął w roku 743 500 000 002. Owóż zeszłej nocy widziałem cię, pani – rzekł zwracając się do Mirzozy. – To byłaś ty, poznawałem twoją skórę, twoje ręce, twoją pierś, szyję, twoje ramiona, jędrne ciało, smukłą kibić, niezrównaną figurę. Ale gdy szukałem twego czarującego oblicza, owej cudownej główki, znalazłem na tym miejscu pysk doga. Wydałem z siebie straszny krzyk. Koduk, mój szambelan, przybiegł natychmiast i spytał, co mi jest. “Mirzoza – odrzekłem w półśnie – stała się ofiarą najokropniejszej metamorfozy: przemieniła się w dożycę.” Kotluk uznał, że nie trzeba mnie budzić, odszedł więc, a ja znów pograżyłem się we śnie. Mogę cię zapewnić, pani, że cały czas rozpoznawałem twoje ciało i cały czas widziałem ów psi łeb. Czy imć Bloculocus zechce mi wydumaczyć to zjawisko? – Mam nadzieję, że mi się to uda – powie

dział Bloculocus – jeśli tylko Wasza Wysokość zgodzi się ze mną na początek co do jednej prostej zasady: tej mianowicie, że wszystkie istoty łączy ze sobą nieskończona ilość powiązań opartych na podobieństwie cech, i że dany zespół cech wyróżnia jakąś istotę spośród innych.

– To jasne – odezwała się Mirzoza. – Na przykład Ipsyfila ma nogi, ręce, usta takie jak mądra kobieta, a przecież...

– A Farasman – dorzucił Mangogul – nosi swój bułat tak jak człek wielkiej odwagi.

– Jeśli zatem nie wiemy wystarczająco, jakie cechy tworzą zespół charakterystyczny dla danego gatunku, albo jeśli nazbyt pośpiesznie orzekamy, iż ów zespół odpowiada bądź nie odpowiada danej istocie, grozi nam to, że weźmiemy miedź za złoto, szych za brylanty, rachmistrza za geometrę, de-klamatora frazesów za wykwinny umysł...

– Kritona za przyzwoitego człowieka, a Fedimę za urodziwą kobietę – dodała sułtanka.

– A wie pani – spytał Bloculocus – co można by rzec o tych, co wydają takie sądy?

– Ze śnią na jawie – odparła Mirzoza.

– Doskonale – ciągnął Bloculocus. – Toteż nader trafne i filozoficznie uzasadnione jest potoczne wyrażenie, które słyszy się setki razy: "Śniesz chyba i nie wiesz, co mówisz." Nic bowiem częściej spotykanego niż ludzie, którym zdaje się, że myślą, a którzy w istocie śnią z otwartymi oczyma.

– To z pewnością do nich – przerwała faworyta – można całkiem dosłownie odnieść stwierdzenie, że życie jest snem.

– Nie nadziwię się nigdy, pani – odparł Bloculocus – łatwości, z jaką chwytasz nawet dość abstrakcyjną wiedzę. Owóż nasze senne marzenia rodzą się właśnie z nagłych sądów, które zjawiają się kolejno z nadzwyczajną szybkością i które, wiążąc z sobą przedmioty połączone nader odległymi cechami, budują z nich dziwaczną całość.

– Och, wybornie cię pojmuję – rzekła Mirzoza. – To jakby markietaż, w którym różne kawałki inkrustacji są mniej lub bardziej liczne, mniej lub bardziej regularnie rozmieszczone, zależnie od tego, jak żywy jest umysł, jak szybka wyobraźnia, jak wierna pamięć. Czy zresztą nie na tym polega szaleństwo? Kiedy mieszkaniec przytułku Petites- -Maisons<sup>54</sup> krzyczy, że widzi błyskawice, słyszy uderzenia piorunów i że otchłań otwiera mu się pod nogami, lub kiedy Ariadna przed swym lustrem uśmiecha się do siebie, sądząc, że widzi żywy blask oczu, cudne lico, piękne zęby i małe usteczka, czy nie dzieje się tak dlatego, iż te dwa chore mózgi, zmylone odległym podobieństwem, uznają twory wyobraźni za prawdziwe i dotykalne?

– Zgadłaś, pani. Tak, jeśli przyjrzeć się dobrze szaleńcom, można się przekonać, że ich stan jest po prostu ciągłym snem.

– Mam na podorędziu – rzekł Selim do Bloculocusa – kilka faktów, do których twoje poglądy doskonale się stosują: sprawia to, że i ja jestem twego zdania. Pewnego razu śniło mi się, że słyszę jakoweś rżenia i że widzę, jak z wielkiego meczetu wychodzą dwa równoległe rzędy dziwnych zwierząt Kroczyły z powagą na tylnych łapach, na

łbach miały kaptury z wyciętymi dziurami, przez które wystawały długie, ruchliwe i włochate uszy, zaś przednie kończyny kryły się w obszernych rękawach. Męczyłem się wówczas bezskutecznie, aby wyjaśnić to widzenie. Ale dzisiaj przypominam sobie, że poprzedniego dnia byłem na wzgórzu Montmartre.

Innym razem, kiedy byliśmy w polu pod komendą samego sułtana Ergebzeda, zasnąłem w swoim namiocie, utrudzony forsownym marszem. Śniłem, że mam przedstawić wielkiemu dywanowi ważką sprawę do rozstrzygnięcia. Stawiłem się tedy przed radą regencyjną, lecz wyobraźcie sobie moje zdumienie: sala była pełna żłobów, koryt, worków na obrok i ptasich klatek. W fotelu wielkiego seneszala ujrzałem wołu, który przeżuwał karmę, na miejscu seraskiera – berberyjską owcę, na miejscu tefdesdara – orła z zakrzywionym dziobem i długimi szponami, na miejscu kajmakana i kadiego – dwie wielkie sowy odziane w futra, na miejscu wezyrów – gęsi z pawimi ogonami. Przedłożyłem swój wniosek temu zgromadzeniu i w tejże chwili usłyszałem rozpaczliwy hałas, który mnie zbudził.

– Czy tak trudno odczytać ten sen? – powiedział Mangogul. – Miałeś waść wtedy istotnie przedłożyć jakąś sprawę dywanowi, ale zanim się udałeś do rady, poszedłeś do menażerii. Ale co ze mną, Blocu-locusie? Czemu nic nie mówisz o moim psim łbie?

– Książę – odrzekł Bloculocus – można się założyć sto przeciw jednemu, żeś zobaczył na pani lub na innej kobiecie palatynkę z kuniego futra i

Łże dogi zrobiły na tobie duże wrażenie, kiedy je {ujrzałeś pierwszy raz. Wynika z tego więcej powiązań, niż trzeba było twojej duszy, aby w ciągu jednej nocy dokonała swych skojarzeń: podobieństwo barwy sprawiło, że zamiast palatynki zobaczyłeś psią sierść, po czym zaraz wstawiłeś szkaradny pysk na miejsce pięknej niewieściej główki.

– Twoje poglądy zdają mi się słuszne – powiedział Mangogul. – Czemu ich nie ogłosisz? Mogłyby się przyczynić do rozwoju sztuki przepowiadania ze snów, tak ważnej i pielęgnowanej należycie przed dwoma tysiącami lat, potem zaś zaniedbanej. Inna korzyść płynąca z twego systemu jest taka, że mógłby on rzucić trochę światła na kilka dzieł, tak starożytnych jak współczesnych, które są jeno zbiorem sennych dumań, a to: Traktat o ideach Platona, Fragmenty Hermesa Trismegisty, Paradoksy literackie ojca H...,<sup>55</sup> Newtona, Optykę barw i Matematykę powszechną pewnego bramina.<sup>58</sup> Czy nie mógłbyś, na przykład, powiedzieć nam, panie wróżbito, co widział był Orchotomus w wigilię nocy, podczas której wyśnił swoją hipotezę? O czym śnił ojciec C..., zanim zaczął budować swój optyczny klawesyn? Jaki był sen Kleobula, zanim wziął się do pisania swej tragedii?

– Sądzę, że sprostalbym temu, należycie wszystko przemyślawszy – odparł Bloculocus. – Ale odkładam wyjaśnienie tych subtelných zjawisk do czasu, gdy ukaże się moje dumaczenie z Filokse- nesa, na które proszę Waszą Wysokość o wyłączny przywilej.

- Z wielką chęcią – rzeki Mangogul. – Lecz któż to, ów Filoksenes?
- To grecki pisarz, który bardzo dobrze się rozumiał na snach.
- Znasz więc waszmość grekę?
- Ja, panie? Nic a nic.
- Czyż nie powiedziałeś, że tłumaczysz Filoksenesa, który pisał po grecku?
- Tak, panie. Ale nie trzeba rozumieć języka, z którego się tłumaczy, albowiem tłumaczy się go dla ludzi, którzy też go nie rozumieją.
- To wyborne – powiedział sułtan. – Mości Bloculocusie, dumacz więc z greki, nie znając jej wcale. Daję słowo, że nie powiem o tym nikomu i że nie mniej cię będę szanował z tej racji.

DWUDZIESTA TRZECIA

PRÓBA PIERŚCIENIA

FANNY

Kiedy powyższa rozmowa dobiegła końca, do nocy pozostało jeszcze trochę czasu. Skłoniło to sułtana, przed udaniem się na spoczynek, do podjęcia kolejnej próby pierścienia – choćby po to, by zasnąć z weselszymi myślami w głowie niż te, którymi był przedtem zajęty. Pomknął więc nie mieszkając do Fanny; nie zastał jej jednak. Wrócił po wieczery, ale wciąż jej nie było. Odłożył tedy doświadczenie do rana.

Nazajutrz – pisze afrykański autor, którego zapiski tłumaczymy –j Mangogul zjawił się u Fanny o wpół do dziesiątej. Niedawno położono ją do łóżka. Sułtan zbliżył się do jej wezgłowia i przyglądał się przez kilka chwil. Nie mógł pojąć, w jaki sposób, mając tak mało powabów, zaznała tylu przygód.

Fanny jest blondynką, tak jasną, że jej uroda wydaje się mdła. Jest wysoka, nazbyt wyrośnięta, wyzywająca w ruchach. Brak jej ładnych rysów, nie dostaje wdzięków; zamiast tego – zuchwała poza, którą można ścierpieć tylko na dworze. Co się tyczy polotu, można przyznać, że ma go tyle, ile wymaga skłonność do amatorów. Kobieta musi być bardzo upośledzona na umyśle, żeby po dwudzie

stu miłośkach nie opanować przynajmniej stosownego żargonu: bo Fanny tyleż bodaj podbojów ma na swym rachunku.

Związała się ostatnio z człkiem, co bardzo jest odpowiedni dla jej usposobienia. Nie zrażała go bynajmniej jej niewierność, tyle że nie wiedział tak dobrze jak inni, dokąd »się w tej niewierności posuwała. Zawarł znajomość z kaprysu, pozostawał przy niej z przyzwyczajenia, i żyli sobie jak w małżeńskim stadle. Spędzili minioną noc na balu, położyli się o dziewiątej rano i zasnęli nie zwracając na siebie uwagi. Gnuśność Alonza nie powinna była przypaść Fanny do smaku, ale ona nie miała wielkich wymagań. Spali tedy snem sprawiedliwego, plecami do siebie, gdy sułtan zwrócił pierścień na klejnot Fanny. Ten odezwał się natychmiast, podczas gdy jego pani chrapała, a Alonzo zaczynał się budzić.

Ziewnąwszy kilka razy, klejnot rzekł:

– To chyba nie Alonzo wyrywa mnie ze snu... Która godzina? Czego ode mnie chcecie? Zdaje mi się, że nie tak długo spałem. Zostawcie mnie na chwilę.

Miał znowu zasnąć, lecz sułtan mu na to nie pozwolił.

– Cóż za natręctwo! – odezwał się znowu. – Jeszcze raz pytam: czego ode mnie chcesz? Nieszczęsny jest żywot tego, kto ma sławnych przodków! O mizerny losie utytułowanych klejnotów! Jeśli coś może mi być pociechą w uciążliwym znoszeniu mego stanu, to chyba jeno wyrozumiałość człowieka, na którego służbach teraz jestem. Och,

pod tym względem to najlepszy człek pod słońcem! Nigdy nam nie robił żadnych przykrości, my zaś korzystaliśmy należycie ze swobody, jaką nam pozostawił. Cóż by się ze mną stało, gdybym przypadł w udziale któremuś z owych ponuraków, co śledzą" każdy krok! Narażeni na takie życie, dopiero mielibyśmy się z pyszną!

Tu klejnot dorzucił kilka słów, których Mangogul nie dosłyszał, po czym jął wspominać w niebywałym tempie niezliczone zdarzenia: heroiczne, komiczne, groteskowe, tragikomiczne, a kiedy zadyszał się cały, ciągnął w tych słowach:

– Jak widzisz, panie, nie mam najgorszej pamięci. Ale jestem jak inni: zapamiętałem jeno małą cząstkę z sekretów, które mi powierzono. Musisz się tym zadowolić, nic więcej nie przychodzi mi na myśl.

– To przyzwicie z jego strony – rzekł Mangogul do siebie. Mimo to nalegał.

– Jakże mnie drażnisz! – podjął klejnot. – Można by rzec, że nie mam nic innego do roboty jak bajdurzyć! Dobrze więc, bajdurzmy, skoro się tego domagasz. Może kiedy wszystko powiem, będzie mi wolno zająć się czym innym.

Swego czasu Fanny, moja pani, powodowana niepojętą chęcią życia w odosobnieniu, opuściła dwór i zamknęła się w swym banzyjskim pałacu. Zdarzyło się to w początkach jesieni, toteż nikogo nie było w mieście. Spytaś pewnie, co robiła. Dalibóg, nie wiem. Ale Fanny zawsze robiła tylko jedno i gdyby tym była zajęta, wiedziałbym coś niecoś. Wyglądało na to, że istotnie próżnuje; tak,

przypominam sobie dokładnie: spędziliśmy całe półtora dnia, nic nie robiąc i usychając z nudów.

Zamartwiałem się śmiertelnie żyjąc w taki sposób, gdy zjawił się Amisadar, który postanowił to życie odmienić.

– Ach, to ty, mój Amisadarze. Naprawdę, bardzo kontenta. Zjawiasz się w samą porę.

– Któż by pomyślał, że jesteś w Banzie?

– Och, nikt o tym nie wie. Ani tobie, ani innym nie przyszłoby to do głowy. Nie zgadujesz więc, co mnie tu zatrzymało?

– Nie, doprawdy nic nie rozumiem.

– Nic a nic?

– Nie, pani.

– A więc, dowiedz się, mój drogi, że postanowiłam się nawrócić.

– Nawrócić się?

– Owszem.

– Spójrz na mnie. Ależ jesteś czarująca jak nigdy; nie widzę nic, co by zwiastowało nawrócenie. To jakiś żart.

– Nie, przysięgam, mówię całkiem poważnie. Zapragnęłam wyrzec się wielkiego świata. Nudzi mnie.

– To kaprys, który ci przejdzie. Niech umrę, jeśli miałabyś stać się nabożną.

– Stanę się nią, zobaczysz waćpan. Mężczyźni nie dochowują już wiary.

– Czyżby Mazul ci uchybił?

– Och, nie, nie widziałam go od wieków.

– A więc Zufolo?

■

- On też nie. Przestałam go widywać, sama nie wiedząc kiedy.
- Ach, już wiem! Młody Imola?
- Czy można się przywiązać do takich bagatelek?
- Któż wobec tego?
- Nie wiem. Mam żal do całego świata.
- Ach, pani, nie masz racji. Ów świat, do którego masz żal, mógłby ci jeszcze powetować wszystkie twoje krzywdy.
- Amisadarze, zali naprawdę sądzisz, że są jeszcze dobre dusze, które się uchroniły od zepsucia naszych czasów i które umieją kochać?
- Jak to: kochać? Czyżbyś wierzyła w takie głupstwa? Czy istotnie chcesz być kochaną?
- Czemuż by nie?
- Ależ, pani, pomyśl, że człowiek, który kocha, chce także, żeby i jego kochano, i tylko jego. Masz zbyt wiele rozsądku, by przystać na znoszenie zazdrości i kaprysów tkliwego i wiernego kochanka. Nic bardziej męczącego niż tacy ludzie. Widywać tylko ich, miłować tylko ich, śnić tylko o nich, być dowcipną, wesołą i czarującą tylko dla nich – to z pewnością do ciebie nie pasuje. Ładny to byłby widok zaiste, gdybyś się pogrążyła w jakimś namiętym uczuciu i hołdowała tym samym przesądom, co głupie mieszczki!
- Zdaje mi się, Amisadarze, że masz rację. Sądzę, iż, w rzeczy samej, nie nadajemy się do długich i trwałych amorów. Bądźmy zmienni, skoro zmienność jest w naszym usposobieniu. Zresztą,

jak widzę, owe tkliwe kobiety, które nam się podaje za wzór, wcale nie są szczęśliwsze od innych.

–Kto ci to powiedział, pani?

–Nikt. Ale to się czuje.

–Nie wierz tym odczuciom. Kobieta tkliwa daje szczęście sobie i daje szczęście kochankowi; ale prawdą jest, że ta rola nie pasuje do wszystkich kobiet.

–Dalibóg, mój drogi, ona nie pasuje do żadnej. Wszystkie na tym źle wychodzą. Jakie korzyści miałyby płynąć ze stałego przywiązania?

–Jest ich mnóstwo. Kobieta, która się z kimś trwalej zwiąże, ugruntuje swą reputację i zaskarbi sobie najwyższy szacunek tego, kogo kocha. A nie uwierzysz, jak bardzo miłość wspiera się na szacunku.

– Nic z tego nie rozumiem. Wszystko zagmatwałeś: mieszasz razem reputację, miłość, szacunek i Bóg wie, co jeszcze. Można by z tego wnosić, że niestałość przynosi ujmę! Jakże! Wiążę się z mężczyzną; źle mi z nim, więc biorę drugiego, który też mi nie odpowiada; zastępuję go trzecim, z którym również muszę się rozłączyć. I dlatego, że miałam pecha, bo źle trafiłam dwadzieścia razy z rzędu, chciałbyś, miast mnie żałować, żebym...

– Chciałbym, pani, żeby kobieta, która się pomyliła przy pierwszym wyborze, nie czyniła drugiego, bo może się znów pomylić i popełniać błąd za błędem.

– Ach, co za morały! Wydaje mi się, mój drogi, że prawileś mi całkiem inne przed chwilą. Czy

można się dowiedzieć, jaka powinna być kobieta wedle twego gustu?

– Z chęcią ci odpowiem, pani, ale już późno, zaś ta rozmowa daleko by nas zaprowadziła...

– Tym lepiej. Nie spodziewam się dziś nikogo, więc dotrzymasz mi towarzystwa. Postanowione, czy tak? Siądź tu na sofie i mów dalej. W ten sposób będę cię lepiej słyszała.

Amisadar usłuchał i usiadł obok Fanny.

– Nosisz pani mantylkę, co cię całą zakrywa – rzekł, nachylając się ku niej i odkrywając jej gors.

– To prawda.

– Ech, po cóż zasłaniać takie śliczności? – powiedział, składając na ślicznościach pocałunki.

– Przestań waćpan. Chyba żeś oszalał. Twoje zuchwalstwo przekracza wszelkie granice. Panie moralisto, może zechcesz wrócić do rozmowy, którą zacząłeś?

–A więc – podjął Amisadar pragnąłbym, żeby moja ukochana była wdzięczna z oblicza, bystra, uczuciowa, skromna przede wszystkim. Chciałbym, żeby szczerze przyjmowała me zabiegi i nie zwodziła mnie kokieterią min; żeby mi powiedziała wyraźnie, czy zyskałem jej względy; żeby sama wskazała sposoby, dzięki którym mógłbym pozyskać ich więcej; żeby nie kryła przede mną, jak bardzo podbiłem jej serce; żeby słuchała tylko mnie, szukała oczyma tylko mnie, myślała i śniła tylko o mnie, miłowała tylko mnie, żeby była zajęta tylko mną i robiła tylko to, co by mnie mogło o tym przekonać. I chciałbym poczuć, w dniu, w którym ulegnie moim uniesieniom, że wszystko za

wdzięczam mojej i jej miłości. To właśnie prawdziwy triumf, pani! I jakże szczęśliwy jest mężczyzna, który posiadał taką kobietę!

– Ależ, biedny Amisadarze, ty bredzisz, to oczywiste. Namalowałeś portret kobiety, która nie istnieje.

– Wybacz, pani, takie kobiety istnieją. Przyznaję, że są rzadkością. Wszelako miałem szczęście spotkać jedną z nich. Niestety, śmierć mi ją zabrała – bo tylko śmierć jest w stanie zabrać kobiety tego pokroju. Gdyby żyła, byłbym może teraz w jej ramionach.

– Powiedz jednak, jakżeś wobec niej postępował.

– Kochałem bez pamięci. Nie zaniedbałem żadnej sposobności, aby dać dowody mojego uczucia i doświadczałem słodkiego zadowolenia, że są dobrze przyjmowane. Byłem wierny aż do przesady i taką samą wiernością mi odpłacano. Przedmiotem naszych sporów mogło być tylko to, czy nie dajemy sobie zbyt mało miłości. To właśnie w tych małych utarczkach dojrzewała wzajemna tkliwość. Nigdy nie byliśmy dla siebie tak czuli, jak przy owym zgłębianiu stanu naszych serc, a za wyjaśnieniami szły zawsze coraz żywsze pieszczoty. Ile afektu i szczerości było w naszych spojrzeniach! Czytałem w jej oczach, a ona w moich, jak wielkie i żarliwe było uczucie, którym do siebie wzajem pałaliśmy!

– I jaką z tego mieliście korzyść?

U Zakosztowaliśmy rozkoszy nie znanych ludziom mniej zakochanym i mniej szczerem niż my.

- Byłeś więc szczęśliwy?
  - Tak, ale szczęściem, o które dbałem niesłychanie. Jeśli szacunek nie wprawia w miłosne uniesienia, to z pewnością je wzmaga. Otwieraliśmy przed sobą serca i nie uwierzysz, pani, jak bardzo zyskiwała na tym nasza namiętność. Im bliżej się przyglądałem ukochanej, tym więcej dostrzegałem zalet, tym większy był mój zachwyty. Spędzałem u jej kolan połowę mego czasu i żałowałem, że drugą połowę spędzam gdzie indziej. Byłem jej radością, a ona moją. Zawsze miły był mi jej widok i zawsze z przykrością się z nią rozstawałem. Tak wyglądał nasz związek. Osądź teraz, pani, czy kobiety tkliwe są tak bardzo godne pożalowania.
  - Nie, zapewne, jeśli to, co mi mówisz, jest prawdą. Ale trudno w to uwierzyć. Nikt już dzisiaj tak nie kocha. Wydaje mi się nawet, że miłość, jakiej doświadczyłeś, każe płacić wielkim niepokojem za przyjemności, których dostarcza.
  - Doznawałem niepokojów, pani, ale też był mi on drogi. Czułem odruchy zazdrości. Najmniejsza zmiana na twarzy mojej lubej siała popłoch w mej duszy.
  - Co za nedorzecznosc! Należycie wszystko rozważywszy, dochodzę do wniosku, że lepiej kochać tak, jak się kocha teraz: zadzierzgać więzy, kiedy się chce, utrzymywać je dopóty, dopóki bawią, rozstawać się, gdy stają się nudne albo gdy kaprys skłania nas ku komu innemu. Niestalość dostarcza odmiany w uciechach, nie znanej wam, otępiały w jednym uczuciu.
-

– Przyznaję, że takie życie może odpowiadać zalotnikom, liberynkom. Ale człowiek czuły i wrażliwy nigdy się nim nie zadowoli. Może w nim, co najwyżej, znaleźć rozrywkę, kiedy ma serce nie zajęte i chce czynić porównania. Słowem, kobieta skłonna do przygód nigdy by nie spełniła mych oczekiwań.

– Masz rację, drogi Amisadarze, rozumujesz wspaniale. Ale, ale: czy mi chcesz kogoś teraz? ■JISjNie, pani, jeśli nie liczyć ciebie. Lecz nie śmiem ci tego powiedzieć...

\*- Och, śmieję, mój drogi, pozwalam ci – odparła Fanny, patrząc mu w oczy.

Amisadar doskonale zrozumiał tę odpowiedź, przysunął się bliżej i jął bawić się wstążką, która opadała na pierś Fanny. Nie przeszkadzano mu w tym. Jego dłoń, nie napotykając żadnego oporu, posuwała się dalej. Wciąż obrzucano go wymownymi spojrzeniami, a on pojmował je, jak należy. Jako klejnot czułem, że postępował właściwie. Wnet złożył pocałunek na biuście, który tak wychwalał. Pani rozkazała, aby przestał, ale tonem, który wskazywał na to, że obraziłaby się, gdyby usłuchał; toteż nie okazał posłuszeństwa. Całował dłpnie, znów wracał ku piersiom, zatrzymywał się na ustach: nic mu się nie mogło oprzeć. Nie wiedzieć, w jaki sposób noga Fanny znalazła się na udach Amisadara. Położył na niej rękę, a że była zgrabna, nie omieszkał potwierdzić głośno tego faktu. Fanny wysłuchiwała pochwały z roztargnioną miną. Korzystając z owej nieuwagi, ręka Amisadara zagarniała nowe tereny i rychło dotarła do kolan. I

kiedy roztargnienie trwało, a Amisadar szykował się do szturm, pani przyszła do siebie. Jęła wyrzucać moralisście, że jej uchybił; ale teraz on z kolei popadł w roztargnienie, był głuchy na jej słowa i odpowiedział dopiero wtedy, gdy szturm zakończył się szczęśliwie.

Jakże zdał mi się urzekający! Spośród mnóstwa tych, których znałem przed nim i po nim, nikt tak nie przypadł mi do gustu. Nawet dziś nie mogę o nim mówić bez słodkiego drżenia... Pozwól jednak, że zaczerpnę tchu. Mówię chyba dość długo jak na kogoś, kto przemawia po raz pierwszy.

Alonso nie stracił ani słowa z opowieści klejnotu Fanny i było mu pilno nie mniej niż Mangogulowi dowiedzieć się reszty jego przygód. Ich cierpliwość nie była wystawiona na zbyt ciężką próbę, albowiem klejnot-historyk rychło podjął swą gawędę w tych słowach:

– W kilka dni później, patrząc na to, co się dzieje, zrozumiałem, że Amisadar wyjechał na wieś, że tam pytano go, dlaczego został dłużej w mieście i że opowiedział przygodę z moją panią. Oto bowiem jeden z ich wspólnych przyjaciół, znalazłszy się przed naszym pałacem, spytał – przypadkiem lub coś podejrzewając – czy pani obecna, po czym kazał się oznajmić i wszedł na pokoje.

– Ach, pani, kto by przypuścił, że jesteś w Ban- zie? Czy długo tak tkwisz w samotności?

– Od wieków, mój drogi. Dwa tygodnie temu wyrzekłam się świata.

– Czy można spytać, z jakiego powodu?

■

- Cóż, towarzystwo mnie męczyło.- Kobiety światowe są tak zdumiewająco rozpustne, że nie sposób już tego wytrzymać. Trzeba by albo zachowywać się jak one, albo uchodzić za świętoszkę. Ani jedno, ani drugie mi nie odpowiada.
  - Przemawiasz pani w sposób wielce budujący. Czyżby nawróciły cię rady bramina Brelibiego?
  - Nie, to wzięło się z przyływu zdrowego rozsądku i z napadu pobożności. Poczułam to nagle, a ów biedny Amisadar dokonał reszty, czyniąc ze mnie chyba najbardziej nieprzejednaną spośród nawróconych.
  - Pani go więc niedawno widziała?
  - - Tak, raz lub dwa...
  - I widziałaś tylko jego?
  - Ależ tak, oczywiście. To jedyna istota myśląca, rozumiejąca i żyjąca, która tu weszła od początku mego długiego odosobnienia.
  - To osobliwe.
  - A cóż w tym osobliwego?
  - Mówił, że miał kilka dni temu w Banzie małą przygodę z jedną damą – samotną jak ty, pobożną jak ty i obrażoną na wielki świat jak ty. Ale opowiem ci rzecz całą, być może cię to zabawi?
  - Być może.
- Zaraz więc przyjaciel Amisadara opowiedział całą przygodę, słowo w słowo, tak jak ja, a gdy doszedł do miejsca, do którego ja doszedłem, spytał:
- A więc, co o tym myślisz, pani? Czyż Amisadar nie jest szczęśliwym człkiem?

– A może – odparła Fanny – Amisadar jest kłamcą. Czy sądzisz, że są kobiety mające tyle czelności, by sobie folgować bez żadnego wstydu?

– Zważ jednak, pani – rzekł Marsufa – iż Amisadar nie wyjawiał niczyjego imienia i że jest mało prawdopodobne, by chciał nas obełgać.

– Domyślam się już, w czym rzecz – powiedziała Fanny. – Amisadar jest bystrym i urodziwym mężczyzną, umiał więc zasiać u naszej biednej pustelnicy lubę myśli o rozkoszy, którym się poddała. Tak, na pewno tak było. Tacy ludzie są niebezpieczni dla tego, kto ich słucha, a spośród nich tylko Amisadar potrafi...

;- Jakże, pani! – przerwał Marsufa. – Czyżby Amisadar był jedynym człowiekiem, który umie przekonywać? Czy naprawdę nie chcesz oddać sprawiedliwości innym, którzy, zasługują w równej co on mierze na część pani szacunku?

– A o kim pan mówisz, jeśli łaska?

lil O sobie, pani, znajduję cię bowiem czarującą

i...

■– Chyba żartujesz. Przyjrzyj mi się, Marsufo. Nie mam dziś ani rózu, ani muszek; w tej fryzurze całkiem mi nie do twarzy. Wyglądam wprost strasznie...

– Mylisz się pani. Cudownie ci w tym negliżu. Wyglądasz w nim tak wzruszająco, tak wdzięcznie...

Do tych dwornych słów Marsufa dorzucił inne, jeszcze dworniejsze. Niepostrzeżenie i ja stałem się uczestnikiem rozmowy. A kiedy Marsufa skończył rozmawiać ze mną, znów zwrócił się do mojej pani:

– A więc istotnie Amisadar próbował cię nawrócić? O, jeśli idzie o nawracanie, to człek niezrównany! Czy mogłabyś mi przytoczyć jakąś próbkę z jego morałów? Założę się, że niewiele się różnią od moich.

Roztrząsaliśmy dogłębnie kilka punktów miłosnej materii. Studiowaliśmy różnice między kobietą tkliwą a kobietą skłoną do przygód. On opowiedział się za tkliwymi.

- ty także zapewne?

– Bynajmniej, mój drogi. Staralam się ze wszystkich sił wykazać mu, że wszystkie jesteśmy do siebie podobne i że jednakie zasady kierują naszym postępowaniem. Nie zgodził się z tym. Mnożył w nieskończoność jakieś rozróżnienia, które, sądzę, istnieją tylko w jego wyobraźni. Wymyślił sobie ideał, kobietę chimeryczną, osobę zakochaną w cnocie.

–Pani – odrzekł Marsufa znam Amisadara. To chłopiec rozsądny i znający kobiety. Jeśli ci mówił, że istnieją takie...

– Och, istnieją czy nie istnieją – przerwała Fanny – nie umiałabym nigdy zachowywać się jak one.

–I ja tak sądzę – powiedział Marsufa. – Zachowujesz się przeto pani w sposób bardziej odpowiedni dla twego urodzenia i zalet. Pozostawmy te skromnisie moralistom. Na dworze u- schłyby chyba z beczynności.

W tym miejscu klejnot Fanny zamilknął. Jednym z głównych przymiotów owych oratorów była umiejętność zatrzymywania się tam, gdzie trzeba. Mówi

ły tak, jakby nic innego nie robiły przez całe życie. Stąd niektórzy mędracy wywiedli, że były to zwykłe maszyny, a oto jak rozumowali...

Tutaj afrykański autor przytacza w całości metafizyczny wywód kartezjanów przeciw istnieniu duszy u zwierząt, który stosuje z wielką przenikliwością do gadaniny klejnotów. Ujmując rzecz krótko, jest on zdania, że klejnoty mówią tak, jak ptaki śpiewają; to znaczy, iż robią to tak doskonale, nie nauczywszy się niczego wprzód, że musiały pewnie otrzymać ów mechanizm od jakiejś wyższej inteligencji.

– A co nasz autor robi z sułtanem? – spytasz, czytelniku. – Posyła go na obiad do faworyty, u niej bowiem znajdziemy go w następnym rozdziale.

## HISTORIA PODRÓŻY SELIMA

Mangogul, skory do odmiany w uciechach i do czynienia nowych prób z pierścieniem, kiedy już wypytał najbardziej godne uwagi klejnoty na dworze, zapragnął usłyszeć, co mówią klejnoty mieszczańskiego stanu. Ale jako że nie najlepszych się spodziewał od nich wieści, chciał oszczędzić sobie uganiania się za nimi i wypytać je do woli, nie ruszając się z pałacu.

Jakże jednak je sprowadzić? Ta myśl nie dawała mu spokoju.

– Doprawdy, kłopotujesz się bez powodu – rzekła mu Mirzoza. – Wystarczy, panie, żebyś wydał bal, a obiecuję ci, że będziesz mógł wysłuchać więcej owych mówców, niż byś chciał.

– Radości mego serca, masz rację! – powiedział Mangogul. – Twój sposób ma jeszcze i tę dobrą stronę, że zjawia się z pewnością te właśnie klejnoty, o które nam chodzi.

Natychmiast poszedł rozkaz do nadintendenta Agasiego i zarządcy rozrywek, aby przygotowali wielką zabawę i wydali nie więcej niż cztery tysiące biletów. Wiedziano widocznie na dworze, lepiej niż gdzie indziej, ile miejsca zajmuje sześćotysię- czny tłum.

-Czekając na godzinę rozpoczęcia balu, Selim, Mangogul i faworyta rozmawiali o ostatnich nowinach.

– Czy wiesz, pani – zapytał Selim Mirzoę – że biedny Kodindo nie żyje?

– Pierwsze słyszę. A od czegoż umarł?

– Ach, pani! – odparł Selim. – Jest to niestety ofiara systemu atrakcjonistów.

Przejął się nim bardzo już w młodości, a na starość całkiem mu się od tego zamąciło w głowie.

– Lecz co się stało? – spytała faworyta.

– Doszedł do przekonania – mówił Selim – stosując metody Halleya<sup>57</sup> i Circina, sławnych astronomów z Monoemugi, że kometa, która tyle narobiła szumu pod koniec panowania Kanoglu, powinna się znów pojawić przedwczoraj. I w obawie, że zjawi się nieco wcześniej i że on nie będzie szczęśliwcem, który ujrzy ją pierwszy, postanowił spędzić noc na wieżyczce swego obserwatorium. Trwał tam jeszcze wczoraj, z okiem przyklepionym do lunety. Jego syn, bojąc się, iż ta długa obserwacja zaszkodzi ojcu, zbliżył się doń koło ósmej, pociągnął go za rękaw i zawołał:

– Ojcze! Ojcze!

Nie było odpowiedzi. Młody Kodindo zawołał znowu:

– Ojcze! Ojcze!

– Zaraz się pojawi – odpowiedział Kodindo. – Zjawi się i zobaczę ją, do kata!

– Ależ, ojcze, nie wiesz, co mówisz. Jest straszna mgła...

– Chcę ją zobaczyć, mówię ci, że ją zobaczę.

Słyszając te odpowiedzi, młodzieniec uznał, że jego nieszczęsny ojciec bredzi i jął wzywać pomocy. Domownicy przybiegli, za czym posłano po Farfa- diego. Akurat u niego byłem, bo to mój medyk, kiedy przyszedł służący Kodinda.

–Szybko, panie, spiesz się, jeśli łaska. Mój pan Kodindo...

–O co chodzi, Szampańczyku? Cóż się przydarzyło twemu panu?

–Wielmożny panie, on oszalał.

lig Oszalał?...

–Jako żywo. Ciągłe krzyczy, że chce zobaczyć kobietę, że na pewno zobaczy kobietę. Aptekarz już tam jest, wszyscy czekają na pana. Racz się pospieszyć.

–To napad obłądu! – mówił Farfadi, wdziwając togę i szukając biretu. – Ostry napad obłądu! Szampańczyku – spytał służącego – czy twój pan widzi może latające motyle? Czy drze na strzępy swoją pierzynę?

–Nie, panie. Biedaczek stoi na szczycie swego obserwatorium, a jego żona, córki i syn trzymają go we czworo. Szybko, błagam, jutro poszuka pan biretu.

Choroba Kodinda wydała mi się zabawna, Farfadi wsiadł więc do mojej karocy i razem pojechaliśmy do obserwatorium. U podnóża schodów usłyszeliśmy głos Kodinda, który krzyczał jak opętany:

–Chcę zobaczyć kometę, zobaczę ją! Puśćcie mnie, łajdacy!

Jego rodzina, nie mogąc go skłonić, by zszedł do mieszkania, musiała kazać wnieść jego łóżko na

wieżyczkę; zastaliśmy go przeto leżącego na posłaniu. Był już aptekarz, po którego wcześniej posłano, oraz bramin z parafii, który w chwili, kiedyśmy przyszli, tak perorował:

– Mój synu, mój drogi synu, chodzi o twoje zbawienie. Nie możesz przecie, ze spokojnym sumieniem, oczekiwać komety o tej porze. Skazujesz się na potępienie...

.– To moja sprawa – odrzekł Kodindo.

– Co powiesz Brahmie, kiedy zjawisz się przed jego obliczem? – pytał bramin.

– Księżę proboszczu – powiedział Kodindo, nie odrywając oka od lunety – odpowiem mu, że tak jak twoją powinnością jest udzielanie mi dobrych rad za moje pieniądze, tak jak powinnością imć aptekarza jest zachwalanie skuteczności letniej wody, a powinnością medyka badanie mego pulsę bez znajomości rzeczy – tak moją powinnością jest czekanie na kometę.

Na próżno go molestowano: nie dał się przekonać. Wciąż obserwował niebo z heroiczną odwagą, aż w końcu umarł na dachu, z lewą dłonią na lewym oku, z prawą na rurze teleskopu i prawym okiem przywartym do okularu – pomiędzy synem, który mu krzyczał, że popełnił był błąd w obliczeniach, aptekarzem, który mu ordynował leki, medykiem, który orzekał, kręcąc głową, że nic się już nie da zrobić, i proboszczem, który mówił: "Mój synu, uczyni akt skruchy i poleć swą duszę Brahmie."

– Oto, co się zowie – rzekł Mangogul – śmierć na łożu chwały.

– Pozwólmy spoczywać w pokoju biednemu Kodindo – powiedziała sułtanka – i przejdźmy do jakiej radośniejszej materii.

I zaraz zwróciła się do Selima w tych słowach:

– Panie, w twoim wieku, z twym zamiłowaniem do amatorów, na dworze, który hołdował uciechom, z dowcipem, talentami i urodą, jakie posiadasz, nie dziwota, że stałeś się przedmiotem pochwał wielu klejnotów. Podejrzewam nawet, że nie zdradziły wszystkiego, co wiedzą o twych zaletach. Nie proszę, byś nam wyjawiał owe sekreta; możesz mieć słuszne powody, by je zachować dla siebie. Wszelako po tylu przygodach, które ci przypisują klejnocie opowieści, musiałeś dobrze poznać kobiety; jest to chyba rzecz, do której otwarcie możesz się przyznać.

– Ten komplement, pani – odparł Selim – byłby pochlebiał mej miłości własnej, gdybym go usłyszał w wieku dwudziestu lat Ale jestem człekiem doświadczonym; i jednym z pierwszych wniosków, jakie z tego doświadczenia wysnułem, był taki oto, że im więcej się praktykuje na tym polu, tym mniejszą ma się wiedzę. Ja miałbym znać kobiety! Mogę co najwyżej rzec, iż długo były przedmiotem moich studiów.

– Cóż więc o nich myślisz? – spytała faworyta.

– Pani – odrzekł Selim – uważam je wszystkie za nader godne szacunku, cokolwiek by rozgłaszały ich klejnoty.

– Doprawdy, mój drogi – powiedział sułtan – powinienes być klejnotem; nie potrzebowałbyś kagańca.

– Selimie – rzekła sułtanka – porzuć ów satyryczny ton i mów nam prawdę.  
–Lecz jeśli tak zrobię – odpowiedział dworzanin – mogłyby się wkraść do mej opowieści jakieś niepochlebne o damach uwagi. Nie każ mi, pani, obrażać płci, która mnie zawsze dobrze traktowała i którą wielbię...

– Ech, ciągle to uwielbienie! – przerwała Mirzoza. – Szczytem złośliwości jest dla mnie silenie się na ów słodki ton, jaki przybierają czasem mężczyźni.  
I myśląc, że to przez wzgląd na nią Selim wzbrania się mówić prawdę, dodała:  
–Niechaj moja obecność nie napawa cię lękiem. Chcemy usłyszeć coś zabawnego. Daję ci słowo honoru, że odniosę do siebie samej wszystko, co powiesz pochlebnego o mojej płci, całą zaś resztę: do innych kobiet. Mówisz więc, że poddawałeś niewiasty długim studiom. Opowiedz nam więc przebieg tej nauki. Musiałeś być świetnym adeptem, jeśli sądzić z wyników, które znamy, a można przypuszczać, iż te, których nie znamy, potwierdzą tę renomę.

Stary dworzanin uległ wreszcie namowom i zaczął tak:  
–Klejnoty wiele o mnie mówiły, przyznaję, lecz nie powiedziały wszystkiego. Te, które by mogły doprowadzić do końca moją opowieść albo nie żyją, albo żyją w innych krajach; te zaś, które ją rozpoczęły, ledwie dotknęły tej materii. Dochowałem dotąd niewzruszenie tajemnicy, którą im przyrzekłem, chociaż to ja miałem więcej powodów niż

one, żeby przemówić. Ale skoro przerwały milczenie, wydaje mi się, że i ja jestem zwolniony z przestrzegania sekretu.

Urodziłem się z ognistym temperamentem, toteż gdy tylko poznałem, jakim zjawiskiem jest piękna kobieta, natychmiast je pokochałem. Miałem guwernantki, których nie znosiłem, natomiast bardzo polubiłem towarzystwo pokojowych mojej matki. Były w większości młode i ładne; rozmawiały ze sobą, ubierały się i rozbierały przy mnie bez żadnej ostrożności i zachęcały wręcz do wszelkich pieszczot; ja zaś, z natury skłonny do uciech, korzystałem z każdej okazji. Posiadając już pewną wiedzę, przeszedłem w ręce mężczyzn. Bóg jeden wie, w jakiej mierze zdążyłem ją osiąść, gdy kazano mi czytać starożytnych pisarzy; nauczyciele, którzy mi tłumaczyli pewne ustępy z tych dzieł, nie pojmowali chyba sami ich sensu. Paziowie mego ojca nauczyli mnie kilku męskich sekretów, zaś lektura Luizy<sup>58</sup>, którą mi pożyczyli, natchnęła mnie wielką ochotą, by kształcić się dalej. Miałem wówczas czternaście lat.

Przyglądałem się wszystkim kobietom, które odwiedzały nasz dom, i szukałem tej, do której mógłbym zwrócić pierwsze zaloty. Wszystkie jednak wydały mi się zdadne do pozbawienia mnie niewinności, co mnie krępowało. Mój wybór padł na jedną z mych kuzynek, bo łatwiej mi było rzecz rozpocząć z kimś, kogo znałem i więcej czułem w sobie odwagi wobec osoby w moim wieku niż wobec innych. Miała na imię Emilia. Oboje byliśmy młodzi. Wydała mi się ładna, ja się jej spo-

dobąłem. Nie była wybredna, ja byłem niecierpliwy: skwapliwie chciałem poszerzyć swą wiedzę, a i ona nie kryła ciekawości. Często stawialiśmy sobie pytania tyleż naiwne co dosadne. Pewnego dnia zmyliła czujność guwernantek i poznaliśmy to, co chcieliśmy poznać. Ach, jakże wspaniałą nauczycielką jest natura! Rychło wskazała nam drogę do rozkoszy i poddaliśmy się jej wezwaniu, nie przeczuwając skutków, a przeto nie mogąc im zapobiec. Emilia zaczęła cierpieć na przypadłości, których nie umiała ukryć, tym bardziej że nie podejrzewała ich przyczyny. Matka wzięła ją na spytki, wydobyła od niej sekret o naszym związku i powiadomiła o wszystkim mego ojca. Ten czynił mi wymówki, ale tonem, w którym nie brakło zadowolenia. Postanowiono natychmiast, że wyruszę w podróż. Wyjechałem z wychowawcą, któremu polecono czuwać nad moim sprawowaniem, nie krępując go wszakże zanadto. W pięć miesięcy potem dowiedziałem się z gazety, że Emilia umarła na ospę, zaś z listu mego ojca, iż to skutki naszej miłości kosztowały ją życie. Ów owoc mego pierwszego związku służy chwalebnie w armii sułtańskiej: wspierałem go zawsze swymi wpływami i zna mnie ciągle jako swego protektora.

Byliśmy w Tunisie, gdy dostałem wiadomość o jego narodzinach i o śmierci jego matki. Bardzo mnie to obeszło i myślę, że nie dałbym się pocieszyć, gdyby nie przygoda, w jaką się wdałem z żoną pewnego korsarza, która nie pozwoliła mi zbyt długo rozpaczać. Moja Tunezyjka nie lękała się niczego, ja zaś byłem szalony i codziennie, za

pomocą sznurowej drabinki, którą mi rzucała, przechodziłem z naszego domu na jej taras, a stamtąd do pokoju, gdzie doskonaliła mnie w miłosnym rzemiośle. Albowiem od Emilii otrzymałem jeno pierwsze lekcje. Jej mąż wrócił nagle właśnie wtedy, gdy mój wychowawca, otrzymawszy widać właściwe instrukcje, kazał mi pospiesznie jechać do Europy. Wsiadłem tedy na statek, który płynął do Lizbony, pożegnawszy się wprzód czule, i to nie raz, z Elwirą, która podarowała mi ten oto diament.

Nasz statek był pełen towarów, ale żona kapitana wydała mi się najcenniejszym z nich. Miała zaledwie dwadzieścia lat. Jej mąż był o nią zazdrosny jak tygrys, i nie całkiem bez powodu. Rychło wszyscy troje pojęliśmy, jak rzeczy się mają: dona Velina zrozumiała, że mi się podoba, ja zrozumiałem, że nie jestem jej obojętny, a jej małżonek rozumiał, że nam przeszkadza. Marynarz postanowił nie spuszczać nas z oka przez całą drogę do Lizbony. Czytałem w oczach jego uroczej żony, z jakim gniewem przyjmowała tę gorliwość, ona widziała w moich to samo zniecierpliwienie, zaś mąż doskonale wiedział, o co chodzi. Przez całe dwa dni cierpieliśmy strasznie z wzajemnej ochoty i pewnie byśmy od tego umarli, gdyby niebiosy nie przyszły nam z pomocą, tak jak zawsze pomagają udręczonym duszom. Ledwie przepłynęliśmy Cieśninę Gibraltarską, gdy zerwała się gwałtowna burza. Gdybym ci nie opowiadał, pani, prawdziwej historii, nie omieszkałbym mówić tak, by wichry gwizdały ci w uszach, by pioruny grzmiały ci nad

głową, byś widziała, jak błyskawice rozzdzierają przestworza, a fale sięgają nieba, słowem opisałbym ci tak straszną burzę, jakiej nigdy nie spotkałaś w powieściach. Powiem ci zaś tylko to, że krzyki majtków zmusiły kapitana do opuszczenia kajuty, co sprawiło, iż chcąc zapobiec jednemu niebezpieczeństwu, naraził się na inne. Wyszedł wraz z moim wychowawcą, ja zaś rzuciłem się bez wahania w ramiona mojej pięknej Portugalki, zapominając bez reszty o morzu, sztormie i burzy, nie dbając o to, że niesie nas kruchy statek, wydany całkiem na pastwę wrogiego żywiołu. Reszta podróży upłynęła szybko i domyślasz się, pani, że przy takiej pogodzie musiałem się spieszyć, by zobaczyć dużo w krótkim czasie. Zawinęliśmy do Kadyksu, gdzie rozstałem się z signorą, obiecując jej spotkanie w Lizbonie, lecz nie tak postanowił mój mentor, który zamierzał jechać prosto do Madrytu.

Hiszpanki są lepiej pilnowane, ale i bardziej namiętne niż nasze kobiety. Zabiegi miłosne odbywają się tam za pośrednictwem rodzaju ambasadorów, których zadanie polega na szacowaniu przyjezdnych, czynieniu im propozycji, prowadzeniu ich tam, gdzie trzeba, i odprowadzaniu, natomiast rola damy sprowadza się do obdarzania szczęściem. Dzięki okolicznościom nie musiałem się poddać temu ceremoniałowi. Oto na tronie królestwa zaszła wielka zmiana: zasiadł na nim francuski książę krwi<sup>59</sup> i jego przyjazd oraz koronacja stały się okazją do uroczystości i zabaw. Zjawiłem się wówczas na dworze i na jednym z bali podeszła do mnie jakaś osoba. Zaproponowała spotkanie na

następny wieczór; zgodziłem się i nazajutrz podążyłem do małego domku, gdzie natrafiłem tylko na człowieka w masce, owiniętego w płaszcz aż po nos: wręczył mi bilecik, w którym dona Oropeza odkładała spotkanie do następnego dnia, o tej samej porze. Stawiłem się więc ponownie; wprowadzono mnie do komnaty urządzonej z niejakim zbytkiem i oświetlonej blaskiem świec. Moja bogini nie kazała na siebie czekać: weszła zaraz po mnie i rzuciła mi się w ramiona, nie mówiąc ani słowa i nie zdejmując maski. Czy była ładna? Brzydka? Nie miałem pojęcia. Zauważyłem tylko, już na sofie, do której mnie pociągnęła, że jest młoda, pysznie zbudowana i że lubi miłosne uciechy. Kiedy już była syta moich pochwał, zdjęła wreszcie maskę i pokazała mi oryginał portretu, który widzi pani w tej oto tabakierce.

Mówiąc to, otworzył i pokazał faworycie złote puzderko wspaniałej roboty, wysadzane kamieniami.

– Dar zaiste wytworny! – powiedział Mangogul.

--Najbardziej podoba mi się portret – rzekła faworyta. – Co za oczy! Co za usta! Co za szyja! Lecz czy podobizna nie za bardzo pochlebiona?

– Jest tak wierna – odparł Selim – że zostałem pewnie u boku Oropezy w Madiocie, gdyby jej mąż, powiadomiony o naszym związku, nie zakłócił go groźbami. Kochałem Oropezę, lecz jeszcze bardziej życie. Mój wychowawca również był zdania, iż nie warto narażać się na ciosy sztyletu męża dla kilku miesięcy zażywania przyjemności z żoną.

Napisałem tedy do pięknej Hiszpanki wielce wzruszający list pożegnalny, do którego znalazłem wzór w jakiejś tamtejszej powieści, i wyjechałem do Francji.

Monarcha, który panował wówczas we Francji, był dziadem króla Hiszpanii. Jego dwór uchodził słusznie w Europie za najświetniejszy, najbardziej wykwintny, najbardziej oddany galanterii. Zjawiłem się na nim jako całkiem nowy fenomen.

–Młody pan z Konga! mówiła piękna markiza. – To naprawdę zabawne! Mówią, że ludzie stamtąd są więcej warci od naszych. Zdaje mi się, że Kongo leży niedaleko od Maroka.

Urządzano kolacje na moją cześć. I nawet jeśli moje słowa nie grzeszyły rozsądkiem, uważano, iż mówię z zachwycającym polotem. Oburzano się też na tych, którzy zaszczytli mnie podejrzeniem, że w ogóle nie mam rozumu.

–On jest czarujący – mówiła z uczuciem inna dama dworu. – Toż to zbrodnia pozwolić, żeby tak urodziwa twarz jak ta wracała do okropnego kraju, gdzie kobiety są pilnowane przez mężczyzn, co mężczyznami być przestali. Czy to prawda, panie? Mówi się, że oni nic nie mają; musi to mężczyznę bardzo szpecić...

– Ależ – dorzuciła inna – trzeba tu zatrzymać tego dużego chłopca. Jest dobrego rodu; w ostateczności zrobiłoby się zeń kawalera maltańskiego. Ja w każdym razie zobowiązuję się znaleźć dla niego zajęcie; a jeśli trzeba, księżna Wiktoria, moja stara przyjaciółka, wstawi się za nim u króla.

Wkrótce otrzymałem dowody ich niewątpliwej

przychylności. Sprawilem, że markiza mogła się przekonać o talentach mieszkańców Maroka i Konga. Uznałem, że zajęcie, przyrzeczone mi przez księżną i jej przyjaciółkę, jest zbyt trudne, więc pozbyłem się go. Wówczas to nauczyłem się budować piękną miłość na dwadzieścia cztery godziny. Przez pół roku krążyłem w tym wirze, gdzie początek jednej przygody nie czekał końca innej. Jedyne, czego chciano, to przyjemności: jeśli się długo nie zjawiała lub jeśli już nasyciła – ruszono w pościg za nową.

– Co mówisz, Selimie? – przerwała sułtanka. – Zatem przystojność jest czymś nieznanym w tych krainach?

– Wybacz, pani – odrzekł stary dworzanin. – Wszyscy mają na ustach to słowo, lecz ani Francuzki, ani ich sąsiadki nie są niewolnicami rzeczy, którą ono oznacza.

– Jakie sąsiadki? – spytała Mirzoza.

– Angielki. To kobiety na pozór zimne i wyniosłe, ale naprawdę porywcze, lubieżne i mściwe. Mają mniej polotu i więcej rozsądku niż Francuzki; te lubią żargon sentymentów, Angielki zaś wolą język rozkoszy. Ale w Londynie, tak jak w Paryżu, ludzie raz po raz łączą się z sobą i rozstają, znów zadzierzgają miłosne więzy, by znów się rozstać. Zacząłem od córki lorda biskupa (to rodzaj braminów, którzy nie muszą przestrzegać celibatu), po czym zawojowałem żonę pewnego baroneta: podczas gdy on walczył w parlamencie o interesy narodu przeciw zakusom dworu, my, jego żona i ja, wiedliśmy w jego własnym domu dysputę w cał-

kiem innej materii. Ale obrady parlamentu się skończyły i pani była zmuszona podążyć za swym baronetem do jego włości. Pociężyłem się tedy żoną pułkownika, którego regiment stacjonował na wybrzeżu. Potem przyjęła moje służby małżonka lorda burmistrza. Co za kobieta! Nigdy bym już pewnie nie ujrzał Konga, gdyby nie przezorność mego opiekuna, który spostrzegł, że marnieję w oczach i uwolnił mnie od tych mąk. Wymyślił jakoweś listy od mojej rodziny, domagające się mego szybkiego powrotu, za czym wsiedliśmy na statek płynący do Holandii. Mieliśmy zamiar przejechać następnie przez Niemcy i udać się do Włoch, gdzie spodziewaliśmy się trafić na liczne okazje, które by nam pozwoliły na powrót do Afiyki.

Holandia była tylko krótkim' etapem w podróży. Niewiele dłużej zabawiliśmy w Niemczech: wszystkie kobiety szlacheckiego rodu podobne są tam do wyniosłych twierdz, które trzeba oblegać z całym obrządkiem. Zdobywa się je przecie w końcu, lecz podbój wymaga tyle zachodu, tylu „jeśli” i „ale”, gdy przychodzi do aktu kapitulacji, że owe zwycięstwa wielce mnie znużyły.

Całe życie będę pamiętał, co mi powiedziała pewna Niemka znamienitego stanu w chwili, gdy miała mnie obdarzyć tym, czego nie odmawiała wielu innym.

– Ach! – zawołała z boleścią. – Cóż by rzekł mój ojciec, wielki Alziki, gdyby wiedział, że się oddaję małemu Kongijczykowi?

– Nic nie powie, pani – odrzekłem. – Tyle wielkości przeraża mnie, więc wolę odejść.

Uczyniłem rozsądnie. Gdybym skompromitował jej wysokość małością mego stanu, pewnie długo bym to wspominał. To chyba Brahma, który chroni zdrowie krainy, gdzie żyjemy, natchnął mnie w owej ciężkiej chwili.

Włoszki, z którymi potem mieliśmy do czynienia, nie wywyższają się w ten sposób. To z nimi poznałem różne odmiany rozkoszy. Jest w owym wyszukaniu nieco kaprysu i dziwactwa; lecz – wybaczcie panie – właśnie tego trzeba niekiedy, aby się wam podobać. Przywiozłem z Florencji, Wenecji i Rzymu kilka wesołych receptur, nie znanych dotąd pod naszym barbarzyńskim niebem. Chwała za nie należy się Włoszkom, które mnie ich nauczyły.

Spędziłem około czterech lat w Europie i wróciłem przez Egipt do naszego cesarstwa, zdobywszy wiedzę, z jakiej mnie znacie, bogaty zwłaszcza w rzadkie doświadczenia z Italii, które natychmiast rozpowszechniłem.

W tym miejscu afrykański autor powiada, że Selim spostrzegł, iż jego oklepane opowieści o przygodach, które miał w Europie, i o usposobieniu kobiet z krain, które przemierzył, uspiły mocno Mangogula; nie chciał go budzić, więc zbliżył się do faworyty i ciągnął przyciszonym głosem:

– Pani – powiedział – gdybym się nie obawiał, że znużyła cię już relacja, może nazbyt długa, opowiedziałbym ci przygodę, która zapoczątkowała mój pobyt w Paryżu: nie wiem, czemu ją pominąłem. HB

– Opowiadaj, mój drogi – odparła faworyta. – Nasilę uwagę, jak tylko będę umiała, aby ci wynagrodzić brak uwagi sułtana, który śpi.

– Otrzymaliśmy w Madrycie – ciągnął Selim – listy polecające do kilku wielmożów z dworu francuskiego, toteż znaleźliśmy się po przybyciu w najlepszym towarzystwie. Było to w letniej porze, co wieczór więc chodziłem na przechadzkę z moim opiekunem do ogrodów Pałacu Królewskiego. Pewnego dnia podeszło do nas kilku fircy-ków, którzy pokazali nam najładniejsze kobiety i opowiedzieli ich dzieje – prawdziwe lub fałszywe

UH<sup>n\**e*</sup> zapominając swojej w nich roli, jak możesz się pani domyślać. W ogrodzie było już sporo kobiet, a około ósmej zjawily się nowe ich zastępy. Patrząc na ich wspaniałe stroje, drogie kamienie i tłum nadskakujących im mężczyzn, uznałem, że są co najmniej księżnymi. Powiedziałem to jednemu z kawalerów, którzy nam towarzyszyli. Odparł, iż widać po mnie znawcę, i że, jeśli zechcę, mogę wieczerzać tegoż wieczoru z najbardziej powabnymi spośród owych dam. Przyjąłem propozycję, a on natychmiast szepnął coś na ucho dwom lub trzem przyjaciółom; ci wmieszali się w tłum spacerowiczów i wrócili po niecałym kwadransie, aby nam zdać sprawę z pertraktacji. "Panowie –■ powiedzieli – jesteście oczekiwani na kolacji u księżnej Asterii." Ci, którzy nie zostali zaproszeni, oburzali się na to, że tak się nam powiodło. Obeszliśmy ogród jeszcze kilka razy, po czym towarzystwo się rozdzieliło: my wsiedliśmy do karocy, aby jechać po nasze szczęście.

Wysiedliśmy przy małej bramie, u stóp wąskich schodów, po których wspięliśmy się na drugie piętro. Pokoje wydały mi się obszerne i dobrze umeblowane: teraz pewnie nie odniósłbym takiego wrażenia. Przedstawiono mnie pani domu: złożyłem jej najgłębszy ukłon i wygłosiłem komplement takim przepelniony szacunkiem, że niemal zbiło ją to z tropu. Podano do stołu; znalazłem się obok uroczej osobki, która wcale udatnie grała rolę księżnej. Nie wiem doprawdy, jakim cudem ośmieliłem się zakochać: tak się jednak stało.

– Kochałeś więc raz w swoim życiu? – przerwała faworyta.

– O tak, pani! Tak jak kocha się, mając osiemnaście lat: z największą niecierpliwością, by doprowadzić do końca rozpoczętą przygodę. Nie spałem całą noc i o świtaniu jałem pisać do pięknej nieznajomej najbardziej miłosny list pod słońcem. Posłałem go, otrzymałem odpowiedź, a wraz z nią zgodę na spotkanie. Ani ton odpowiedzi, ani przy- stępność damy nie wyprowadziły mnie z błędnego mniemania: pogałem do wskazanego miejsca święcie przekonany, że posiadę żonę lub córkę pierwszego ministra. Moja bogini oczekiwała mnie na wielkiej otomanie. Przypadłem do jej kolan, ująłem jej dłoń i całując ją z najżywszą tkliwością, dziękowałem za łaski, które raczyła mi świadczyć.

– Czy naprawdę pozwalasz, pani – mówiłem – by Selim cię kochał i mówił ci o tym? Czy naprawdę, nie obrażając cię, może żywić najśłodsze nadzieje?

Wyrzekłszy te słowa, ucałowałem jej gors, a

ponieważ leżała, gotowałem się żywo zwieńczyć ów początek sukcesem.

Powstrzymała mnie jednak i rzekła:

– Słuchaj, przyjacielu, jesteś ładnym chłopcem, masz dużo dowcipu, przemawiasz wybornie, ale winienesz mi cztery ludwiki.

– Co mówisz, pani?

" – Mówię, że nic nie zdasz, jeśli nie masz czterech ludwików...

– Jak to, pani? – spytałem zdziwiony. – Tyle tylko jesteś warta? Przyjechałem więc z Konga dla takiej bagatelki?

Za czym szybko poprawiam strój, rzucam się ku schodom i znikam.

– Jak widzisz, pani, na początku mych podbojów brałem aktorki za księżniczki.

– Zdziwiała mnie to niepomiernie – rzekła Mirzoza – bo przecież różnica jest tak wielka!

– Nie ulega wątpliwości – powiedział Selim – że musiały im się wymykać różne grubiaństwa. Ale cóż pani chcesz? Cudzoziemiec, przy tym młody, nie zwraca na to baczniejszej uwagi. Zasłyszałem zresztą w Kongo tyle złośliwych opowieści o swobodzie Europejsek...

Na te słowa Selima Mangogul obudził się.

– Zdaje mi się, niech mnie Bóg skarże – powiedział, ziewając i przecierając oczy – że on jest ciągle w Paryżu. Czy wolno spytać, miły gawędziarzu, kiedy masz zamiar wrócić do Banzy i czy mam jeszcze długo spać? Musisz bowiem wiedzieć, że gdy tylko ktoś zaczyna mówić o podróży w mojej obecności, zaraz napada mnie ziewanie. Nabrałem

tego złego przyzwyczajenia, czytając Taverniera® i jemu podobnych.

– Panie – odparł Selim – już od ponad godziny jestem z powrotem w Banzie.

– Winszuję ci tego – rzekł sułtan, po czym zwrócił się do sułtanki:

–Pani, pora rozpocząć bal. Chodźmy więc, jeśli trudy podróży nie zanadto cię znużyły.

– Księżę, jestem gotowa.

Mangogul i Selim mieli już na sobie domina. Faworyta ubrała się w swoje; sułtan podał jej rękę i przeszli do sali balowej. Tu rozdzielili się i wmieszali w tłum. Selim poszedł w ich ślady i ja również – powiada autor afrykański – chociaż bardziej chciało mi się spać niż patrzeć na tańce.

## RoZDZIAŁ. XLV

### DWUDZIESTA CZWARTA

#### I DWUDZIESTA PIĄTA PRÓBA PIERŚCIENIA

#### O BALU MASKOWYM IO TYM, CO DZIAŁO SIP PO NIM

Klejnoty miasta Banzy ar a wśród nich najbezcenniejsze nie omieszkały przybyć tłumnie tam, gdzie oczekiwały Hich uciechy. Przyjechały w mieszczkańskich karocach, w wynajętych powozach, niektóre przysły nawet piechotą. Nigdy bym nie skończył pisać afrykański autor, którego mam zaszczyt być sługą – gdybym chciał opowiedzieć w szczegółach, jakie psoty płał im Mangogul. W ciągu tej jednej nocy posłużył się swym pierścieniem więcej razy niż przez cały czas od chwili, gdy dostał go od geniusza. Zwracał go to na jedną, to na drugą, często na dwadzieścia naraz: wtedy to robił się niezły harmider. Jeden wołał przenikliwie: "Dalej, skrzypce, grajcie Dzwoneczki z Dunkierki", drugi, zachrypnięty: "Chcę tańczyć sautriota"; trzeci: "A ja trico- teta". Wszystkie zaś domagały się przestarzałych kontredansów, jak bourree, quatre faces, calotine, chaine, mariee, pistolet, pistolet i jeszcze raz pistolet. Przez te krzyki przebijały różne brednie. Z jednej strony słyhać było: "Do czarta z tym niezgułą! Trzeba go posłać do szkoły"; z drugiej: "Czy mam wrócić, nie zakosztowawszy tego po raz pierwszy?"; tu: "Kto opłaci mój powóz?"; tam; "Wymknął mi

się, ale będę szukał dotąd, aż go znajdę"; gdzie indziej: "Do jutra, ale co najmniej dwadzieścia ludwików: bez tego – nic a nic". Zewsząd rozbrzmiewały głosy zdradzające żądzę lub chwalcę się sukcesem.

Pośród tego tumultu jakaś mała mieszcza, młoda i urodziwa, rozpoznała Mangogula, dopadła go, jęła zaczepiać i w końcu sprawiła, że pierścień obrócił się na nią. Natychmiast usłyszano jej klejnot: "Dokąd uciekasz? Zatrzymaj się, piękna maszko. Nie bądź nieczuła na żar, którym pała do cię klejnot." Sułtan, zgorzony tą zuchwałą deklaracją, postanowił ukarać tę, która się na nią odważyła. Zniknął, po czym wybrał spośród swoich strażników takiego, który był mniej więcej jego wzrostu, oddał mu maskę i domino i wydał go na pastwę zaczepki naszej mieszczy; ta, zmylona pozorami, plotła wciąż tysiące bzdur temu, którego brała za Mangogula.

Fałszywy sułtan nie był głupcem. Człowiek ów umiał mówić znakami i jednym z nich zwabił ową piękność w ustronne miejsce, gdzie przez ponad godzinę uważała się za sułtanę faworytę, i Bóg wie, jakie zamysły przychodziły jej do głowy. Ale czar trwał krótko. Kiedy obsypała rzekomego sułtana pieścizotami, zapragnęła, by zdjął maskę. Uczynił to i odsłonił oblicze zbrojne w sumiasty wąs, które nie należało bynajmniej do Mangogula.

–Pfuj! – zakrzyknęła mieszcza. – Pfuj!...

– Ach, moja tuszko – rzekł szwajcar – co tobie być? Ja sącić, szem ci oddał tość topre usługi, szepys nie szalowała znajomości ze mną.

Ale jego bogini nie chciała tracić czasu na odpowiedź: wyrwała mu się z ramion i zniknęła w tłumie.

Klejnoty, które nie dążyły do takich zaszczytów, goniły za samą przyjemnością, aż w końcu wszystkie ruszyły w drogę powrotną do miasta, wielce kontente z wyników podróży.

Kiedy bal się skończył, Mangogul usłyszał, jak dwaj jego oficerowie rozmawiają ze sobą podniesionym głosem.

– To moja kochanka – mówił jeden. – Jestem z nią od roku i nikomu przed tobą nie przyszło do głowy iść ze mną w konkury. Dlaczego sprawiać mi przykrość? Nassesie, drogi przyjacielu, skieruj swe uczucie gdzie indziej: znajdziesz setkę kobiet, co będą się uważały aż za nazbyt szczęśliwe z racji znajomości z tobą.

– Kocham Aminę – odpowiedział Nasses. — Tylko ona mi się podoba. Dała mi pewne nadzieje, musisz się więc pogodzić z tym, że będę na nich polegał.

– Nadzieje! – rzekł Alibeg.

– Tak, nadzieje...

– Do kata! To nieprawda...

– Mówię panu, że to prawda, i żądam natychmiast satysfakcji, skoro zadajesz mi kłamstwo.

W tejże chwili zeszli po wielkich schodach, obaj dobyli bułatów i zakończyliby pewnie spór tragicznie, gdyby sułtan ich nie powstrzymał i nie zabronił się bić, póki nie wysłuchają ich pięknej Heleny.

Posłuchali rozkazu i udali się do Aminy, a Mangogul podążył zaraz za nimi.

– Bał zmęczył mnie okropnie – powiedziała im. – Oczy mi się kleją. Jesteście okrutni, przychodząc w chwili, gdy się kładę. Lecz macie obaj osobliwe miny. Czy można wiedzieć, co was sprowadza?

– Bagatelka – odrzekł Alibeg. – Ten pan się chwali, nawet dość głośno – dodał, wskazując na przyjaciela – że dajesz mu pani jakieś nadzieje. Co na to powiesz?

Amina otwierała już usta, ale w tej samej chwili sułtan obrócił na nią pierścień; zamilkła więc, a za nią odpowiedział klejnot:

– Zdaje mi się, że Nasses się myli. Nie, to nie na niego moja pani patrzy łaskawym okiem. Czyż nie ma on lokaja słusznej postury, który wart jest więcej niż on? Ech, jakże głupi są mężczyźni, sądząc, że klejnoty można zbałamucić splendorem godności, zaszczytów, tytułów, wielkich nazwisk, pustych słów! Każdy ma swoją filozofię: nasza polega na odróżnianiu prawdziwych zalet od urojonych. Niech się pan de Claville nie obraża,<sup>61</sup> ale wie on w tej materii mniej niż my, i zaraz dam wam na to dowód.

Znacie obaj-markizę Bibikozę. Wiecie o jej związku z Kleandorem, o niełasce, w jaką popadła, i o nadzwyczajnej pobożności, jakiej się dzisiaj oddaje. Amina to dobra przyjaciółka: zachowała stosunki, które je łączyły, i nie przestała odwiedzać jej domu, gdzie można spotkać braminów wszelkiej

maści. Pewnego dnia jeden z nich prosił usilnie moją panią, żeby wstawiła się za nim u Bibikozy. ;

– O cóż mam ją prosić? – rzekła mu Amina. – To kobieta o straconej reputacji, niezdolna i dla siebie zyskać cokolwiek. Zaprawdę, byłaby panu wdzięczna, gdybyś zechciał ją traktować jako ważną osobę. Lecz, mój przyjacielu, księżę Kleandor i Mangogul nic już dla niej nie zrobią, choćbyś do upadłego wyczekiwał w przedpokojach...

–Ależ pani – odparł bramin – chodzi o drobiazg, o coś, co zależy bezpośrednio od markizy. Posłuchaj. Zbudowała w swoim pałacu mały minaret, pewnie dla sala. Potrzebny więc jest imam i o to miejsce się ubiegam...

–Co pan mówi! – powiedziała Amina. – Też coś: imam; markizie wystarczy marabut, którego będzie wzywać od czasu do czasu, kiedy będzie padało, albo kiedy zechce odmówić sala przed pójściem do łóżka. Ale imam, zamieszkały, ubierany i żywiony w pałacu oraz pobierający pensję? To niemożliwe u Bibikozy. Wiem, w jakim jest położeniu. Biedaczka nie ma nawet sześciu tysięcy cekinów dochodu. Zali sądzisz, że da z tego dwa tysiące imamowi? Toś dopiero wymyślił!...

– Na Brahmę, bardzo mi przykro z tego powodu – odrzekł święty człowiek. – Wiedz bowiem, pani, że gdybym był jej imamem, rychło stałbym się jej niezbędnym. A kiedy się jest niezbędnym, pieniądze i pensje spadają jak z nieba. Przyjrzyj mi się dobrze; jestem z Monomotapy i znakomicie wykonuję swoje obowiązki.

– Cóż – rzekła Amina przerywanym głosem – może twoje starania nie są beznadziejne. Szkoda, że zalety, o których mówisz, nie są widoczne od razu...

– Ten, kto wstawia się za ludźmi z mego kraju, niczym nie ryzykuje – powiedział przybysz z Monomotapy. – Przekonaj się zresztą sama..."

Co rzekłszy, dał natychmiast Aminie gruntowny dowód tak zadziwiających zalet, że od tej pory straciliście w jej oczach połowę wartości, którą wam przypisywała. Ach, niech żyją monomotapczycy!

Alibegowi i Nassesowi wydłużyły się miny. Zrazu spoglądali na siebie bez słowa, lecz wkrótce, o- chłonawszy ze zdumienia, uściskali się czule i, rzucając na Aminę pełne wzgardy spojrzenia, pospieszyli paść do nóg sułtanowi, chcieli bowiem mu podziękować za to, że wyprowadził ich z błędu co do tej kobiety i że uratował ich życie oraz wzajemną przyjaźń. Zjawili się w chwili, gdy Mangogul, zdążywszy już wrócić do komnat faworyty, opowiadał jej o Aminie. Mirzoza śmiała się z tej historyjki, a jej estyma dla kobiet z dworu i braminów nie wzrosła z tego powodu.

## PRZYGODY SELIMA W BANZIE

Po balu Mangogul poszedł się położyć, zaś faworyta, która nie czuła się senna, kazała wezwać Selima i poprosiła go, by

snuł dalej historię swoich amorów. Selim usłuchał i ciągnął w te słowa:

– Musisz pani wiedzieć, że amory nie wypełniały mi całego czasu. Chwile, w których nie oddawałem się uciechom, poświęcałem na bardziej poważne zajęcia. Intrygi, w które się wdawałem, nie przeszkadzały mi uczyć się arkanów fortyfikacji, jazdy konnej, fechtunku, muzyki i tańca, obserwować obyczaje i sztuki Europejczyków, zgłębiać ich politykę i społeczny porządek. Kiedy wróciłem do Konga, przedstawiono mnie dziadowi sułtana: powierzył mi zaszczytną godność w swoim wojsku. Zjawiłem się na dworze i wkrótce stałem uczestnikiem wszystkich rozrywek księcia Ergeb-zeda, a przeto byłem wmieszany w liczne przygody z pięknymi kobietami. Poznałem kobiety różnych narodowości, różnego wieku i różnej kondycji; spotkałem mało takich, które byłyby odporne, czy dlatego, że olśniła je moja pozycja, czy że lubiły żargon, jakim przemawiałem, czy wreszcie dlatego,

że ujęła je moja powierzchowność. Miałem wówczas dwie cechy, które pozwalają czynić szybkie postępy w miłości: zuchwałość i zarozumiałstwo.

Najpierw poznałem bliżej kobiety wysokiego rodu. Wybierałem je sobie wieczorem u Mani- monbandy – podczas kolacji albo przy karcianym stoliku, spędzałem z nimi noc, po czym nazajutrz przedstawialiśmy się znać. Damy te zajęte były albo zdobywaniem kochanków – nawet zabieraniem ich najlepszym przyjaciółkom – albo pozbywaniem się ich. Gdy zawiązują jaką intrygę, wypatrują już dwóch lub trzech następnych kandydatów, żyjąc w ciągłej obawie, że zostaną bez zajęcia. Znają niezliczoną ilość subtelnych sztuczek, aby przyciągnąć tego, na którego chcą zarzucić sidła, i mają setki szykan w zapasie, aby odstraszyć tego, z którym są związane. Tak zawsze było i tak zawsze będzie. Nie wspomnę nikogo z imienia, ale poznałem na dworze Ergebzeda wszystkie sławne z młodości i urody kobiety, i wszystkie te związki zostały zadziergnięte, zerwane, odnowione i zapomniane w mniej niż pół roku.

Zniechęcony wielkim światem, przenieśliśmy się na jego antypody. Zaczęliśmy przestawać z mieszczkami i okazało się, że są obłudne, nazbyt dumne ze swej urody, że lubią uderzać w nutę honoru i że prześladowają je niemal bez przerwy brutalni i gburowaci mężowie lub nieokrzesani kuzyni, którzy po całych dniach grają rolę zakochanych, co bardzo mi było nie w smak. Nigdy nie sposób było się znaleźć sam na sam; ci grubianie zjawiali się co

chwila, psuli umówione spotkania, wtrącali przy każdej okazji swoje trzy grosze do rozmowy. Pomimo tych przeszkód zdołałem doprowadzić rzecz do końca z pięcioma czy sześcioma z owych skromniś, by potem zostawić je na laurach. W związkach z nimi bawiło mnie to zwłaszcza, że przybierały ton wielkich sentymentów, że domagały się ich od partnera i że mówiły o nich wielce uciesznym językiem. Wreszcie żądały wciąż nowych względów i zabiegów: ich zdaniem kochanek w każdej chwili uchylał ich godności. Głosiły miłość tak nienaganną, że nie sposób było przy niej wytrwać. Najgorsze jednak było to, że bez przerwy miały na ustach moje imię i że niekiedy byłem zmuszony pokazać się z nimi, narażając się na śmieszność z powodu mieszczańskiej miłości. Toteż pewnego dnia uciekłem od sklepików z ulicy Saint-Denis, by nigdy w życiu tam nie powrócić.

Panowała wówczas szaleńcza moda na ustronne domki: wynająłem taki na wschodnim przedmieściu i umieściłem w nim kolejno kilka spośród owych dziewcząt, które czasem chce się widzieć, do których czasem chce się mówić i które odsyła się tam, skąd przyszły, kiedy stają się nużące. Zapraszałem tam przyjaciół i aktorki z opery; bawiliśmy się na wesołych kolacyjkach, które książę Ergebzed zaszczycał niekiedy swoją obecnością. Ach, pani! Miałem doskonałe wina, wyborne likwory i najlepszego kucharza w Kongo.

Nic jednak nie dostarczyło mi takiej rozrywki, jak to, co mi się zdarzyło w oddalonej od stolicy prowincji, gdzie stacjonował mój pułk. Wyruszyłem z

Banzy na jego przegląd: był to jedyny powód, dla którego opuszczałem miasto, i moja podróż trwałaby krótko, gdyby nie szalony zamysł, który mi przyszedł do głowy. Otóż w Baruthi jest klasztor, zamieszkały przez mniszki rzadkiej urody. Byłem młody i gładkolicy; postanowiłem dostać się tam pod postacią wdowy, szukającej schronienia przed niebezpieczeństwami świata. Kazałem sobie sporządzić żeński habit, przebrałem się i stanąłem u klasztornej kraty. Przyjęto mnie serdecznie, pocieszano po stracie męża, za czym uzgodniliśmy koszty utrzymania i znalazłem się w środku. . Pokój, który mi przydzielono, sąsiedował z sypialnią nowicjuszek. Było ich sporo, przeważnie młodych i pełnych świeżości. Ująłem je różnymi grzecznościami i wkrótce stałem się ich przyjaciółką. Nie minął tydzień, a już byłem wprowadzony we wszystkie sprawy małej społeczności; kreślono mi portrety, opowiadano przygody, czyniono wyznania wszelkiej maści, i przekonałem się, że my, ludzie świeccy, wcale nie lepiej szermujemy obmową i oszczerstwem. Przestrzegałem reguły z całą surowością. Szybko nauczyłem się przybierać obłudne miny i ckliwy ton, a dookoła szeptano sobie do ucha, że wspólnota byłaby szczęśliwa, gdybym został zakonnica. Gdy tylko uznałem, że mam już należyłą reputację w tym przybytku, związałem się przyjaźnią z młodą dziewczyną, która świeżo wstąpiła do zakonu. Była to urocza brunetka; nazywała mnie mamusią, ja zaś ją aniołkiem; obsypywała mnie niewinnymi całusami, ja oddawałem jej jak najczulej. Młodość

jest ciekawa wszystkiego: Zirzyfilla co chwila czyniła tematem naszej rozmowy małżeństwo i uciechy, jakich zażywają ze sobą mąż i żona, wciąż chciała wiedzieć coś nowego w tym przedmiocie. Podsyciałem zrećznie jej ciekawość, i tak, od pytania do pytania, doszliśmy w końcu do lekcji praktycznych. Nie była to jedyna nowicjuszka, która z nich korzystała: kilka młodych siostrzyczek również przychodziło się kształcić do mojej celi. A tak umiejętnie wyznaczałem spotkania, dobierałem pory, że miałem czas dla wszystkich i nikt nikomu nie przeszkadzał. Cóż mam ci rzec, pani? Z pobożnej wdowy poczęło się liczne potomstwo, i kiedy skandal, o którym po cichu przebąkiwano, wybuchł w całej okazałości, a rada klasztorna postanowiła zasięgnąć porady medyka, zacząłem przemyśliwać nad ucieczką. I oto pewnej, nocy, kiedy wszyscy spali, wspiąłem się na mury ogrodu, i zniknąłem. Udałem się do wód w Piombino, gdzie medyk wysłał połowę klasztoru, i tam, już w męskim stroju, dokończyłem dzieła, które rozpocząłem we wdowim przebraniu. Czyn ten pamiętają dziś w całym kraju, ale tylko ty, pani, znasz tego, który go dokonał.

— Resztę mojej młodości — dodał Selim — pochłonęły podobne rozrywki: ciągle kobiety, i to wszelkiego autoramentu, niewiele tajemnic, dużo przysiąg, mało szczerości.

— Ale w takim razie nigdy nie kochałeś? — rzekła faworyta.

— Ba! Czy mogłem choć pomyśleć o miłości,

skoro wtedy uganiałem się jeno za przyjemnością, i za tymi, które mogły mi jej dostarczyć?

— Lecz czy czuje się przyjemność, jeśli się nie kocha? — przerwała faworyta. — Czym ona jest, jeśli serce milczy?

Ach, pani! — odparł Selim. — Czyż serce mówi, kiedy ma się osiemnaście lub dwadzieścia lat?

— Lecz wreszcie jaki jest wynik tych wszystkich doświadczeń? Jakże po nich osądzasz kobiety?

— Twierdę, że w większości są pozbawione charakteru i że są pod potężnym wpływem trzech rzeczy: interesu, przyjemności i próżności; że nie ma takiej, którą by nie powodowała jedna z tych skłonności i że te, które się poddają wszystkim trzem, są potworami.

— Pół biedy, gdy w grę wchodzi przyjemność — rzekł Mangogul, który właśnie wszedł. — Choć nie można na tych kobietach polegać, trzeba je usprawiedliwić: kiedy temperament osiągnie pewien stopień, jest niczym rozhukany koń, co ponosi jeźdźca na bezdroża, a prawie wszystkie kobiety siedzą na tym rumaku.

— To pewnie dlatego — powiedział Selim — księżna Menega nazywa kawalera Kaidara swoim wielkim koniuszym.

— ..... Czy jednak jest możebne — rzekła sułtanka do Selima — byś nigdy nie zakosztował związku serc? Zali twoja szczerłość ma służyć tylko zniesławianiu płci, która ci dostarczała rozkoszy — tak jak ty byłeś jej uciechą? Cóż to! W tak wielkiej liczbie

kobiet nie byłoby żadnej, która chciałaby być kochana i która by na to zasługiwała? Trudno to pojąć.

– Ach, pani! – odparł Selim. – Czuję po łatwości, z jaką ci ulegam, że lata nie osłabiły władzy, którą ma nad moim sercem każda kobieta godna miłości. Tak, pani, kochałem jak inni. Chcesz wszystko wiedzieć, a więc powiem ci wszystko. Sama osądzisz, czy wywiązałem się z roli kochanka w należyty sposób.

– Czy są podróże w tej części twojej opowieści? – spytał sułtan.

– Nie, panie – odrzekł Selim.

– Tym lepiej – powiedział Mangogul – bo nie mam najmniejszej ochoty spać.

– Jeśli o mnie chodzi – rzekła faworyta – to Selim pozwoli, że odpocznę przez chwilę.

– Niech sam się też położy – dodał sułtan. – A podczas gdy wy będziecie spać, ja wypytam Cyprię.

– Ależ Wasza Wysokość – powiedziała Mirzoza – chyba nie wiesz, co mówisz: ten klejnot wciągnie cię w historię podróży bez końca.

W tym miejscu afrykański autor powiada, że sułtan, którego uderzyła uwaga Mirzozy, zaopatrzył się w silny środek przeciw senności. Dodaje również, że medyk Mangogula, zaprzyjaźniony z sułtanem, dał mu receptę na to lekarstwo i że stanowi ona wstęp do jego dzieła; z tego wstępu zachowały się tylko trzy ostatnie linijki, które niniejszym przytaczam:

Weź z . .....

Z .....

Z .....

Z Marianny i Wieśniaka po cztery strony. Ze Zbłąkań serca jedną kartkę. Z Wyznań dwadzieścia pięć i pół linii.

## ROZDZIAŁ XLVII

### DWUDZIESTA SZÓSTA

#### PRÓBA PIERŚCIENIA

#### KLEJNOT PODRÓŻNIK

Podczas gdy faworyta i Selim odpoczywali po trudach poprzedniego wieczoru, Mangogul przemierzał ze zdumieniem wspaniałe komnaty Cyprii. Owa kobieta zbiła za pomocą swego klejnotu fortunę, co mogła iść w zawody z fortuną generalnego poborcy. Przeszedłszy długi szereg coraz to bogaciej urządzonych pokojów, dotarł do salonu, gdzie pośród liczego towarzystwa rozpoznał panią domu – po wielkiej ilości brylantów, które ją szpeciły, oraz jej małżonka – po dobroduszości, jaka malowała się na jego twarzy. Po obu stronach fotela Cyprii siedzieli dwaj księżule, jeden pięknoduch i trzech akademicy z Banzy; zaś w głębi sali fruwało dwóch fircyków, mając za towarzysza młodego sędziego, który zadzierał nosa, dmuchał na mankiety, poprawiał bez przerwy, perukę, dotykał szminki i cieszył się, patrząc w lustra, że z różem bardzo mu do twarzy. Z wyjątkiem tych trzech trzpiotów reszta kompanii trwała w głębokim uwielbieniu dla szacownej mumii, która, nieprzyzwoicie rozparta w fotelu, ziewała i mówiła ziewając, osądzała wszystko i źle osądzała wszystko, a na domiar nikt się jej nie sprzeciwiał.

– W jaki sposób – mówił w duchu Mangogul, który nie przemawiał do siebie od dłuższego czasu i męczył się z tej potrzeby niepomiernej – udało się jej okryć hańbą człowieka przyzwoitego rodu, mając tak niewydarzony dowcip i taki wygląd?

Cypria chciała uchodzić za blondynkę. Jej skóra, żółtawa w odcieniu i z czerwonymi plamami, przypominała barwę pstrego tulipana. Miała wyłupiaste oczy, krótki wzrok, grubą talię, długi nos, szerokie wargi, kanciastą twarz, zapadnięte policzki, wąskie czoło, płaski biust, suchą dłoń i chude ramię: takimi to wdziękami oczarowała swego męża. Sułtan zwrócił na nią pierścień i natychmiast usłyszano, jak ktoś skrzeczy. Zebrani sądzili zrazu, że Cypria mówi ustami, że znów zacznie coś osądzać, ale to był jej klejnot, który odezwał się w te słowa:

Oto historia moich podróży.

Urodziłem się w Maroku, w roku 17 000 000 012 i tańczyłem w operze, gdy Mehemet Tripathud, który mnie utrzymywał, stanął na czele poselstwa, które nasz potężny władca wysłał do króla Francji. Pojechałem razem z nim. Rychło powaby francuskich kobiet oddaliły ode mnie kochanka, więc nie mieszkając wziąłem odwet. Dworzanie, spragnieni nowości, chcieli spróbować Marokaneczki: tak zwano moją panią. Potraktowała ich bardzo litościwie i ta uprzejmość przyniosła jej w pół roku dwadzieścia tysięcy talarów w kosztownościach, tyleż samo w pieniądzu, a wraz z tym pałacyk, cały umeblowany. Lecz Francuzi są niestali: wnet moda na mnie minęła. Nie chciałem tracić czasu na uganianie się po prowincji: wielkim talentom

trzeba wielkiej sceny. Rozstałem się z Tripathudem i jałem szukać przeznaczenia w stolicy innego królestwa.

#### Ingerencja Cenzury Obyczajowej - Pornograficzne wyrażenia

Klejnot Cyprii ciągnął swą opowieść na poły po kongijsku, na poły po hiszpańsku. Widocznie nie znał na tyle hiszpańskiego, by móc wyłącznie nim się posługiwać. Żeby się nauczyć języka ljp pisze afrykański autor, który prędzej by się powiesił, niż zrezygnował z powszechnie znanej prawdy – trzeba wiele nim mówić; zaś klejnot Cyprii nie miał prawie czasu na mówienie podczas pobytu" w Madrycie.

– Opuściłem Italię – podjął klejnot – mimo tajemnych przyjemności, do których mnie ciągnęło na tej ziemi. Influxo malo del clima! Y tuve luego la resolucion de ir me a una tierra, donde pudiesse gozar mis fueros sin partir los eon usurpador. Odbylem podróż do Starej Kastylii, gdzie mój konkurent został zmuszony do grania swej zwykłej roli. Ale nie była to dla mnie wystarczająca zemsta. Le impuse la tarea de batter el compas en los bayles che celebrava de dia y de noche: i tak dobrze się wywiązał z tego zadania, że się w końcu pogodziliśmy, i kiedy zjawiliśmy się na dworze madryckim,

byliśmy ze sobą w dobrej komitywie. Al entrar de la ciudad zawarłem znajomość eon un papo venerabile por sus canas. Był to szczęśliwy dla mnie traf, ponieważ ów człek zlitował się nad moją młodością i zdradził mi sekret, owoc sześćdziesięciu lat doświadczeń, para guardar me del mai de que merecie- ron los Franceses ser padónos, por haver sido sus pri- meros pregodes. Korzystając z tej recepty i przestrzegając czystości, do której na próżno usiłowałem przekonać Hiszpanów, ustrzegłem się w Madrycie niemiłych wypadków. Uszczerbku doznała jeno moja próżność. Moja pani ma, jak widzisz, bardzo małą stopę. Esta prenda es el incentivo mas poderoso de una imaginacion castellana. Mała stopa to w Madrycie jakby paszport dla dziewczyny Postanowiłem wreszcie opuścić kraj, w którym zawdzięczałem większość sukcesów nie swoim własnym zaletom. Y me arrime a un definidor muy vir- tuoso que passava a las Indias. Podróżując pod opieką jego wielbności, ujrzałem wreszcie ową ziemię obiecaną, krainę, gdzie szczęśliwy mnich może, nie wywołując oburzenia, trzymać złoto w sakiewce, nosić sztylet za pasem, wozić kochankę na wspólnym siodle. Jakże rozkoszne było życie, które tam pędziłem! Co za noce! Bogowie, co za noce! Hay de mi! Al recordarme de tantos gustos me meo... Algo mas... Yaf ya... Pierdo el senído... Me muero...

Przeżywszy rok w Madrycie i w Indiach, popłynąłem do Konstantynopola. Nie przypadły mi jednak do smaku obyczaje ludu, który trzyma damskie

klejnoty pod kluczem, więc czym prędzej opuściłem kraj, gdzie narażałem się na niewolę. Zdążyłem wszakże poznać muzułmanów na tyle, by się przekonać, że nabrali niemałej ogłady, obcując z Europejczykami: zdało mi się, iż wykazują lekkość Francuza, pasję Anglika, siłę Niemca, cierpliwość Hiszpana i liczne odcienie włoskiej subtelności; Słowem, jeden aga jest wart sam tyle, co pospołu kardynał, czterech diuków, lord, trzech grandów hiszpańskich i dwóch książąt niemieckich.

Z Konstantynopola przybyłem, jak wiecie, na dwór wielkiego Ergebzeda, gdzie najwykwintniejsi z kawalerów korzystali z moich lekcji. A kiedy poczułem, że nie jestem już zdatny do czegokolwiek, zarzuciłem się na tego oto osobnika (tu klejnot wskazał, gestem, który widocznie był jego ulubionym, małżonka Cyprii). Co za upadek!

Afrykański autor kończy ten rozdział ostrzeżeniem dla kobiet, które mogłyby najść pokusa, żeby kazać sobie tłumaczyć ustępy, gdzie klejnot Cyprii przemawia w obcych językach.

Uchybiłbym -fe pisze – powinności historyka, gdybym te fragmenty opuścił. Uchybiłbym również szacunkowi, jaki mam dla pięknej płci, gdybym je zachował nie sprzedając cnotliwych niewiast, że klejnot Cyprii ogromnie popsuł sobie smak w czasie swych podróży i że jego powieści są trzymane w nieskończenie swobodniejszym tonie, niż jakakolwiek z zakazanych książek, które dotąd przeczytały.

Ro ZDZIAŁ XLVIII

CYDALIZA

Mangogul powrócił do faworyty, u której zastał już Selima.

– Cóż więc, księżę – spytała Mirzoza

– czy dobrze się czujesz, wysłuchawszy opowieści o podróżach Cyprii?

– Ani dobrze, ani źle – odpowiedział sułtan – ponieważ nie mogłem wcale ich zrozumieć.

– A czemuż to?

– Ma ona klejnot – rzekł sułtan – prawdziwie poliglotyczny: mówi wszystkimi językami z wyjątkiem mojego. Jako gawędziarz poczyną sobie dość zuchwale, byłby natomiast doskonałym tłumaczem.

– Jakże! – zdziwiła się Mirzoza. – Nie zrozumiałaś nic a nic z jego relacji?

– Tylko to, pani – odparł sułtan – że podróże są jeszcze bardziej zgubne dla skromności kobiet niż dla wiary mężczyzn, i że posiadanie kilku języków nie jest wielką zaletą. Można znać wyśmienicie łacinę, grekę, włoski, angielski i kon-gijski, i mieć przy tym równie mało dowcipu co klejnot. Czy zgadzasz się z tym, pani? A ty, Selimie? Niechże jednak Selim opowie swoją przygodę, byleby nie mówił o podróżach: nużą mnie śmiertelnie.

Selim obiecał sułtanowi, iż rzecz będzie się działa w jednym miejscu, i mówił tak:

– Miałem wtedy około trzydziestu lat. Straciłem właśnie ojca, a przedtem ożeniłem się, żeby nie wygasł nasz ród. Żyłem z żoną tak, jak nakazuje przyzwoitość: okazywałem jej względy, grzeczności, atencje; odnosiliśmy się do siebie niezbyt poufale, ale z całą galanterią. Księżę Ergebzed wstąpił wówczas na tron, a już znacznie wcześniej zyskałem sobie jego przychylność. Zachował ją wobec mnie aż do śmierci, ja zaś starałem się zasłużyć na to wyróżnienie gorliwą i wierną służbą. Kiedy zwolniło się miejsce generalnego inspektora wojsk, ja je otrzymałem, i to stanowisko zmusiło mnie do częstych podróży na pogranicze. u– Do częstych podróży!^^^zawołał sułtan. – Wystarczy jednej, żeby mnie sen zmorzył do jutra. Pomyśl o tym.

– Właśnie w czasie jednej z owych wypraw – ciągnął Selim – poznałem żonę pułkownika spa- hisów imieniem Ostaluk. Był on dzielnym człowiekiem, dobrym oficerem, lecz niezbyt wygodnym mężem, bo zazdrosnym jak tygrys; miał zresztą coś w sobie, co tę zazdrość usprawiedliwiało: był okropnie brzydki.

Cydaliza od niedawna była jego żoną: młoda, żywego usposobienia, ładna, należała do tych rzadkich kobiet, do których od pierwszego wejrzenia czuje się coś więcej niż chęć świadczenia grzeczności, z którymi rozstaje się z żalem, i do których wraca się myślą setki razy do czasu następnego spotkania.

Cydaliza miała trafny osąd, wyrażała się z wdziękiem, ujmowała sposobem prowadzenia rozmowy. Każdy chciał ją ciągle oglądać, a tym bardziej każdy chciał jej słuchać. Mając takie przymioty, musiała wzbudzać silne wrażenia we wszystkich sercach. Sam się o tym przekonałem. Żywiłem dla niej wielki szacunek; wkrótce zacząłem doznawać tkliwszego uczucia, a wreszcie całe moje zachowanie przybrało wyraz prawdziwej miłości. Łatwość, z jaką odnosiłem pierwsze triumfy, zepsuła mnie nieco: kiedy przedsięwziąłem atak na Cydalizę, sądziłem, że niedługo będzie się opierać, i że zaszczycona zalotami mości inspektora generalnego będzie się bronić tylko dla pozoru. Łatwo więc sobie wyobrazić, w jakie zdumienie wprowadziła mnie odpowiedź, której udzieliła na deklarację moich uczuć.

– Panie r– powiedziała – nawet, gdybym była tak zarozumiała, by sądzić, iż zrobiły na tobie wrażenie niejake wdzięki, które u mnie dostrzegasz, byłabym szalona, chcąc z powagą wysłuchiwać słów, którymi mamiles setki innych dam, nim przyszła kolej na mnie. Co znaczy miłość bez szacunku? Niewiele. A waść nie znasz mnie na tyle, aby mnie szanować. Jakkolwiek by się było byстрыm i przenikliwym, nie sposób w dwa dni tak zgłębić charakter kobiety, by móc jej okazywać względy, na jakie zasługuje. Pan inspektor generalny szuka rozrywki i ma rację; zaś Cydaliza również ma rację, nie chcąc być przedmiotem rozrywki dla nikogo.

Daremnie jej przysięgałem, że moja miłość jest najprawdziwsza, że moje szczęście jest w jej rękach

i że jej obojętność zatruje goryczą resztę mego życia.

– Żargon – odpowiadała ś^fawykły żargon! Niechże pan przestanie myśleć o mnie, jeśli pan mniemasz, że jestem na tyle nierozsądna, by uwierzyć wyświechtanym przysięgom. Wszyscy mówią to, co powiedziałeś, i nie myślą tak wcale, wszyscy słuchają i nie dają temu wiary.

Gdybym nie czuł skłonności do Cydalizy, jej surowe słowa uraziłyby mnie śmiertelnie; ale kochałem ją, więc zasmuciły mnie głęboko. Powróciłem na dwór: jej obraz mi towarzyszył. I rozstanie nie tylko nie uśmierzyło namiętności, którą do niej pałałem, ale jeszcze ją podsyciło.

Byłem do tego stopnia zajęty Cydalizą, że setki razy przemyślałem nad tym, czy by jej nie poświęcić urzędu i honorów, - które mnie wiązały z dworem. Jednak niepewność co do wyniku miłosnych przedsięwzięć wciąż mnie powstrzymywała.

Nie mogąc udać się tam, gdzie ją zostawiłem, postanowiłem sprowadzić ją tu, gdzie ja byłem. Skorzystałem z zaufania, jakim zaszczycał mnie Ergebzed: wychwalałem dzielność i zasługi Osta- luka, i w ten sposób został mianowany dowódcą spahisów gwardii, co wyznaczało mu miejsce u boku księcia. Ostaluk pojawił się na dworze, a wraz z nim zjawiła się Cydaliza, która zaraz została obwołana pięknnością dnia.

– Dobrześ zrobił – powiedział sułtan – zachowując urzędy i sprowadzając twą Cydalizę na dwór, albowiem w przeciwnym razie, klnę się na Brahmę, beze mnie byś jechał na tę prowincję.

– Lornetowano ją, bacznie oglądano, nagabywano, lecz daremne to były wysiłki – ciągnął Selim. – Tylko ja cieszyłem się przywilejem spotykania jej codziennie. Im częściej ją widywałem, tym więcej w niej odkrywałem powabów i zalet, i tym bardziej traciłem dla niej głowę. Pomyślałem, że być może szkodzi mi w jej oczach całkiem świeże wspomnienie moich licznych przygód: aby je zatrzeć oraz przekonać ją o szczerości mych uczuć, zacząłem żyć z dala od towarzystwa i widywałem jeno te kobiety, które przypadek kazał mi spotykać u niej. Wydało mi się, że takie zachowanie poruszyło ją i że wyzbywała się nieco swej dawnej sro- gości. Zdwoiłem atencje; błagałem o miłość, zgodzono się tylko darzyć mnie szacunkiem. Powoli Cydaliza zaczęła mnie traktować inaczej niż innych. Zdobyłem jej zaufanie: często zasięgała mojej rady w sprawach domowych, natomiast nie mówiła ani słowa o stanie swego serca. Gdy jej mówiłem o uczuciach, odpowiadała mi maksymami. Byłem zgnębiony. Ta przykra sytuacja trwała dość długo, aż postanowiłem ją zmienić i dowiedzieć się raz na zawsze, jaki mnie czeka los.

– I jak się do tego zabrałeś? – spytała Mirzoza.

– Zaraz się pani dowiesz – odparł Mangogul.

A Selim ciągnął w te słowa:

– Jak powiedziałem, widywałem Cydalizę codziennie. Zacząłem od tego, że przestałem ją odwiedzać tak często. Moje wizyty stawały się coraz rzadsze, aż niemal zupełnie ustały. Jeśli się zdarzyło przypadkiem, że rozmawiałem z nią sam na sam, przemawiałem tak, jak gdyby nigdy się we

ranie nie zapaliła najmniejsza nawet iskierka miłości. Ta zmiana zdziwiła ją. Zaczęła mnie podejrzewać, że wdałem się w jakiś ukryty związek, i pewnego dnia, gdy opowiadałem jej miłosną historię dworu, rzekła mi tak, z roztargnioną miną:

– Selimie, nic mi nie mówisz o sobie. Cudownie opowiadasz o amorach innych, ale jesteś wielce dyskretny, jeśli chodzi o twoje.

– Pani – odparłem – to pewnie dlatego, że w takowe się nie wdałem, albo że uznałem, iż lepiej będzie o nich milczeć.

Dobre sobie – przerwała. – Zali istotnie lepiej jest, byś krył przede mną rzeczy, o których jutro będzie wiedział cały świat?

Niechaj wie, pani – odrzekłem. – Ale przynajmniej nie ode mnie będą pochodzić te wieści,

–Doprawdy powiedziała – paradny pan jesteś z tą dyskrecją. Czy dla kogoś jest sekretem, że masz widoki na jasnowłosą Misis, na małą Zibe- linę, na czarnulkę Seferę?

– Na kogo zechcesz, pani nfi odparłem chłodno.

– W istocie rzekła m- chętnie wierzę, iż nie są jedyne: przez te dwa miesiące, od kiedy zjawiasz się pan jak z łaski, nie tkwiłeś chyba w beczynności. A z owymi damami człek szybko robi postępy.

– Ja miałbym tkwić w beczynności! Wpadłbym w rozpacz, gdyby tak było. Moje serce jest stworzone do kochania, a i nawet do tego, by być kochanym. Wyznam ci zresztą, że jest kochane

właśnie teraz. Ale nie pytaj mnie więcej; być może i tak za dużo powiedziałem.

– Selimie – powiedziała poważnie – nie mam przed tobą tajemnic, więc i ty mieć ich nie powinienes. Rzeknij, proszę: daleko zaszedłeś?

– Prawie do końca powieści.

– Az kim? – spytała pospiesznie.

– Czy znasz Martezę?

– Owszem. To kobieta bardzo powabna.

– Cóż! Kiedy daremnie się okazały moje wysiłki, by spodobać się tobie, ku niej właśnie się zwróciłem. Byłem przedmiotem jej pragnień od pół roku z górą. Starczyło dwóch spotkań, by usunąć wstępne przeszkody; trzecie dopełni mego szczęścia: dzisiaj wieczorem Marteza czeka mnie na kolacji. Jest zabawna, frywolna, nieco uszczypliwa; ale przy tym to najlepsze stworzenie pod słońcem. W pewnych sprawach łatwiej dojść do ładu z tymi miłymi wariatkami niż z nadętymi damami, które...

–: Pozwól jednak, panie – przerwała Cydaliza, spuszczać wzrok – iż, winszując tego wyboru, zwrócę ci uwagę, że Marteza nie jest nowicjuską i że miała przed tobą zastępy kochanków...

– Czy to ważne, pani? – odparłem. – Jeśli Marteza kocha mnie szczerze, będę się uważał za pierwszego. Ale pora mojego spotkania się zbliża, więc pozwolisz...

– Jeszcze słowo. Czy Marteza naprawdę cię kocha?

– Tak sądzę.

– A pan ją kochasz?

– Pani, sama mnie pchnęłaś w ramiona Martezy. Dość, że ci tyle powiem. Miałem już wyjść, kiedy Cydaliza pociągnęła mnie za dolman, po czym szybko się odwróciła.

– Czy pani czegoś sobie ode mnie życzy? Czy ma jakiś rozkaz?

– Nie, panie. Jak to? Pan jeszcze tutaj? Sądziłam, żeś już daleko.

– Wychodzę już, jak najspieszniej.

– Selimie...

– Cydalizo...

– Odchodzisz więc?

– Tak, pani.

– Ach, Selimie, dla kogóż mnie poświęcasz? Czy szacunek Cydalizy nie był więcej wart niż łaski jakiejś Martezy?

– Zapewne, pani. Gdybym czuł do ciebie tylko szacunek.. Aleja cię kochałem...

– To nieprawda! – zakrzyknęła w uniesieniu. – Gdybyś mnie kochał, odgadłbyś moje prawdziwe uczucia, domyśliłbyś się i miał nadzieję, że w końcu twoja wytrwałość zwycięży moją dumę. Lecz znużyłeś się w końcu i zaniechałeś walki o mnie... być może w chwili, gdy...

W tym miejscu Cydaliza przerwała, westchnęła, oczy jej zwilgotniały.

– Mów, pani – powiedziałem – skończ, proszę. Gdyby, mimo srogości, która mnie od ciebie spotkała, moja miłość do cię jeszcze trwała, mogłabyś...

– Nic nie mogę. Nie kochasz mnie już pan, 1 Marteza czeka na ciebie.

– A gdyby Marteza była mi obojętna, i gdyby Cydaliza była mi droższa niż kiedykolwiek, co byś, pani, uczyniła?

– To szaleństwo wysnuwać cokolwiek z przypuszczeń.

– Cydalizo, błagam, odpowiedz mi tak, jakby nie o przypuszczenia chodziło.

Gdyby Cydaliza była wciąż w moich oczach najbardziej godną miłości kobietą pod słońcem, i gdybym nigdy nie miał żadnych widoków na Martezę, pytam po wtóre: co byś uczyniła?

– Czułabym to, niewdzięczniku, co zawsze czułam – odparła w końcu Cydaliza. – Kochałabym cię...

– A Selim cię uwielbia – rzekłem, przypadając do jej kolan i całując jej dłonie, które zraszałem łzami radości.

Cydaliza zaniemówiła. Ta niespodziewana zmiana wprawiła ją w pomieszenie. Skorzystałem z tego zamętu uczuć i nasza zgoda została przypieczętowana dowodami miłości, którym nie mogła się oprzeć.

– A co na to poczciwy Ostaluk? – przerwał Mangogul. – Pewnie pozwolił swojej drogiej połowie traktować wspaniałomyślnie człowieka, któremu zawdzięczał dowództwo spahisów.

– Książę – powiedział Selim – Ostaluk poczuwał się do wdzięczności, dopóki moje starania nie były dobrze przyjmowane. Ale gdy tylko dostąpiłem szczęścia, stał się nieuprzejmy, szorstki i nieznośny dla mnie, a brutalny dla żony. Nie wystarczyło mu przeszkadzać nam swoją obecnością:

m  
^^H

kazał nas śledzić. W końcu zostaliśmy zdradzeni, i Ostaluk, przekonany o swej rzekomej hańbie, miał czelność wyzwać mnie na pojedynek. Biliśmy się w wielkim parku haremu. Zraniłem go dwukrotnie i zmusiłem, by prosił pardonu. Podczas gdy leczył się z ran, ani na chwilę nie rozstawałem się z jego żoną; ale kiedy odzyskał zdrowie, zaczął od tego, że nas rozdzielił i zdręczał Cydalizę. Opisała mi swe nieszczęsne położenie. Zaproponowałem, że ją porwę. Zgodziła się i oto pewnego dnia nasz zazdrośnik, wróciwszy z polowania, na którym towarzyszył sułtanowi, wielce się zdziwił, gdy spostrzegł, że owdowiał. Ostaluk nie dawał upustu próżnym skargom na sprawcę uprowadzenia, lecz od razu przemyślał nad zemstą.

Ukryłem Cydalizę w wiejskim dworcu o dwie mile od Banzy i co drugą noc wymykałem się z miasta, aby udać się do Cisary. Tymczasem Ostaluk wyznaczył nagrodę za głowę niewiernej, przekupił moją służbę i został wprowadzony do mego parku. Pewnego wieczoru zażywałem tam chłodu z Cydalizą. Zapusciliśmy się w ciemną aleję i właśnie miałem obsypać ukochaną-najczulszymi pieśczołami, gdy niewidzialna ręka przebiła jej pierś sztyletem na moich oczach. Była to ręka okrutnego Ostaluka. Ten sam los groził i mnie, lecz uprzedziłem Ostaluka: dobyłem miecza i Cydaliza została pomszczona. Przypadłem do najdroższej; jej serce jeszcze biło. Jąłem pospiesznie nieść ją ku domowi, lecz zanim tam doszedłem, wyzionęła ducha z ustami przywartymi do moich. Kiedy poczułem, że ciało Cydalizy stygnie w

mych ramionach, zacząłem krzyczeć rozziewając. Przybiegli moi ludzie i oderwali mnie od tego strasznego widoku. Wróciłem do Banzy i zamknąłem się w swym pałacu, zrozpaczony śmiercią Cydalizy, czyniąc sobie najboleśniejsze wyrzuty. Kochałem Cydalizę naprawdę i byłem przez nią ogromnie kochany. Miałem dość czasu, aby uzmysłowić sobie rozmiar straty, która mnie dotknęła, i aby nad nią płakać.

– Ale wreszcie – rzekła faworyta – pocieszyłeś się waść?

– No cóż – odparł Selim – długo sądziłem, że nie pocieszę się nigdy. Wtedy to jednak pojąłem, że ból nie może trwać wiecznie.

– Niech mi już nikt nie mówi o mężczyznach

– powiedziała Mirzoza. – Tak właśnie wszyscy postępują. A więc, panie Selimie, ta biedna Cydaliza, której dzieje nas rozczuliły i której nie mogłeś odżałować, była dość niemądra, skoro liczyła na twoje przysięgi. I podczas gdy Brahma zapewne karze ją surowo za jej łatwowierność, ty pędzisz słodkie chwile w ramionach innej.

– Ech, pani – rzekł sułtan – uspokój się, jeśli łaska. Selim znów jest zakochany, więc Cydaliza będzie pomszczona.

– Panie – powiedział Selim – Wasza Wysokość nie ma może dokładnych informacji. Czyż po przygodzie z Cydalizą nie powinienem zrozumieć, że prawdziwa miłość szkodzi memu szczęściu?

– Zapewne powinieneś – przerwała Mirzoza.

– Ale mimo tego przeświadczenia założę się, że w tej chwili kochasz inną, i to jeszcze goręcej...

- Czy goręcej, nie śmiałym twierdzić – odparł Selim. – Od pięciu lat jestem przywiązany, i to całym sercem, do czarującej niewiasty. Nie bez trudu udało mi się sprawić, że mnie wysłuchała, bo zawsze obnosiła się z taką cnotą!... : – Z cnotą! – zawołał sułtan. – Odwagi, przyjacielu, jestem zachwycony, kiedy mi się opowiada o cnotcie jakiejś kobiety z mego dworu.
- Selimie – powiedziała faworyta – mów dalej, proszę.
- I wierz ciągle – dodał sułtan |p| w stałość twojej ukochanej.
- Ach, panie – podjął żywo Selim – Fulwia jest mi wierna.
- Wierna czy nie ^ .odrzekł sułtan – cóż to ma do twego szczęścia? Wierzysz w to, to wystarczy.
- A więc to Fulwię teraz kochasz? – spytała faworyta.
- Tak pani.
- Tym gorzej, mój drogi – powiedział sułtan. – Ja nie dawałbym jej wiary. Zawsze pełno wokół niej braminów, a bramini to straszni ludzie. Poza tym ma małe oczka jak Chinka, zadarty nos i wygląda, jakby była skłonna do uciech. Między nami mówiąc –jak rzeczy się mają?
- Sądzę, księżę, że uciechy nie są jej nienawistne.
- Cóż – rzekł sułtan – wszystko ustępuje przed taką pokusą. Musisz to wiedzieć lepiej niż ja, albo jesteś...
- Mylisz się, panie – rzekła faworyta. –

Można mieć najbystrzejszy umysł pod słońcem i tego nie wiedzieć. Założę się...

– Ciągłe zakłady – przerwał Mangogul. – Już nie mam do tego cierpliwości: te kobiety są niepoprawne. Wygraj, pani, najpierw pałac, a potem się zakładaj.

– Pani – powiedział Selim – czy Fulwia nie mogłaby ci być do czegoś zdatna?

– A do czego?

– Spostrzegłem – odrzekł dworzanin – że klejnoty odzywają się niemal wyłącznie w obecności Jego Wysokości. Przyszło mi na myśl, że geniusz Kukufa, który sprawił tyle dziwów ku zadowoleniu Kanoglu, dziada sułtana, mógł użyć jego wnukowi daru zmuszania klejnotów do mówienia. Lecz, o ile mi wiadomo, klejnot Fulwii nie powiedział jeszcze ani słowa. Czy nie ma sposobu, żeby go wypytać, po to, żebyś ty, pani, zyskała zamek, a ja pewność co do wierności mej kochanki?

– To chyba możliwe – powiedział sułtan. – Co o tym myślisz, pani?

– Och, nie miesza się do tak drażliwych spraw. Selim jest mi zbyt drogim przyjacielem, żebym dla pokusy posiadania zamku narażała go na utratę szczęścia.

– Chyba nie wiesz pani, co mówisz – rzekł sułtan. – Za to, że Fulwia jest cnościwa, Selim dałby sobie rękę uciąć. Powiedział już to, a nie jest to człek, który cofa słowo.

– Istotnie, książę – odparł Selim – i jeśli

Wasza Wysokość wyznaczy mi spotkanie u Fulwii, będę tam z pewnością pierwszy.

– Bacz, na jaką próbę się wystawiasz – powiedziała sułtanka. – Selimie, mój drogi Selimie, nie tak prędko. Choć tak bardzo godzien jesteś miłości...

– Bądź spokojna, pani. Skoro los tak chce, wysłucham Fulwii. W najgorszym razie stracę niewierną.

– I będziesz umierał z żalu, że ją straciłeś – dodała sułtanka.

mm Co za baśnie! – rzekł Mangogul. – Czy masz, pani, Selima za ostatniego durnia? Stracił tkliwą Cydalizę, a przecież tryska życiem. Zali sądzisz naprawdę, że gdyby się przekonał o niewierności Fulwii, umarłby od tego? Zapewniam cię, że będzie żył wiecznie, jeśli tylko takie ciosy miałyby na niego spadać. A więc, Selimie, jutro u Fulwii, nieprawdaż? Dowiesz się później, o której godzinie.

Selim skłonił się, Mangogul wyszedł, a faworyta dalej tłumaczyła staremu dworzaninowi, że gra o zbyt wysoką stawkę. Selim podziękował jej za te dowody przychylności, po czym rozstali się w oczekiwaniu na wielkie wydarzenie.

ROZDZIAŁ XLIX  
DWUDZIESTA SIÓDMA  
PRÓBA PIERŚCIENIA  
FULWIA

JA frykański autor, który przyrzekł już gdzieś nakreślić portret Selima, postajnowił umieścić go tutaj, ja zaś darzę zbyt wielką estymą dzieła starożytności, by twierdzić, że lepiej by było, gdyby znalazł się gdzie indziej. Są – powiada – ludzie, którym ich zalety otwierają wszystkie drzwi; którzy, dzięki wdzięcznej fizjonomii i lekkości dowcipu, są w młodości ulubieńcami kobiet, a za starych lat zyskują szacunek, ponieważ umiając łączyć przyjemność z obowiązkami wyróżnili się w kwiecie wieku zasługami dla państwa; słowem, ludzie, którzy w każdym czasie są ozdobą towarzystwa. Taki był Selim. Choć doszedł już sześćdziesięciu lat i od wczesnego wieku dawał upust skłonności do uciech, krzepkie ciało i dbałość o zdrowie uchroniły go przed zgrzybiałością. Szlachetny wygląd, swobodne maniere, urzekająca mowa, gruntowna znajomość wielkiego świata, oparta na długoletnim doświadczeniu, zręczne podejście do osób płci nadobnej – wszystko to sprawiało, że uważano go na dworze za człowieka, do którego każdy chce być podobny; ale też naśladowanie go na nic się zdawało, gdy brakło przymiotów i talentów, którymi się wyróżniał.

Pytam teraz – pisze dalej afrykański autor – czy ów człek powinien dręczyć się myślami o kochance i zakłócać sobie sen niczym jaki szaleniec? Bo prawdą jest, że tysiące domysłów kłębiło mu się w głowie, i że im bardziej kochał Fulwię, tym bardziej się lękał, że okaże się niewierną. “W jakież to labirynt wkroczyłem! – mówił do siebie. – I po co? Cóż mi z tego, że faworyta wygra pałac? I co za los mnie czeka, jeśli przegra? Lecz dlaczego miałaby przegrać? Zali nie jestem pewien miłości Fulwii?... Przecież tylko mną jest zajęta, i jeśli jej klejnot coś powie, to tylko o mnie... Lecz gdyby zdrajca!... Nie, nie, domyśliłbym się przecież czegoś. Wszak zauważyłbym, że inaczej mnie traktuje: przez pięć lat coś by wyszło na jaw... Wszelako niebezpieczna to próba... Lecz za późno, by się wycofać. Podniosłem kielich do warg i muszę go spełnić, nawet jeśli wszystko się zeń wyleje... Być może wyrok okaże się dla mnie przychylny... Czy naprawdę mogę się spodziewać czegoś pomyślnego? Dlaczegoż innym nie miałby się powieść atak na cnotę, która mnie uległa?... Ach, miła Fulwio, obrażam cię mymi podejrzeniami i zapominam, jakżem się musiał wysilić, żeby cię podbić. Lśni we mnie promyk nadziei: śmiem się spodziewać, iż twój klejnot będzie trwał w uporczywym milczeniu...”

W toku tych właśnie gwałtownych rozmyślań Selim otrzymał liścik sułtana, który zawierał tylko te słowa: “Bądź waszmość w ustalonym miejscu dziś wieczorem, dokładnie o wpół do dwunastej.”

Selim chwycił pióro i odpisał, cały drżąc: "Stawię się, panie." -

Selim spędził resztę dnia tak jak poprzednią noc: rozdarty między nadzieją a obawą. Prawdą jest, że kochankowie mają instynkt: kiedy czują, że pani ich serca jest niewierna, przejmuje ich dreszcz podobny temu, który odczuwają zwierzęta przed zmianą pogody. Podejrzliwy kochanek jest jak kot, którego swędzi ucho przy pochmurnym niebie. Zwierzęta i kochankowie mają to jeszcze ze sobą wspólnego, że zwierzęta domowe tracą ów instynkt i niknie on również u zakochanych po ślubie.

Godziny wlokły się Selimowi niemiłosiernie. Ze sto razy spoglądał na zegar. Wreszcie fatalna godzina nadeszła i dworzanin udał się do swej damy. Było późno, ale jako że wprowadzano go o każdej porze, komnaty Fulwii stały dla niego otworem.

– Nie oczekiwałam cię – powiedziała – i położyłam się do łóżka z migreną, którą zawdzięczam zniecierpliwieniu, o jakie mnie pripraviasz...

– Pani, powinności dobrego tonu, a także ważne sprawy zatrzymały mnie u sułtana i odkąd się z tobą rozstałem, nie miałem ani jednej wolnej chwili.

– Ja zaś – odparła Fulwia – byłam w strasznym humorze. Jakże, nie widzieć cię całe dwa dni!...

– Wiesz przecież – rzekł Selim – do czego

mnie zmusza moje stanowisko, i choć pozycja moźnych zdaje się dobrze ugruntowana...

– Jakże – przerwała Fulwia – zali sułtan obszedł się z tobą chłodno? Czyżby zapomniano twoje zasługi? Selimie, jesteś roztargniony, nie odpowiadasz mi... Ach, jeśli mnie kochasz, jakie znaczenie ma dla twego szczęścia dobre lub złe przyjęcie ze strony twego władcy? Powinieneś szukać tego szczęścia nie w jego oczach, ale w moich i w moich ramionach.

Selim słuchał uważnie tych słów, patrząc w twarz swojej kochanki i starając się dostrzec owo znamię prawdy, co do którego nie można się pomylić i którego nie sposób dobrze udawać; kiedy mówię nie sposób, mam na myśli nas, mężczyzn, albowiem Fulwia umiała się tak doskonale opanować, że Selim ją czynić sobie wyrzuty, że ją podejrzewał. Kiedy nadszedł Mangogul, Fulwia zamilkła, Selim zadrzał, a klejnot odezwał się tak:

– Pani na próżno odbywa pielgrzymki do wszystkich pagod Konga. Nigdy nie będzie miała dzieci, i z powodu, który dobrze znam, jako że jestem jej klejnotem...

Na te słowa twarz Selima pokryła się śmiertelną bladością. Chciał wstać, lecz drżące kolana odmówiły mu posłuszeństwa i opadł z powrotem na fotel Sułtan, niewidzialny, zbliżył się doń i rzekł mu na ucho:

– Czy masz już waszmość dosyć?

– Ach, książę! – zakrzyknął boleśnie Selim. – Czemu nie słuchałem rad Mirzozy i przeczuć mego serca? Moje szczęście zgasło. Wszystko stra

cone. Umrę, jeśli jej klejnot będzie milczał. Ale umrę też, jeśli przemówi. Niech mówi wszakże. Spodziewam się strasznych wieści, lecz mniej się ich obawiam niżli stanu niepewności, w którym tkwię w tej chwili.

Tymczasem pierwszym odruchem Fulwii było zasłonięcie klejnotu dłonią, by zmusić go do milczenia. To, co powiedział do tej pory, nie było jeszcze nazbyt kompromitujące, ale bała się o resztę. Gdy już nabierała pewności siebie z powodu milczenia, jakie zachowywał, sułtan, przynaglany przez Selima, znów zwrócił na nią pierścień. Fulwia zmuszona była odsunąć dłoń i klejnot ciągnął w te słowa:

– Nigdy się to nie uda, jestem zbyt zmęczony. Tak gorliwe wizyty tylu świętych osób sprzeciwiają się moim zamiarom, toteż pani nie będzie miała dzieci. Gdybym był fetowany jeno przez Selima, stałbym się może płodny, ale prowadzę życie galernika. Dzisiaj jeden, jutro drugi – wciąż w pełnym .mozole. Każdy mężczyzna, którego spotka Fulwia, zdaje się jej zawsze tym, którego niebo przeznaczyło, by uwiecznił jej ród. Nikogo nie ominął ten jej kaprys. Cóż za uciążliwy los być klejnotem utytułowanej kobiety, która nie ma spadkobierców! Od dziesięciu lat jestem zdany na łaskę ludzi niegodnych nawet tego, by podnieść na mnie wzrok.

W tym miejscu Mangogul uznał, że Selim dość usłyszał, by się wyleczyć ze swej niepewności. Darował mu więc resztę, odwrócił pierścień i wy

szedł, zostawiając Fulwię na pastwę wyrzutów kochanka.

Zrazu nieszczęsny Selim stał jak skamieniały. Ale gdy gniew przywrócił mu w końcu siły i głos, rzucił wzgardliwe spojrzenie na niewierną i powiedział:

. – Niewdzięcznico, wiarołomna, gdybym cię jeszcze kochał, zemściłbym się. Lecz tak jak niegodna jesteś mego uczucia, niegodna jesteś i mego gniewu. Człowiek taki jak ja! Selim skompromitowany z bandą chłystków...

– Doprawdy – przerwała nagle Fulwia tonem kurtyzany, która zrzuca maskę – warto rzeczywiście oburzać się z powodu takiej bagatelki. Zamiast być mi wdzięcznym, że ukrywałam przed tobą rzeczy, które by cię doprowadziły do rozpacz, wpadasz w gniew, unosisz się, jakby ci zadano hańbę. A z jakich powodów miałabym cię woleć od Se- tona, Rikela, Mollego, Tachmasa, najurodziwszych kawalerów dworu, przed którymi nie trzeba nawet ukrywać przygód, które się ma z innymi? Jesteś już, Selimie, człowiekiem zmęczonym, niedołącznym, już od dawna niezdolnym przywiązać do siebie ładną i bystrą niewiastę. Przyznaj więc, że twoje zarozumiałstwo jest niestosowne, a twój gniew zuchwały. Zresztą możesz, jeśli jesteś niezadowolony, zostawić wolne pole innym, którzy zajmą je z lepszym skutkiem od ciebie.

– Tak właśnie uczynię, i to z największą chęcią – rzekł Selim, przepelniony największym oburzeniem. Po czym wyszedł, zdecydowany więcej nie ujrzeć tej kobiety .

Wrócił do pałacu i zamknął się tam na kilka dni, w gruncie rzeczy nie dlatego, że się gnębił stratą, która go dotknęła, ale bolał nad błędem, w którym tkwił tak długo. To nie jego serce cierpiało, cierpiała próżność. Obawiał się wyrzutów faworyty i żarcików sułtana, toteż unikał obojga.

Był już nawet skłonny porzucić dwór, pogrążyć się w samotności i zakończyć jako filozof życia, którego większą część stracił w stroju dworzanina. Wtedy właśnie Mirzoza, zgadując jego myśli, postanowiła go pocieszyć i wezwawszy do seraju, tak przemówiła:

– Cóż to, biedny Selimie, porzucasz mnie? Bo to nie Fulwię, ale mnie karzesz za jej niewierność. Wszyscyśmy niepokieszeni z powodu tego, co ci się przytrafiło: to doprawdy przykre. Lecz jeśli choć trochę zależy ci na protekcji sułtana i na moim szacunku, dalej będziesz duszą naszego towarzystwa i zapomnisz ową Fulwię, która nigdy nie była godna człowieka takiego jak ty.

– ..... Pani – odpowiedział Selim – mój wiek mi mówi, że czas się usunąć. Dość się napatrzyłem wielkiego świata. Jeszcze przed czterema dniami chwaliłbym się, że go dobrze znam. Ale przygoda z Fulwią wpędza mnie w konfuzję. Kobiety są niepojęte i wszystkie stałyby mi się teraz wstrętne, gdybyś ty, pani, nie należała do płci, której posiadasz wszystkie uroki. Oby Brahma zrządził, byś nigdy nie przejęła jej wad! Żegnaj, pani. Będę teraz w samotności oddawał się pożytecznym rozmyślaniom. Towarzyszyć mi będzie wspomnienie łask, jakimi pani i sułtan mnie zaszczylicie. I jeśli

moje serce może wyrazić jeszcze jakieś życzenie, to jest to życzenie szczęścia dla ciebie i chwały dla niego.

– Selimie – rzekła faworyta – idziesz za podszeptem urazy. Boisz się śmieszności, ale snadniej jej unikniesz pozostając na dworze, niż się oddalając. Skłaniaj się ku filozofii, ileć ci się podoba, ale to nie chwila, by się zamieniać w samotnika: twoje odosobnienie potraktują wszyscy jeno jako kaprys i odruch żalu. Nie jesteś człowiekiem, który nadaje się, by mieszkać na pustyni, a sułtan...

Przybycie Mangogula przerwało wywód faworyty. Powiedziała mu o zamiarze Selima.

– Chyba oszalał! – powiedział sułtan. – Czyżby szpetne postęпки tej małej Fulwii zawróciły mu w głowie?

Potem zwrócił się do Selima:

– Nic z tego, drogi przyjacielu, zostaniesz. Ja potrzebuję twoich rad, a pani twego towarzystwa. Wymagają tego dobro mego państwa i zadowolenie Mirzozy, i tak się stanie.

Selim, wzruszony uczuciami Mangogula i faworyty, ukłonił się z szacunkiem, pozostał na dworze, gdzie był lubiany, wielbiony, wyróżniany i ceniony na miarę łaski, jaką się cieszył u sułtana i Mirzozy.

O CUDOWNYCH ZDARZENIACH Z CZASÓW PANOWANIA KANOCLU.  
DZIADA MANGOGULA

Faworyta była bardzo młoda. Urodziła się pod koniec panowania Ergebzeda i nie miała prawie żadnego wyobrażenia o | dworze Kanogłu. Rzucone przypadkiem słówko sprawiło, że zaciekały ją cuda, jakie geniusz Kukufa uczynił na rzecz tamtego władcy. Nikt zaś nie mógł jej o tym pouczyć dokładniej niż Selim: był ich świadkiem, uczestniczył w nich i znał dogłębnie dzieje owych czasów. Pewnego dnia, gdy byli sam na sam, Mirzoza skierowała rozmowę na te tory i spytała, czy za panowania Kanoglu, tak przecież głośnego, widziano dziwy bardziej zdumiewające niż te, które przykuwają dzisiaj uwagę w Kongo.

– Nie mam powodu, pani – odparł Selim – by przedkładać dawne czasy nad czasy księcia obecnie panującego. Dzieją się teraz wielkie rzeczy, ale to może jeno początek tych, co rozślawią jeszcze bardziej imię Mangogula. Lecz już jestem zbyt sędziwy, by ludzić się, że je zobaczę.

– Mylisz się – rzekła Mirzoza – zyskałeś i zachowasz przydomek wiecznego. Ale opowiedz fii, co widziałeś.

– Pani – mówił Selim – panowanie Kanoglu było długie i nasi poeci nazwali je złotym wiekiem. Ta nazwa przystaje doń z wielu względów. Odznaczył się wieloma osiągnięciami i zwycięstwami. Ale do tej pomyślności wkradły się i niepowodzenia, co pokazuje, że złoto to było czasem niskiej próby. Dwór, który nadaje ton reszcie państwa, hołdował miłosnej galanterii. Sułtan miał kochanki, ambicją możnych było naśladować go, a i lud powoli nabrał takich nawyków. Wystawność strojów, mebli, pojazdów nie znała granic. Wykwintność posiłków stała się sztuką. Grano o grube stawki, zadłużano się, nie płacono długów i trwoniono grosz, dokąd starczyło pieniędzy albo kredytu. Wydano edykty potępiające przepych, ale ich nie stosowano. Zdobyto miasta, podbito prowincje, zaczęto budować pałace, stracono ludzi i pieniądze potrzebne państwu. Lud opiewał zwycięstwo i umierał z głodu. Moźni mieli wspaniałe pałace i cudowne ogrody, a ich ziemie leżały odłogiem. Sto okrętów wojennych uczyniło nas panami morza i postrachem sąsiadów. Ale ktoś poszedł po rozum do głowy i trafnie wyliczył, ile kosztowało państwo utrzymanie tych skorup, toteż mimo protestów innych ministrów, postanowiono zrobić z nich ładny fajerwerk. Skarb królewski był pustą skrzynią, której ta żalosna gospodarka nie mogła napęłnić, zaś złoto i srebro stały się tak rzadkie, że pewnego dnia mennice przerobiono na młyny do mielenia papieru. Na domiar szczęścia Kanoglu dał się przekonać fanatykom, że jest rzeczą najwyższej wagi, by wszyscy poddani byli do niego

podobni: by mieli niebieskie oczy, płaski nos i rude wąsy jak on; za czym wygnał z Konga ponad dwa miliony ludzi, którzy tak nie wyglądali bądź nie godzili się doń upodobnić.<sup>64</sup>

Oto, pani, ów złoty wiek. Oto te stare dobre czasy, słyhać wokół, jak się ich żałuje. Lecz pozwól gadać gawędziarzom. Wierzaj mi, że i my mamy naszych Tureniuszków i Colbertów; że czasy obecne, wszystko rozważywszy, są więcej warte niż przeszłość; i że jeśli lud jest. szczęśliwszy pod panowaniem Mangogula niż za czasów Kanoglu, rządy Jego Wysokości są świetniejsze od rządów jego dziada, albowiem szczęśliwość poddanych jest dokładną miarą wielkości władców. Lecz powróćmy do osobliwości królowania Kanoglu. Zaczę od kukiełek.

Wm Selimie, zwalniam cię z tej historii. Znam ją na pamięć. Mów o czym innym.

- Czy wolno spytać – rzekł dworzanin – skąd pani o tym wie?

- Ależ to jest opisane.

- Tak, pani – powiedział Selim – i to przez ludzi, którzy nic z tego nie zrozumieli.

Popadam zaraz w zły humor, gdy widzę, jak owi osobnicy niskiego stanu zajmują się dziejami monarchów, zbliżywszy się do nich zaledwie przy okazji uroczystego wjazdu do stolicy czy innej publicznej ceremonii. Otóż zdarzyło się, pani – ciągnął Selim – że spędziliśmy noc na balu maskowym w wielkich salonach seraju. Wtenczas zjawił się geniusz Kuku- fa, przysięgły opiekun panującego rodu, i rozkazał nam udać się na spoczynek i spać dwadzieścia

cztery godziny. Posłuchaliśmy go i po tym czasie seraj zmienił się w wielki i wspaniały teatr kukiełek. Na jednym z krańców sali siedział Kanoglu na swoim tronie, a między jego nogami leżał mocno zużyty sznurek. Poruszała nim bez przerwy stara zgrzybiała wróżka i jednym ruchem dłoni wprowadzała w ruch bezlik mniejszych kukiełek, które były powiązane niedostrzegalnymi nićmi z palcami rąk i nóg Kanoglu.<sup>65</sup> Gdy pociągała za sznurek, zaraz seneszał wydawał i pieczętował edykt prowadzący do ruiny albo wygłaszał na cześć wróżki mowę pochwalną, którą dyktował mu jego sekretarz; z kolei minister wojny wysyłał wojsku zapalki, zaś nadintendent finansów budował sobie domy i pozwalał umierać z głodu żołnierzom. Tak też poczynali sobie inne kukiełki.

Ale jeśli niektóre kukiełki wykonywały swe ruchy niechętnie – nie dość wysoko podnosiły ramiona, nie dość nisko zginały kolana a wróżka urywała nici jednym ruchem ręki, i nagle stawały jak sparaliżowane. Nie zapomnę nigdy dwóch dzielnych emirów, do których miała uraz i którzy stracili władzę w rękach do końca życia.

Nici, które wychodziły z wszystkich części ciała Kanoglu, biegły bardzo daleko i poruszały w głębi Konga aż po granice z Monoemugi całe armie kukiełek. Jednym ruchem sznurka pokonywano okop, robiono wyłom w obronie i zmuszano wroga do kapitulacji; ale już drugie pociągnięcie powodowało, że ogień artylerii słabł, że natarcie już nie miało mocy, że gdy wojsko przybywało, by bronić zagrożonych pozycji, wybuchała kłótnia między

dowódcami, i ośómy zaatakowani, zaskoczeni i pobici na głowę.

Te złe nowiny nigdy nie zasmucały Kanoglu. Dowiadywał się o nich wtedy, gdy jego poddani zdążyli już o nich zapomnieć. Wróżka obwieszczała mu je za pomocą kukielek, które miały sznureczek przyczepiony na końcu języka i które mówiły tylko to, co ona im kazała, pod karą utraty mowy. .

Pewnego razu, jako że skłónniśmy do uciech, rozbawiło nas ogromnie zdarzenie, które szczerze oburzyło dewotów. Kobiety jęły robić fikołki i chodzić głową do dołu, stopami do góry i dłońmi obutymi w pantofle.

Nie sposób było nikogo rozpoznać i przyszło studiować nowe fizjonomie. Wiele przestało się podobać, gdy uznano, że są mniej pociągające w nowej postaci. Inne natomiast, których dotąd nie zauważano, zyskały na tym nadzwyczaj. Ponieważ spódnice i suknie padały na oczy, można było pomylić drogę lub się potknąć; dlatego skrócono jedne i rozcięto drugie: stąd wzięły się krótkie spódnice i suknie z otworami. I kiedy kobiety znów stanęły na nogach, zachowały tę część ubioru w tej właśnie postaci. Bo jeśli przyjrzeć się dobrze spódnicom naszych dam, łatwo spostrzec, że nie zostały stworzone po to, by je nosić tak, jak się je nosi dzisiaj.

Każda moda, która ma tylko jeden cel, szybko mija. Aby przetrwała, musi mieć przynajmniej podwójne zastosowanie. Dzięki temu, że biust był

podtrzymywany od góry, znaleziono sposób, by móc go dziś podtrzymywać od dołu.

Dewotki, zaskoczone, że chodzą głową do dołu i nogami w powietrzu, próbowały się najpierw zasłonić rękami, ale w ten sposób traciły równowagę i potykały się. Idąc za radą braminów, omotały więc sobie nogi spódnicami, przywiązując je czarnymi wstążeczkami. Kobiety światowe znalazły ten fortel śmiesznym i stwierdziły, że utrudnia oddychanie i wywołuje wapory. Owo cudowne zdarzenie miało szczęśliwe skutki: doprowadziło do wielu małżeństw, albo do tego, co do nich podobne, oraz spowodowało liczne nawrócenia. Wszystkie bowiem niewiasty, które miały brzydkie tyłeczki, pograżały się bez reszty w dewocji i jęły się przewiązywać czarnymi wstążkami: nie dokonałyby tego nawet cztery misje braminów.

Ledwieśmy przeszli tę próbę, kiedy doszło do nowej: nie tak powszechnej, choć nie mniej pouczającej. Panny w wieku od lat trzynastu do osiemnastu, dziewiętnastu, a nawet po dwudziestce, obudziły się pewnego dnia z palcem uwięzionym – zgadnij, pani, gdzie? Ani w ustach, ani w uchu, ani w nosie: domyślono się, na czym polega ich choroba i szybko jej zaradzono. Od tej pory mamy we zwyczaju wydawać za mąż dziewczynki, które powinny się jeszcze bawić lalkami.

A oto inny dziw. Na dworze Kanoglu pełno było fircyków i sam miałem zaszczyt do nich należeć. Pewnego dnia, kiedy im opowiadałem o młodych Francuzach, spostrzegłem, iż nasze ramiona puchną i wyrastają ponad głowy. Ale to nie wszystko:

w tejże chwili zaczęliśmy się kręcić w kółko na pięcie.

– Jakież sens tych osobliwości? – spytała faworyta.

–Tylko taki, pani – odpowiedział Selim – że pierwsza metamorfoza jest źródłem puszenia się fircyków, tak modnego w latach twego dzieciństwa, druga zaś ironicznych gawędziarzy, których czasy jeszcze nie minęły. Zaczynało się więc, tak jak dziś, jakiś temat, przechodziło do następnego, by skończyć na trzecim, wciąż kręcąc się w kółko, ażeby stał się w miarę niejasny, w miarę nieprzystojny.

Innym razem okazało się, że nikt na dworze prawie nic nie widzi. Trzeba było szukać pomocy u Biona.<sup>66</sup> Łotr sprzedał nam lorgnony po dziesięć cekinów. Nawet po odzyskaniu wzroku wciąż się nimi posługiwaliśmy. Stąd, pani, wzięły się lornetki operowe.

Nie wiem, co w owym czasie kobiety zalotne uczyniły geniuszowi Kukufie, ale zemścił się na nich okrutnie. Pod koniec pewnego roku, podczas którego spędzały wszystkie noce na balach, kolacjach i przy stolikach gry, zaś dnie w karocach lub na schadzках z kochankami, stwierdziły naraz ze zdumieniem, że zbrzydły niepomierne: jedna szerniała jak kret, druga dostała krost; ta zbladła i wychudła, tamtej zżółkła cera i przybyło zmarszczek. Trzeba było zaradzić temu zgubnemu czarowi i nasi drogiści wynaleźli puder, róż, pomady, specjalne wody, chusteczki Wenery, mleczko żywiczne, muszki i setld innych sekretów, których panie użyły, by usunąć brzydotę, lecz które uczy-

nity je odrażającymi. Kukufa trzymał je pod tą klątwą, aż wstawił się za nimi Ergebzed, który lubił piękne damy. Geniusz uczynił, co mógł. Ale czar był tak potężny, że mógł go usunąć tylko częściowo, toteż kobiety na dworze pozostały takie, jakimi je dzisiaj widzisz.

– Czy to samo stało się z mężczyznami? – spytała Mirzoza.

– Nie, pani. Tu zmiany nie były tak trwałe. Napuchłe ramiona powoli oklapły i znów pojawiły się proste sylwetki. A żeby nie wydać się napuszczonym, spuszczone trochę z tonu i zaczęto się mizdrzyć. Natomiast co do kręcenia się w kółko, kręcimy się do dzisiaj. Spróbuj pani wszcząć poważną i rozumną rozmowę z młodym pięknoduchem, a już, jak na komendę, usłyszysz, jak odwraca kota ogonem, by szepnąć w ucho kilka szyderstw komuś, kto go pyta o wojnę czy zdrowie, lub przekazać mu cichcem wieści o kolacji u panny Rabon. Powie dalej, że to cudowna dziewczyna, że wyszła właśnie nowa powieść, której kilka stron przeczytał, i że to naprawdę piękne, piękne bezgranicznie. A potem znów szybciotko spyta jakiej damy, czy widziała nową operę, i odpowie, że panna Dange-ville<sup>67</sup> była zachwycająca.

Te śmieszności wydały się Mirzozie dość zabawne i zapytała Selima, czy sam je miewał.

– Ależ, pani! – odrzekł stary dworak. – Czyż mógłbym ich nie mieć i nie uchodzić za człeka z innego świata? Tak jak inni puszyłem się, przestawałem się puszyć, mizdrzyłem się, używałem lor-gnonu, kręciłem się w kółko, szydziłem w rozmowie.

I mimo wszystkich wysiłków mego rozsądku, byłem jednym z pierwszych, który zaraził się tymi wadami i jednym z ostatnich, który się ich pozbył.

Selim był w tym miejscu swojej opowieści, gdy zjawił się Mangogul.

Afrykański autor nie mówi nam, ani co się z sułtanem działo, ani czym był zajęty w poprzednim rozdziale. Widocznie wolno również władcom Konga robić rzeczy bez znaczenia, mówić głupstwa i być podobnym do innych ludzi, którym większa część życia upływa na błahostkach albo na czynieniu tego, co niewarte jest wzmianki.

ROZDZIAŁ LI  
DWUDZIESTA ÓSMA  
PRÓBA PIERŚCIENIA  
OLIMPIA

Ciesz się Pani – powiedział Mangogul, pojawiając się u faworyty. – Przynoszę ci pomyślną wiadomość. Klejnoty to szaleńcy, którzy nie wiedzą, co mówią. Pierścień Kukufy może je zmusić do mówienia, ale nie do powiedzenia prawdy.

– A jak Wasza Wysokość złapał je na kłamstwie?

– Dowiesz się, pani. Selim przyrzekł opowiedzieć ci wszystkie swoje przygody i nie wątpisz, że dotrzymał słowa. Otóż wysłuchałem właśnie pewnego klejnotu i ten oskarża go o niegodziwość, do której ci się nie przyznał, a której z pewnością nie popełnił, albowiem nie leży w jego charakterze. Gnębić kobietę, wydrzeć jej coś pod groźbą przymusu – czy to podobne do Selima?

– Ach, czemu nie, panie? – odparła faworyta. – Nie ma złościwości, do której Selim nie byłby zdolny, i jeśli przemilczał przygodę, którą pan odkrył, to może dlatego, że pogodził się z owym klejnotem, że są w dobrej komitywie i że uznał, iż może ukryć przede mną mały grzeszek, nie łamiąc przyrzeczenia.

- Fałszywość twoich przypuszczeń – powiedział Mangogul – powinna cię wyleczyć z choroby czynienia ich nieustannie. Nie jest tak, jak ci się wydaje. Nie chodzi o wybryk z wczesnej młodości Selima. Chodzi o jedną z owych kobiet, które wykorzystuje się w minutę i których nie zachowuje się przy sobie.
- Pani rzekł Selim do faworyty – daremnie szukam we wspomnieniach, niczego takiego sobie nie przypominam i mam w tej chwili zupełnie czyste sumienie.
- Olimpia... – powiedział Mangogul.
- Ach, książę – przerwał Selim – już pamiętam. To tak stara historia, że nic dziwnego, iż mi umknęła.
- Olimpia – podjął Mangogul – żona pierwszego skarbnika Hasny, zadurzyła się w młodym oficerze służącym w pułku Selima. Pewnego ranka kochanek przyszedł do niej cały przerażony i obwieścił, że wydano rozkazy, aby wszyscy wojskowi wyruszyli do swoich oddziałów. Tamtego roku mój dziad Kanoglu postanowił wczesniej wszcząć kampanię i jego wspaniałe plany wojenne nie powiodły się tylko dlatego, że zbyt wczesnie je rozgłoszono. Politycy ganili wojenne przygotowania, kobiety je przeklinały. Każdy miał swoje racje: znasz już racje Olimpii. Dama ta postanowiła pójść do Selima i sprawić w miarę możliwości, by Gabalis (tak zwał się jej kochanek) nie wyjechał. Selim uchodził już wtedy za niebezpiecznego zalotnika. Olimpia uznała, że potrzebna jej eskorta, i dwie spośród jej przyjaciółek, równie urodziwe jak ona,

ofiarował)' się za asystę. Selim był w swoim pałacu, kiedy się zjawiły. Przyjął tylko Olimpię – bo tylko ją zaanonsowano – i uczynił to z całą swobodną dwornością, z której jest wam znany. Spytał, czemu zawdzięcza tak uroczą wizytę.

– Panie – rzekła Olimpia – szukam wsparcia dla Gabalisa. Ważkie sprawy czynią konieczną jego obecność w Banzie, przychodzę więc prosić pana o udzielenie mu półrocznego urlopu.

– Półrocznego urlopu, pani? Chyba nie wiesz, co mówisz. Rozkazy sułtana są wyraźne. Jestem zrozpaczony, że nie mogę pozyskać łaski pani: jej pozyskanie oznaczałoby moją niechybną zgubę.

Olimpia nadal nalegała, Selim nadal odmawiał.

– Wezyr przyrzekł mi, że znajdę się w najbliższej promocji. Czy możesz żądać, pani, bym się skompromitował, aby zasłużyć na twoją wdzięczność?

– Och nie, panie. Nie skompromitujesz się wcale i wielce mnie zobowiązesz.

– Nie, to niemożliwe. Może udałaby się pani do wezyra?

– Ach, panie! Do kogóż mnie posyłasz? Ten człowiek nigdy nic nie uczynił dla dam.

– Byłbym szczęśliwy, mogąc oddać pani przysługę, ale daremnie rozmyślałam: widzę tylko jeden sposób.

– Jaki?- – spytała żywo Olimpia.

– Ma pani zamiar – odparł Selim – uczynić Gabalisa szczęśliwym przez pół roku. Czy nie mogłabyś uszczknąć kwadransa z przyjemności, które dlań przeznaczasz?

Olimpia zrozumiała doskonale, o co mu chodzi: zarumieniła się, zaczęła się jąkać, a w końcu zaczęła protestować przeciw tak twardym warunkom.

– Nie mówmy już więc o tym – rzekł pułkownik chłodnym tonem. – Gabalis wyjedzie: rozkazy w służbie władcy muszą być wykonane. Mógłbym może coś dlań uczynić, ale pani nie jesteś gotowa na żadne ustępstwa. Wiedz, że jeśli Gabalis wyjedzie, znaczyć to będzie, że ty tego chcesz.

– Ja! – zawołała z przejęciem Olimpia. – Och, panie! Każ wysłać od razu jego patent gdzie trzeba i niechaj zostanie.

Warunki wstępne umowy zostały ratyfikowane na sofie i pani sądziła już, że wybroniła Gabalisa, gdy zdrajca, który przed tobą stoi, przypomniał sobie coś po namyśle i spytał, kim są dwie kobiety, które jej towarzyszyły i zostały w przyległej komnacie.

– To moje bliskie przyjaciółki – odpowiedziała Olimpia.

– I Gabalisa również – dodał Selim – bez wątpienia. A jeśli tak, nie sądzę, żeby odmówiły wypełnienia dwóch trzecich punktów umowy. Wydaje mi się to sprawiedliwe. Zostawiam pani troskę o skłonienie ich do tego.

– Doprawdy, panie – rzekła Olimpia – dziwne masz pomysły. Zaręczam ci, że te damy nie mają żadnych widoków na Gabalisa. Ale żeby wyciągnąć je i siebie z tej opresji, sama spróbuję.– jeśli sądzisz, że do tego zdarna – wywiązać się z weksła, który one miałyby ci wystawić.

Selim przyjął propozycję. Olimpia dotrzymała słowa. Oto, co Selim, pani, powinien był ci powiedzieć.

– Wybaczam mu – powiedziała faworyta. –I Olimpia nie była godna wzmianki na tyle, żebym miała mu zarzucać, iż ją zapomniał w swojej opowieści. Nie wiem, gdzie wyszukujesz tego rodzaju kobiety. Doprawdy, książę, zachowujesz się jak człowiek, który nie ma najmniejszej ochoty przegrać pałacu.

– Zdaje mi się, pani, że zmieniłaś zdanie od kilku dni – odparł Mangogul. – Racz sobie przypomnieć, jaka miała być pierwsza próba pierścienia, którą ci proponowałem; przegranie pałacu nie tylko ode mnie zależało.

– Tak – podjęła sułtanka – wiem, że mi poprzysiągłeś, iż będę wyłączona spośród mówiących klejnotów, i że od tej pory zwracałeś się do kobiet okrytych złą sławą – do Aminty, Zobejdy, Telidy czy Zuliki – których reputacja jest już niemal ustalona.

– Przyznaję – powiedział Mangogul – że liczenie na cnotę tych klejnotów byłoby śmiesznością. Ale w braku innych, trzeba było się nimi zadowolić. Powiedziałem ci to już i powtarzam: dobre towarzystwo wśród klejnotów można spotkać rzadziej niż przypuszczasz. I jeśli nie zechcesz wygrać zakładu, siebie samą poddając próbie...

– Ja! – przerwała żywo Mirzoza. – Wolę nie mieć w życiu żadnego pałacu, jeśli, aby go zdobyć, trzeba przystać na coś takiego. Mówiący klejnot! Fe! Cóż za nieprzystojność... Jednym słowem,

książę, znasz moje powody, i z całą powagą przypominam groźby, które ci uczyniłam.

– A więc albo nie skarż się z racji moich prób, albo przynajmniej wskaż mi osoby, do których twoim zdaniem winniśmy się zwrócić. Rozpacz mnie ogarnia, gdy myślę, że to nie ma końca: rozpustne klejnoty, rozpustne klejnoty, wciąż i ciągle rozpustne klejnoty.

– Pokładam duże zaufanie w klejnocie Aglai – odparła Mirzoza. – Z niecierpliwością oczekuję, aż upłynie dwutygodniowy termin, o który mnie prosiłeś.

– Pani – rzekł Mangogul – termin upłynął wczoraj. I podczas gdy Selim snuł ci opowieści o dawnym dworze, ja dowiedziałem się od klejnotu Aglai, że kaprysy Celebiego i nalegania Almanzora sprawiły, że dama ta do niczego jest już ci nieprzydatna.

– Och, panie, cóż mi mówisz? – zakrzyknęła faworyta.

– To najprawdziwszy fakt – powiedział sułtan. – Uraczę cię innym razem szczegółami tej przygody. Ale teraz musisz szukać kogo innego, aby wygrać zakład.

– Aglaja, cnościwa Aglaja wyrzekła się swoich zasad! – mówiła zdziwiona faworyta. – Doprawdy nie mogę wyjść ze zdumienia.

– Widzę, żeś cała w konfuzji i nie wiesz, co powiedzieć.

– To nie to – odrzekła faworyta – ale wyznam, że bardzo liczyłam na Aglaję.

– Nie ma już więc co na nią liczyć – powie

dział Mangogul. – Ale powiedz nam tylko, pani: czy to jedyna cnotliwa kobieta, jaką znałaś?

– Nie, księżę, są setki innych kobiet, i to naj- powabniejszych, z których kilka zaraz ci wyliczę. Ręczę jak za siebie samą za..., za...

Tu Mirzoza zatrzymała się nagle, nie mogąc wymienić żadnego imienia. Selim nie mógł się powstrzymać od uśmiechu, a sułtan śmiał się wniebogłosy z zakłopotania faworyty, która znała tyle cnotliwych kobiet, lecz żadnej nie mogła sobie przypomnieć.

Urażona Mirzoza zwróciła się do Selima:

– Ależ Selimie, pomóż mi, ty, który tak się znasz na rodzaju kobiecym. Księżę – dodała, mówiąc do sułtana – wypytaj... właśnie kogo? Pomóżcież mi więc.

– Trzeba by wypytać Mirzozę – powiedział Selim.

– Bardzo źle się zabierasz do prawienia mi uprzejmości – rzekła faworyta. – Nie boję się próby, lecz czuję do niej obrzydzenie. Wymień waść szybko jakąś inną damę, jeśli chcesz, żebym ci przebaczyła.

– Można by sprawdzić – odparł Selim – czy Zaida znalazła w końcu w rzeczywistości idealnego kochanka, którego sobie wyobraziła i do którego porównywała wszystkich, co się do niej zalecali.

– Zaida? – rzekł sułtan. – Przyznam się wam, iż ta kobieta może sprawić, że przegram zakład.

– To zresztą chyba jedyna – dodała faworyta – której reputacji nie skalali pobożna Arsinoe i fircykjoneki.

- To mocny dowód – powiedział Mangogul – ale próba mego pierścienia jest jeszcze mocniejszym. Zwróćmy się więc wprost do jej klejnotu: Pewniejsza to wyrocznia od wyroczni Kalchasa.<sup>69</sup>
- A to dopiero! – zawołała faworyta ze śmiechem. – Umie pan wiersze Racine'a niczym aktor.

## ZIJLEJMAN I ZAIDA

Nie odpowiadając na żart faworyty, Mangogul wyszedł natychmiast i udał się do HIzaidy. Zastał ją w buduarze, przy małym stoliku, na którym zauważył listy, portret i kilka rozrzuconych drobiazgów: wszystko pochodziło od uwielbianego kochanka, jak można było wnosić ze znaczenia, które do tych rzeczy przywiązywała. Pisała i łzy płynące z jej oczu zraszały papier. Całowała w uniesieniu portret, odczytywała listy, pisała kilka słów, znów wracała do portretu, rzucała się na inne drobiazgi i tuliła je do piersi.

Sułtan nie mógł ochłonąć ze zdumienia. Poza faworytą i Zaidą nie znał innych czułych kobiet Sądził, że Mirzoza go kocha; ale czy Zaida nie kochała Zulejmana jeszcze bardziej? I czy tych dwoje kochanków to nie jedyni prawdziwi kochankowie w Kongo?

Łzy, które Zaida wylewała pisząc, nie były łzami smutku. To miłość je wywoływała. I w owej chwili rozkoszne uczucie, które rodziło się z pewności, że tylko ona posiada serce Zulejmana, było jedynym, jakie nią poruszało. "Drogi Zulejmanie – wołała – jakże cię miłuję! Jak jesteś mi drogi! Jak rozkosznie wypełniasz mi czas! W chwilach, gdy Zaida nie ma szczęścia cię oglądać, pisze ci przynajmniej,

że należy tylko do ciebie. Kiedy jest z dala od Zulejmana, miłość do niego jest jedynym tematem, który ją zajmuje."

Zaida była w tym miejscu swych czułych rozmyślań, gdy Mangogul zwrócił na nią pierścień. W tejże chwili usłyszano, jak jej klejnot wzdycha i powtarza pierwsze słowa monologu jego pani:

– Drogi Zulejmanie, jakże cię miłuję! Jak jesteś mi drogi! Jak rozkosznie wypełniasz mi czas!

Serce i klejnot Zaidy zbyt były ze sobą zgodne, by używać odmiennych słów. Zaida była najpierw zaskoczona, lecz tak pewna, iż klejnot nie powie nic, czego Zulejman nie mógłby wysłuchać z przyjemnością, że zapragnęła wręcz, aby się zjawiał w tej właśnie chwili.

Mangogul wznowił swoją próbę i klejnot Zaidy powtórzył cichym i czułym głosem:

– Zulejmanie, drogi Zulejmanie, jakże cię miłuję. Jak jesteś mi drogi!

– Zulejman – zawołał sułtan – to najszcześniejszy śmiertelnik w moim państwie. Opuśćmy to miejsce, w którym obraz szczęścia większego niż moje jawi się moim oczom i wpędza mnie w smutek.

Zaraz też wyszedł i zjawiał się u faworyty z niespokojną i zadumaną miną.

– Co ci jest, panie? – spytała. – Nic mi nie mówisz o Zaidzie...

– Zaida, pani – odpowiedział Mangogul – jest wspaniałą kobietą! Kocha jak nikt nigdy nie kochał.

– Tym gorzej dla niej – rzekła Mirzoza.

– Co mówisz, pani?  
– Mówię – odparła faworyta Sg; że Kermades jest jedną z najbardziej ponurych osób w Kongo, że jedynie interes i autorytet rodziców doprowadziły do tego małżeństwa i że nigdy nie widziano małżonków bardziej nie do pary niż Kermades i Zaida.

- Ale, pani – powiedział Mangogul – przecież ona nie kocha swego męża...
- Kogóż więc?
- Zulejmana.

Żegnajcie więc, porcelano i emaliowana małpko.

! Ach – mówił sobie w duchu Mangogul – ta Zaida mnie zaskoczyła, ciągle o niej myślę, opętała mnie. Koniecznie muszę znów ją zobaczyć." |

Mirzoza przerwała mu te rozmyślenia kilkoma pytaniami, na które odpowiedział monosylabami. Chciała zagrać z nim w pikietę, ale odmówił, skarżył się na ból głowy, którego nie miał, za czym oddalił się do swych komnat, położył bez kolacji – co nie zdarzyło mu się nigdy w życiu – i nie mógł zasnąć. Powaby i tkliwość Zaidy, zalety i szczęście Zulejmana dręczyły go przez całą noc.

Łatwo sobie wyobrazić, że nazajutrz nie miał pilniejszej sprawy niż powrót do Zaidy. Wyszedł z pałacu, nie posyłając po nowiny do Mirzozy, co zdarzyło mu się pierwszy raz. Został Zaidę w tym samym saloniku co poprzednio. Był z nią Zulejman. Trzymał dłonie ukochanej w swoich, wpatrywał się w jej oczy. Zaida, pochylona ku jego kolanom, rzucała Zulejmanowi spojrzenia pełne

najżywszej namiętności. Przez jakiś czas trwali w tym położeniu, lecz nagle, w tej samej chwili ustępując gwałtowności ich żądz, rzucili się sobie w ramiona i tulili się do siebie. Głęboka cisza, która dotąd między nimi panowała, została zakłócona westchnieniami, odgłosem pocałunków i kilkoma bezładnymi słowami, które im się wyrwały: "Kochasz mnie? – Uwielbiam! – Czy będziesz kochał mnie zawsze? ^ Ach, ostatnie tchnienie mego życia będzie dla Zaidy..."

Mangogul, zdjęty smutkiem, wyciągnął się w fotelu i zakrył oczy dłonią. Bał się, że ujrzy rzeczy, które czytelnik może sobie łatwo wyobrazić, ale do których nie doszło... Po kilku chwilach milczenia Zaida powiedziała:

– Ach! Drogi i czuły kochanku, czemuż cię nigdy nie poznałam takim, jaki jesteś w tej chwili! Nie kochałabym cię wcale mniej z tej racji i nie miałabym sobie nic do zarzucenia... Ale ty płaczesz, Zulejmanie. Chodź, drogi i tkliwy kochanku, niechaj obetrę ci łzy... Opuszczasz wzrok, Zulejmanie: cóż ci jest? Spójrz na mnie... Chodź, drogi przyjacielu, chodź: niech cię pocieszę. Przyciśnij wargi do moich, wlej we mnie twą duszę, otrzymaj moją w zamian. Powstrzymaj się... Och, nie! Nie!

Przemowę Zaidy zakończyło gwałtowne westchnienie, po czym zamilkła.

Afrykański autor powiada, że Mangogul żywo się przejął tą sceną, że oparł niejaki nadzieje na niedomodze Zulejmana i że poczynił Zaidzie sekretne propozycje, które odrzuciła i nie chwaliła się tym wcale przed swoim, kochankiem.

## MIŁOŚĆ PLATONICZNA

Czyżby Zaida była kobietą tak wyjątkową? Mirzoza w niczym jej nie ustępuje wdziękami i mam tysiące dowodów jej łtliwości. Chcę być kochany i jestem kochany: skąd pewność, że Zulejman jest bardziej kochany niż ja? Byłem szalony zazdroszcząc szczęścia innemu. Nie, nikt na świecie nie jest szczęśliwszy od Mangogula."

Tak zaczynały się napomnienia, których sułtan sam sobie udzielił. Autor pominął resztę. Poprzestaje tylko na stwierdzeniu, że księżę bardziej je sobie wziął do serca niż napomnienia ministrów i już nie myślał o Zaidzie.

Pewnego wieczoru, gdy sułtan był bardzo kon- tent z siebie lub ze swej kochanki, zaproponował posłać po Selima i pójść na przechadzkę po zagajnikach ogrodów seraju. Były tam pokoje z zieleni, gdzie można było mówić o wszystkim i robić wiele rzeczy. Po drodze sułtan sprowadził rozmowę na powody, dla których się kocha. Mirzoza, przybierając górny ton wielkich zasad i upierając się przy poglądach na cnotę, które z pewnością nie pasowały do jej pozycji, urody ani wieku, utrzymywała, że często kocha się dla samego kochania, i że

związki rozpoczęte zgodnością charakterów, podtrzymywane szacunkiem i umocnione zaufaniem, trwały bardzo długo i w wierności, mimo że kochanek nie pretendował do łask ostatecznych, a kobiety nie brała pokusa, żeby ich udzielić.

–Oto, pani – odparł sułtan – jak bardzo ci zaszkodziło czytanie powieści. Ujrzałaś w nich bohaterów pełnych szacunku i księżniczki cnotliwe aż do głupoty. Nie pomyślałaś, że te postaci istniały tylko w głowie pisarzy. Gdybyś zapytała Selima, który zna lepiej niż ktokolwiek katechizm Cytery, czym jest miłość, założę się, że odpowiedziałby, iż miłość nie jest niczym innym jak...

–Czy założyłbyś się również – przerwała suł- tanka – że delikatność uczuć jest tylko chimera i że bez wyczekiwania na rozkosz nie byłoby na świecie nawet śladu miłości? Doprawdy, musisz, panie, mieć bardzo złą opinię o ludzkim sercu.

–Taką właśnie mam – rzekł Mangogul. – Nasze cnoty nie są bardziej bezinteresowne niż nasze wady. Dzielny wojownik ściga sławę, narażając się na niebezpieczeństwa, tchórz lubi spokój i zwyczajne życie, a kochanek chce zażywać rozkoszy.

Selim, dzielając zdanie sułtana, dodał, że gdyby nie dwie rzeczy, miłość zniknęłaby spośród ludzi i nigdy się już nie pojawiła.

– Jakież to dwie rzeczy? – spytała faworyta.

–Te – odparł Mangogul – które Tan-zaj i Neadarne odzyskali dopiero po zaczarowaniu. Pomyśl, co byłoby, gdybyśmy je stracili, a wraz z nimi wszyscy inni..

– Jak Ift przerwała Mirzoza. – sądźcie, że bez tych bagatelek nie byłoby szacunku ani zaufania między dwiema osobami różnej płci? Czy wtedy kobieta pełna zalet, dowcipna i powabna nie mogłaby już poruszać serca? Czy mężczyzna o wdzięcznym obliczu, dużym talencie i najlepszym charakterze nie znalazłby dla siebie przychylniej słuchaczki?

–Nie, pani – rzekł Mangogul – bo cóż by powiedział, jeśli łaska?

–Mnóstwo różnych miłych rzeczy, których, jak sądzę, zawsze się z przyjemnością wysłuchuje – powiedziała faworyta.

– Zauważ, pani – odrzekł Selim – że te rzeczy mówi się codziennie bez miłości. Nie, pani, stanowczo nie. Mam pełne dowody na to, że nie ma miłości bez dobrze wykształconego ciała. Gdybym był kobietą i zjawił się przede mną Agenor, ów najpiękniejszy chłopiec w Kongo i najsubtelniejszy umysł na dworze, i gdyby poruszał przede mną swą piękną nogą, zwracał na mnie wielkie błękitne oczy, obsypywał najbardziej wyszukаныmi komplementami i okazywał nieprzerwanie wszystkie swoje przymioty, powiedziałbym mu tylko jedno słowo. Gdyby nie odpowiedział akuratnie na to słowo, miałbym dlań wszelki możliwy szacunek, lecz nie mógłbym go pokochać.

– To nie ulega wątpliwości – dorzucił sułtan. – Kiedy się kocha, łatwo się przekonać o prawdzie i użyteczności tego słowa. Ażeby się oświecić, dobrze by ci, pani, zrobiło, gdyby ci powtórzono rozmowę pięknoducha z Banzy z pewnym nauczy-

cieiem. Pojęłabyś od razu, dlaczego pięknoduch, który był zwolennikiem twojej tezy, musiał zrozumieć za jednym zamachem, że się mylił i że jego przeciwnik rozumował, jak na klejnocie rozumowanie przystało. Ale tę historię opowie ci Selim: od niego ją usłyszałem.

Faworyta pomyślała, że historia, której Mangogul nie chciał opowiedzieć, jest wielce sprośna, toteż, nie pytając o nic Selima, weszła w boczną aleję. Szczęśliwie to się składało dla Selima, ponieważ, mimo całej swej bystrości, albo by nie zaspokoił ciekawości faworyty, albo by obraził jej skromność. Ale w zamian, aby zmienić nieco ton rozmowy i tym łacniej pominąć historię nauczyciela, opowiedział jej inną:

– Pani – rozpoczął stary dworzanin – w rozległej krainie, niedaleko źródła Nilu, żył młodzieniec piękny jak Amor. Nie dobiegł jeszcze osiemnastu lat, gdy wszystkie panny toczyły boje o jego serce, i nie było kobiety, która by go nie wzięła za kochanka. Obdarzony z natury tkliwym sercem, zakochał się, gdy tylko był w stanie się zakochać.

Pewnego dnia, gdy był w świątyni na nabożeństwie ku czci Wielkiego Bóstwa, i gdy, wedle ustalonego ceremoniału, wykonywał siedemnaście ukłęknięć przepisanych przez prawo, piękna osóbką, w której się zadurzył, przeszła nie opodal i uśmiechnęła się. Wprawilo go to w takie zakłopotanie, że stracił równowagę, uderzył nosem w ziemię i wprawił w oburzenie sąsiadów, czyniąc przez pomyłkę tylko szesnaście ukłęknięć.

Wielkie Bóstwo, rozgniewane zniewagą i skan-

dałem, ukarało go okrutnie. Hilar – tak się bowiem zwał – biedny Hilar został wydany na pastwę najżarliwszych i najgwałtowniejszych żądź, i pozbawiony w oczywisty sposób możliwości ich zaspokojenia. Równie zdziwiony co zasmucony tak wielką stratą, poradził się Wielkiego Bóstwa.

– Odzyskasz to, co straciłeś – odpowiedziało kichając – wtedy, gdy znajdziesz się w ramionach kobiety, która pokocha cię mimo twego nieszczęścia.

Zarozumiałstwo jest często towarzyszem młodości i urody. Hilar sądził, że jego dowcip i powaby skłonią doń wkrótce jakieś delikatne serce, które\* zadowolając się tym, co ma, pokocha go dla niego samego i sprawi, że przywrócone mu będzie to, co stracił.

Zwrócił się najpierw do tej, która była niewinną przyczyną jego nieszczęścia. Była to młoda żywa osóbka, zalotna i skłonna do uciech. Hilar ją uwielbiał. Uzyskał spotkanie i oto, od zalotów do zalotów, doprowadzono biednego chłopca tam, gdzie nie mógł już nic zrobić. Na próżno się męczył i szukał w ramionach kochanki spełnienia przepowiedni wyroczni: rzecz nie została odży\* skana. Kiedy pani znudziło się czekanie, przyodziła się szybko i pożegnała go. Najgorszym skutkiem tej przygody było to, że owa postrzelona dama opowiedziała ją jednej z przyjaciółek, która, przez dyskrecję, zwierzyła ją trzem czy czterem innym, i że Hilar, jeszcze dwa dni wcześniej ulubieniec wszystkich kobiet, był przez nie pogardzany, pokazywany palcem i uważany za potwora.

Nieszczęsny Hilas, znieważany we własnej ojczyźnie, postanowił udać się w podróż i szukać w dalekich krajach lekarstwa na swoje nieszczęście. Pojechał incognito i bez świty na dwór cesarza Abisynii. Młody cudzoziemiec od razu wszystkim przypadł do gustu: na wypródki starano się pozyskać jego względy. Ale przezorny Hilas nie chciał się wiązać z kimkolwiek, gdyż tym bardziej obawiał się, że nie znajdzie w takim związku tego, czego szukał, im bardziej był pewien, że kobiety, które mu nadskakiwały, nie będą też mieć powodów do zadowolenia. Ale zważcie, jak przenikliwa jest piękna płeć! Chłopiec tak młody, mądry i piękny – toż to cud. I niewiele brakowało, by widząc tyle połączonych zalet, nie odgadnięto jego niedomogi, i żeby w obawie przyznania mu naraz wszystkich przymiotów prawdziwego mężczyzny nie zwątpiono w istnienie właśnie tego, czego mu brakowało.

Zapoznawszy się z mapą kraju, Hilas związał się z młodą damą, która, niegdyś wiedziona niejasnym kaprysem, zamieniła życie zalotnicy na życie dewotki. Krok za krokiem zdobył jej zaufanie, przyjął jej przekonania, naśladował zachowanie, podawał jej ramię w świątyniach i rozmawiał z nią tak często o marności rozkoszy tego świata, że niepostrzeżenie przypomniał jej ich smak. Już ponad miesiąc chodził do meczetów, wysłuchiwał kazań i odwiedzał chorych. W końcu postanowił się wyleczyć – lecz daremny był jego trud. Jego pobożnisa, choć wiedziała wszystko o rzeczach dziejących się w niebie, wiedziała, również dobrze, jak powinien wyglądać człek stąpający po ziemi, i biedny chłó

piec w jednej chwili stracił cały owoc swych cnotliwych praktyk. Pocięciem było mu tylko to, że przyrzeczono mu niewzruszony sekret, który został zachowany. Jedno słowo uczyniłoby jego chorobę nieuleczalną, ale na szczęście nie zostało powiedziane i Hylas związał się z kilkoma innymi pobożnymi niewiastami, które uznał, jedną po drugiej, za lek przepisany przez wyrocznię. Nie odczarowały go jednak, ponieważ zakochały się w nim jeno z myślą o tym, czego mu właśnie brakowało. Nawyk uduchawiania przedmiotów, które posiadały, na nic mu się nie przydał. Owszem, domagały się uczuć, ale takich, które rodzą się z przyjemności.

– Nie jestem więc kochany? – pytał je ze smutkiem.

–• Czy nie wiesz, panie – odpowiadano mu – że trzeba najpierw kogoś poznać, zanim się go pokocha? A przyznasz chyba, że będąc tak upośledzonym, nie jesteś godzien miłości, gdy ci się przyjrzeć.

–Niestety! – mówił. – Owa czysta miłość, o której tyle się opowiada, nigdzie nie istnieje. Owa delikatność uczuć, do której poczuwają się wszyscy mężczyźni i wszystkie kobiety, jest tylko chimerą. Wyrocznia zmyliła mnie, pozostanę taki do końca życia.

Idąc dalej swoją drogą, spotkał kobiety, które chcą utrzymywać tylko związek serc i każdego grubiańskiego zuchwalca nienawidzą niczym ropuchy. Poradzono mu z taką powagą, by nie wtrącał do tego, co mówi, niczego przyziemnego i prostac

kiego, że powziął dużą nadzieję co do swego ozdrowienia. Poszedł za tą radą, lecz stwierdził ze zdziwieniem, że mimo czułych słów, jakie z nim wymieniały, pozostawał wciąż w tym samym stanie. "Być może – mówił do siebie – mam wyzdrowieć inaczej niż mówiąc." Czekał więc na okazję, by zachować się zgodnie z wolą wyroczni. Pojawiła się w końcu. Pewna młoda platonka, która przepadała za spacerami, zawiodła go kiedyś do ustronnego zagajnika. Byli z dala od niedyskretnych oczu i wtedy dama zemdlła. Hylas rzucił się ku niej, nie zaniedbał niczego, by jej pomóc. Lecz wszystkie jego wysiłki pozostawały daremne; piękna zemdlona spostrzegła to równie dobrze jak on.

r-i Ach, panie! rzekła, wrywając mu się z ramión|^|^ Jakim jesteś człowiekiem! Nie zdarzy mi się już nigdy zapuścić w odludne miejsca, gdzie można zemdleć i umrzeć ze sto razy, nie doczekawszy się pomocy.

Inne damy również poznały jego stan, użaliły się nad nim, przysięgły, że tkliwość, jaką dla niego powzięły, nie ucierpi z tego powodu, po czym przestały go widywać.

Oto w jaki sposób nieszczęsny Hylas nie umiał zadowolić tylu kobiet mimo najświetniejszej urody pod słońcem i najsubtelniejszych sentymentów.

– Ależ to głuptak – przerwał sułtan. – Czemu się nie zwrócił do westalek, których pełno w naszych monasterach. Każda by za nim szalała i niechybnie by ozdrowiał po drugiej stronie kraty rozmównicy.

– Panie – odparł Selim – kronika zapewnia,

że spróbował i tej drogi i że raz jeszcze się przekonał, że nikt nigdzie nie chce kochać nadaremno.

–W takim razie – rzekł sułtan – jego choroba zdaje mi się beznadziejną.

–I on też, jak Wasza Wysokość, uznał ją za beznadziejną, toteż, zaprzestawszy prób, które do niczego nie prowadziły, oddał się samotności, uwierzywszy tak znacznej liczbie kobiet, które mu wyraźnie oświadczyły, że jest dla społeczności bezużyteczny.

Już od kilku dni błądził po pustkowiu, gdzie się schronił, gdy dobiegło go w ustronnym miejscu kilka westchnień. Nastawił ucha: ciągle je słyszał. Podeszedł bliżej i ujrzał pannę, piękną jak malowanie, która wspierała głowę na dłoni, miała oczy zalane łzami i spoczywała w pozie smutnej i pełnej zadumy.

–Co pani tu robi? – zapytał. – Czy to pustkowie to właściwe dla pani miejsce?

–Tak – odparła zgnębiona. – Można tutaj przynajmniej zadręczać się do woli.

. – A czymż się pani zadręczasz?

–Och!

–Mów, pani. Co ci jest?

–Nic...

– Jakże: nic?

–Idzie właśnie o to, że nie mam nic – i stąd moja udręka. Dwa lata temu na swoje nieszczęście obraziłam pewne bóstwo, które mi wszystko odebrało. Było to tak niewielkie, że czyniąc tak bóstwo nie dało dowodu wielkiej potęgi. Ale od tej pory – tak powiedziało bóstwo – wszyscy mąż

czyżni będą mnie unikać, aż spotkam takiego, który, poznawszy moje nieszczęście, zwiąże się ze mną i pokocha taką, jakajestem.

–Co słyszę? – zakrzyknął Hilas. – Ten nieszczęśnik, którego widzisz u twych kolan, również nie ma nic. To również jego choroba. On również, jakiś czas temu, miał nieszczęście obrazić bóstwo, które zabrało mu to, co miał; a, nie chwaląc się, było czego żałować. Od tej pory – tak powiedziało bóstwo – wszystkie kobiety będą mnie unikać, aż spotkam taką, która, poznawszy moje nieszczęście, zwiąże się ze mną i pokocha takim, jakim jestem.

–Czy to możliwe? – spytała panna,

–Czy to, co mi rzekłaś, jest prawdą? – spytał Hilas.

–Spójrz – odrzekła.

–Spójrz – powiedział Hilas.

I tak przekonali się wzajemnie ponad wszelką wątpliwość, że oboje są ofiarami boskiego gniewu. Wspólne nieszczęście połączyło ich. Ifiza – takie nosiła imię – była stworzona dla Hilasa. Hilas był stworzony dla niej. Jak możecie się spodziewać, zakochali się w sobie platonicznie, bo nie mogli zakochać się inaczej. Ale też w jednej chwili urok prysnął, oboje wydali okrzyk radości i miłość plato- niczna zniknęła.

Przez kilka miesięcy, które spędzili razem na pustkowiu, mogli się do woli przekonać o zmianie, jaka w nich zaszła. Kiedy je opuszczali, Ifiza była całkiem wyleczona, co zaś do Hilasa, nasz autor powiada, że groził mu nawrót choroby.

TRZYDZIESTA I OSTATNIA  
PRÓBA PIERŚCIENIA  
MIRZOZA

Podczas gdy Mangogul rozmawiał w swych ogrodach z faworytą i Selimem, przyniesiono mu wiadomość o śmierci HSulameka.<sup>70</sup> Sulamek zaczynał jako nauczyciel tańca młodego sultana. Został nim wbrew woli Ergebzeda, albowiem kilka intrygantek, które wyuczył paru śmiałych podskoków, popierało go ze wszystkich sił i działało tak skutecznie, że wybrano go zamiast Marcela i innych preceptorów, choć nie był godzien być ich mistrzem. Miał dowcip skłonny do bagatelek, znał dworski żargon, umiał opowiadać z wdziękiem i bawić dzieci, ale naprawdę nie znał się nic a nic na tańcu w wielkim stylu. Kiedy zwolniło się miejsce wielkiego wezyra, zdołał ubiec, dzięki reweransom, wielkiego seneszała, który był co prawda tancerzem niestrudzonym, ale dość sztywnym w ruchach i kłaniającym się bez gracji. Czasy, w których Sulamek sprawował swój urząd, nie zaznaczyły się żadnym chwalebny wydarzeniem dla kraju. Wrogowie – ho któż ich nie ma: zdarzają się nawet najzacniejszym – oskarżali go o różne rzeczy: o to, że źle gra na skrzypcach i nie zna się zupełnie na sztuce tanecznej; o to, że dał się oszukać pantomimom księ

dza Jana i przestraszyć niedźwiedziowi z Monoe- mugi, który kiedyś przed nim tańczył; o to, że dał miliony cesarzowi Tombutu, żeby nie tańczył wtedy, gdy on cierpiał na podagrę;<sup>71</sup> o to, że skupował co roku kalafonię za ponad pięćset tysięcy cekinów, a nawet więcej, żeby pognębić wszystkich skrzypków, którzy grali inne menuety niż jego własne; o to w końcu, że usypiał przez piętnaście lat przy dźwiękach wioli pewnego otylca z Gwinei, który przygrywał sobie na tym instrumencie mamrocząc kongijskie pieśni. To prawda, że wprowadził modę na lipy holenderskie i inne rzeczy, ale...

Mangogul miał nadzwyczaj dobre serce. Żałował śmierci Sulameka i zarządził uroczystości żałobne z mową pogrzebową, którą miał wygłosić orator Brrrububu.

W dniu ceremonii przełożeni braminów, cały wielki dywan oraz sułtanki wiedzione przez eunuchów przybyli do wielkiego meczetu. W ciągu dwóch godzin przemowy Brrrububu wykazał z zadziwiającą zwięzłością, że Sulamek doszedł do zaszczytów dzięki wybitnym talentom. Prefacja szła za prefacją; nie zapomniał również Mangogula i jego czynów za rządów Sulameka. I tak mnożył okrzyki podziwu, gdy Mirzoza, u której kłamstwo wywoływało wapory, dostała ataku i wpadła w letarg.

Jej straż przyboczna i służebne rzuciły się na pomoc. Przeniesiono ją do palankinu i natychmiast udano się do seraju. Mangogul, dowiedziawszy się o niebezpieczeństwie, przybiegł natychmiast. Użyto wszelkich medykamentów – eliksiru

Ina żołądek, kropli generała La Motte i kropli angielskich – jednak bez powodzenia. Zrozpaczony sułtan to opłakiwał Mirzoę, to przeklinał Orchotomusa. Stracił wreszcie wszelką nadzieję, a raczej pokładał ją już tylko w swoim pierścieniu.

– Jeśli jest prawdą, że cię straciłem, rozkoszy mojej duszy – zawołał – twój klejnot powinien milczeć na wieki tak jak twoje usta!

Zaraz też rozkazuje, by wszyscy wyszli. Wychodzą. On zaś staje sam naprzeciw faworyty i zwraca na nią swój pierścień. Ale klejnot Mirzozy, znużony kazaniem jak inni i odczuwając widocznie skutki letargu, wyszeptał zrazu tylko kilka beładnych i niewyraźnych słów. Sułtan powtórzył operację i wówczas klejnot wysłowił się z całą jasnością:

– Cóż stałoby się ze mną z dala od ciebie, Mangogulu? Wierny aż do grobu, ciągle bym cię szukał. I jeśli miłość i stałość zasługują na jakąś nagrodę wśród umarłych, odnalazłbym cię... Niestety! Bez ciebie ów cudowny pałac, który zamieszkuje Brahma i w którym mają przyrzeczone miejsce jego wierni wyznawcy, byłby dla mnie jeno niewdzięczną siedzibą.

Mangogul, przepelniony radością, nie spostrzegł, że faworyta wychodzi powoli z letargu i że przy zwróconym na nią pierścieniu może usłyszeć ostatnie słowa klejnotu: tak właśnie się stało.

– Ach, księżę! – rzekła. – Co się stało z twoimi obietnicami? Czy rozwiałeś już twe niesłuszne podejrzenia? Czyż nic cię nie powstrzymało – ani stan, w jakim się znalazłam, ani zniewaga,

jaka mi w ten sposób wyrażasz, ani słowo, które mi dałeś?

– Ach, pani – odpowiedział sułtan – nie traktuj za niegodną ciekawość niepokoju, którym napełniła mnie rozpacz, że cię być może straciłem. Nie poddałem cię próbie pierścienia, ale sądziłem, że mogę, nie łamiąc przyrzeczenia, uciec się do sposobu, który mi cię przywraca, taką, jaką pragnąłem, i który uspokaja moje serce na zawsze.

– Pafije – rzekła faworyta – wierzę ci. Ale niechże już pierścień zostanie oddany geniuszowi i niech ten fatalny podarek nie wprowadza zamieszania ani na twym dworze, ani w twoim państwie.

W tejże chwili Mangogul zatopił się w modlitwie i Kukufa się zjawił.

– Wszechpotężny geniuszu rzekł Mangogul – zabierz swój pierścień i otaczaj mnie dalej twą opieką.

–Księżę – odparł geniusz – dziel swoje życie między miłość i chwałę. Mirzoza zapewni ci pierwsze z tych dobrodziejstw, ja zaś przyrzekam ci drugie.

Wyrzekłszy te słowa, zakapturzony duch złapał za ogon swoje sowy i odleciał jak przybłąd, wirując w przestworzach.